

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Mam dość polskiej szkoły
- Social media mają plusy
- Nie wstydzimy się luksusu
- Donguralesko: Nie hejtujcie polskich bohaterów



**WYSOKIE
OBCASY**
**Norweska
rodzina**
Ucieka z miasta



GAZETA

wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

DANIEL
OLBRYCHSKI

Dlaczego chcę mówić po rosyjsku

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Paderewski
Fryzura czyni
mistrza



**Śmierzący
tytoniem**
Seks w dawnej
Litwie

Beniowski
Podkręca
sobie CV

Najnudniejsza
komisja śledcza jest
najciekawsza
► 20

Agnieszka
KublikOdczepcie się
od Sienkiewicza

Bartłomiej Sienkiewicz wzmacnia listy do Parlamentu Europejskiego. Czy to osłabia rząd? Tak. Czy to problem dla TVP? Nie, bo dlaczego?

Minister podał się dymisji, gdy tylko PO ogłosiła eurolisty. Tusk musiał je skomponować tak, by wygrać z Kaczyńskim, który się przechwala, że ułożył „listy śmierci” (choć wydaje się, że Kamiński, Wąsik, Obajtek czy Kurski chcą w tej „cholernej” Unii dostać kolejne życie polityczne).

Wielu krytykuje odejście Sienkiewicza z ministerstwa, zwłaszcza w kontekście mediów publicznych. Że dokonał zamachu i zostawił.

Ani to zamach, ani porzucenie. On przywrócił ład konstytucyjny w mediach publicznych. Żeby to uczynić, odwołał się kodeksu spółek handlowych, a nie niekonstytucyjnej Rady Mediów Narodowych.

Sienkiewicz i Tusk wprost mówili, że to walka za Złem. TVPiS miała tak ogromną siłę, że mogła zabijać. Minister tłumaczył to w Sejmie, gdy PiS usiłował go odwołać: „To spór o życie i śmierć. To media są odpowiedzialne za ich tragedie. Na tej sali siedzą ci, co tworzyli system, i ci, którzy są najbliższymi ofiar. Pospołu. Jak symbol pomieszania dobra i zła w Polsce”. Przypominał, jak TVP

szczyła na prezydenta Gdańska. I jak prezydent, premier, szef KRTV czy prezes PiS „nie zrobili niczego, co pozwoliłoby zatrzymać tę maszynę”, gdy publiczna rozgłośnia ujawniła, że syn posłanki Filiks padł ofiarą pedofila. Chłopak odebrał sobie życie.

Naprawdę komuś się marzy, aby członek rządu sterował oglądalnością TVP?

Sienkiewiczowi udało się Zło zatrzymać. Wprowadzone przezeń zmiany są już zarejestrowane w KRS.

Teraz to ustanowieni przez niego likwidatorzy muszą te media uzdrawiać. To nie jest rola ministra, by doglądać oglądalności telewizyjnych programów. On wręcz musi trzymać się od tego z daleka, tak nakazuje konstytucja.

Nawet gdy te media słabują. Główny dziennik TVP1 – „19.30” – ma niższą oglądalność niż dawne „Wiadomości”. Średnio nowy program informacyjny Jedynki ogląda około 1,6 mln widzów – to strata o blisko milion ludzi. Oglądalność TVP Info spadła aż o 70 proc., chociaż ta antena jest coraz lepsza z tygodnia na tydzień. Jak widać, wiarygodność nie idzie w parze z oglądalnością. To znaczy, że budowanie nowej marki to projekt raczej na lata niż tygodnie czy miesiące. Nie rozumiem komentarzy, że Sienkiewicz ucieka, gdy TVP jest w takim stanie. Naprawdę, to nie rola członka rządu, by trapił się niską oglądalnością telewizji publicznej.

Ale jej finanse tak, to już odpowiedzialność rządu. Sienkiewicz powinien zostawić w resorcie gotowy, przemyślany projekt finansowania mediów publicznych, bo teraz to jest doraźne łatanie dziur. Argument, że prezydent Duda i tak zawetuje, jest kiepski. Bo za to, co robi Duda, rząd nie odpowiada, Ale za to, co robi minister, już tak. ●

Japonia
Skąd się biorą samurajowie (i hikimomori)

Tokio, 28 kwietnia. W świątyni Sensoi trwa słynny konkurs Nakizumo. Zapaśnicy sumo i mnisi w maskach straszą niemowlaki, strojąc miny i hałasując. Wygrywa to dziecko, które najgłośniej zapłacze. Wszystko zgodnie z 400-letnią tradycją. Niegdyś w ten sposób odpędzano złe duchy, dziś obrońcy Nakizumo – najczęściej tradycjonałści – argumentują, że „dziecięce sumo” hartuje psychikę i przyczynia się do zdrowego rozwoju.

FOT. REUTERS/ISSEI KATO

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

A2HL84J

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 4-5.05.2024 r.

Taylor Swift
Poetka, która uratuje Amerykę

Ma 34 lata, 284 miliony obserwujących na Instagramie i właśnie wypuściła 11 album. Ale na jej głos czekają nie tylko fani muzyki.

Płytę „The Tortured Poets Department” wokalistka, autorka tekstów i kompozytorka ogłosiła, odbierając 13 statuetkę Grammy. Chwilę potem odebrała 14, za album roku. Tych ma 4 – żaden solowy artysta tyle nie zdobył.

A trasa The Eras Tour, w ramach której w sierpniu przyjedzie do Warszawy (ceny noclegów rosną z dnia na dzień), jest najbardziej dochodowa w historii.

Swift zaczynała jako nastolatka śpiewająca country. Od początku pisała o swoim życiu, emocjach, o złamanym sercu. Porzuciła country na rzecz popu, który stał się coraz bardziej liryczny. Teksty zaś coraz bardziej poetyckie. Niejeden jej były w napięciu czekał na premierę nowej płyty zastanawiając się, czy nie zaistnieje w piosenie. Jednak jej wpływy sięgają dużo dalej niż listy przebojów.



FOT. REUTERS/MARIO ANZUONI

Coraz częściej nazywana „amerykańską poetką” Swift to poważna siła ekonomiczna. Wyliczano wpływ jej trasy na PKB miejsc, w których występowała, i wzrost widowni meczy futbolu amerykańskiego, odkąd zaczęła oglądać z trybun swojego chłopaka, mistrza NFL Trávisa Kelce. Zaś publicyści zastanawiają się, czy jej poparcie uratuje prezydenturę Bidena.

Swift jeszcze tego poparcia nie udzieliła. Ale jej poglądy są znane – opowiada się za prawem do aborcji, piętnuje nierówności, jest sojuszniczką osób LGBT – a gdy w przeszłości wzywała do udziału w wyborach, nie tylko fani jej słuchali. ● **Maja Staniszevska**

Andrzej rysuje



Cytat dnia

Chodzi o to, jak szybko zmienić obecnych prezesów na swoich, a opinii publicznej powiedzieć, że naprawiamy



POSEŁ MAREK SUSKI
(PiS) podczas pierwszego czytania ustawy mającej odpolitycznić państwowe spółki

Nikt nie zginął. Ale..

osiągnęły myśliwce F-16 w symulowanej walce ludzkiego pilota z automatem. Wygrała sztuczna inteligencja. Nie tylko dlatego, że ogarnia więcej wątków niż organiczny mózg na podstawie bezpośrednio wpływających terabajtów danych o otoczeniu. Ma też przewagę fizyczną – przeciążenia są na granicy ludzkich możliwości, a układ nerwowy nie nadąża z reagowaniem.



• Więcej o AI
► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)
i [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

FOT. LUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wojna dociera do Rosji

Nowy gadżet przedszkolaka

„Wytrzyma ostrzał z broni lekkiej, udar wtórny, odłamki” – zachwalają billboardy. „Kolejny sposób na zrobienie kasy na wojnie” – komentują Rosjanie w socjal mediach kamizelki kuloodporne dla dzieci

Bielaszyn



Na ulicach rosyjskiego Białogrodu, miasta położonego tuż przy granicy z Ukrainą, pojawiły się nowe billboardy. Plakaty, które wcześniej reklamowały zajęcia językowe, oferty biur turystycznych czy zaplanowane w mieście koncerty zastąpiono ogłoszeniami producentów kamizelek kuloodpornych „dla dziecięcej ludności cywilnej”.

„Trzeci rok specjalnej operacji wojennej Władimira Putina. Wszystko idzie zgodnie z planem”, ironizują użytkownicy mediów społecznościowych. Niemniej lokalizację kampanii i target dobrano perfekcyjnie – Białogrod już w 2022 roku, pierwszym pełnoskalowej wojny, zasłynął jako jedyne rosyjskie miasto doświadczające tego samego, czego doświadczają Charków, Kijów, Odessa i Lwów. Czyli regularnego ostrzału, tylko że ukraińskiego.

Miniaturowe kamizelki dostępne są w kilku fasonach i wersjach kolorystycznych: dla dziewcząt i chłopców, gładkie lub we wzorki, z kapturem albo bez.

Reklamodawca tłumaczy, że podjął decyzję o produkcji kamizelek dla dzieci, by „ochronić najmłodszą i najbardziej bezbronną część społeczeństwa”. Kamizelki mają sprawdzić się w przypadku „ostrzału z broni lekkiej, udarów wtórnych, działania ostrych przedmiotów czy odłamków pocisków”.

W ukraińskim internecie podobne oferty pojawiają się od dawna. O produkcji kamizelek kuloodpornych dla dzieci ukraińskie media regularnie donoszą od dwóch lat. „Waga kamizelki wynosi do dwóch kilogramów. Dostępne są trzy rozmiary dla dzieci w różnym wieku. Od kamizelki dla dorosłych różni się przede wszystkim wagą i konstrukcją. Jest wykonana w taki sposób, aby dziecku było wygodnie ją zakładać i zdejmować. Ma jasne kolory i taśmy odbłaskowe. Planowane jest dodanie nadajnika GPS, aby rodzice mogli wiedzieć, gdzie znajduje się dziecko”, opisywali producenci ze Lwowa.

Dzisiaj to rosyjscy producenci przeciągają się w ofertach, które kierują przede wszystkim do mieszkańców terenów przygranicznych, ale i okupowanych ukraińskich terytoriów. Ze stron katalogu petersburskiej firmy TK Żyżń (TK Życie) patrzy na nas poważnym wzrokiem kilkuletni chłopiec ubrany w białą kamizelkę. Można zamówić ją już za 30 tys. rubli, około 1300 zł. W takiej samej cenie kupimy wersję kremową w króliczki, a także niebieską – w dinozaury i rakiety.

„Klasa ochrony BR1 I C2 zapewnia ochronę przed uderzeniami broni białej oraz odłamkami granatów ręcznych, min i innej amunicji”, wyjaśnia producent, by następnie wymienić, jakie konkretnie pociski i broń nie po-



winny być straszne dziecku, wyposażonemu w kamizelkę. Na liście znalazły się: kule pistoletu automatycznego Stieczkina 9x18, pociski pistoletu Jarygina, naboje karabinka Saiga-9, pociski karabinu Molot Vepr.

„Kupiliśmy dla naszych podopiecznych z domu dziecka. Kiedy zaczyna się atak, biegniemy w nich do schronu. Dzieci są w nich widoczne. Mówią, że im wygodnie.

Dziękujemy wszystkim, którzy je wyprodukowali”, zachwala na stronie TK Żyżń Oksana z Ługańska. Wtórowała jej Ludmiła z Doniecka.

„Tak nas boli serce, kiedy myślimy o naszych dzieciach, a wy przychodzicie do nas z takim wspaniałym prezentem. Kamizelka jest leciutka, łatwo ją włożyć i zdjąć, nie brudzi się, nie przepuszcza wody. I jakie wygodne rozwiązanie z kieszonką na karteczkę z nazwiskiem! Dziękujemy wam z całej duszy”. Być może nieco innego wydźwięku dopatrzeć można się w opinii, pozostawionej na stronie przez Władysława z Rostowa nad Donem, który napisał z kolei: „Boję się o dzieci. Wziąłem dla syna i bratanka. Niestety, widocznie taka jest nasza nowa rzeczywistość”.

Zdań na temat produkcji kamizelek kuloodpornych dla dzieci i tego, jak mają się one do nowej rosyjskiej rzeczywistości, więcej znaleźć można w sieciach społecznościowych. Komentujący zdają się nie być z nią pogodzeni w takim stopniu jak ci, którzy zostawili – rzecz jasna, autentyczne, zapewnia firma – recenzje na stronie producenta. Powody ich niezadowolenia i oburzenia się jednak różnią.

„To wszystko straszne i smutne. Żyjemy w strasznych czasach”, pisze Alona na Wkontaktie. „Ktoś zarabia na tej przeklętej wojnie”, oburza się w tym samym wątku Siergiej. W podobnym tonie, choć nieco ostrożniej, komentuje Lubow: „Kolejny sposób na zrobienie kasy na wojnie”. „Doczekaliśmy się...”, podsumowuje Alina. Z żadnego z tych komentarzy nie da się wywnioskować, jak ich autorzy oceniają sytuację polityczną. Bezprecedensowa skala represji i wojenna cenzura sprawiły, że jawne krytycznych wobec polityki Kremla czy wojny wypowiedzi w sieciach społecznościowych jest coraz mniej.

„Nie widziałam jeszcze w Moskwie tylu poszarzałych i wyraźnie przepelnionych

uczuciem beznadziei ludzi”, opowiada mi koleżanka, która, choć opuściła ojczyznę, wciąż ma możliwość, by między Rosją a Europą kursować. „Ludzie sprawiają wrażenie pogrążonych w apatii”.

Patrząc na Rosję z zewnątrz, trudno uwierzyć, że można w niej dzisiaj żyć i rozmawiać o czymkolwiek innym niż wojna. Fakt, że knajpy, kina i kawiarnie w Moskwie są pełne, wydaje się być wulgarny. A tak właśnie się dzieje. Lecz nie ma w tym nic wyjątkowego. Żadnego specyficznego tylko dla Rosjan mechanizmu, którego nie znalibyśmy z historii dyktatur czy państw autokratycznych.

Kiedy podpytuję mieszkańców w Rosji bliskich, na ile obecne w ich życiu codziennym są dyskusje o tym, co dzieje się w Ukrainie i jakie zdanie mają ich znajomi z uczelni i pracy, słyszę: „my w ogóle tego tematu nie poruszamy poza domem”. Nie dziwi mnie to. Wiem, że głównym motywem jest lęk: Rosjanie bardzo dobrze rozumieją, że za słowa, nieostrożnie wypowiedziane w nieodpowiednim czasie i miejscu, można ponieść surową karę. Skreślenie z listy studentów, zwolnienie z pracy z wilczym biletem, grzywna, poturbowanie na komisariacie, śledzenie przez służby czy utrata wolności to nie wspomnienie z czasów radzieckich, tylko dzisiejsza norma. Donos może napisać każdy, ufać nie wolno nikomu.

Inni pasywność i milczenie uzasadniają poczuciem całkowitej niemocy wobec tak potężnej maszyny, jaką jest państwo. „Staram się nie czytać codziennie wiadomości, bo źle się wtedy czuję. Nie jestem przecież w stanie nic zrobić”, tłumaczy mi znajoma, która nie wyjechała.

Jeszcze inni, bez większego poczucia winy, a niekiedy wręcz z ulgą, tłum-

„Wewnętrzna emigracja” to kolejne pojęcie z radzieckich czasów, które wróciło tak płynnie, jakby nigdy nie odeszło. Większość ludzi uważa, że wojna jest czymś złym, ale zajmuje się tym, na co można mieć w Rosji jeszcze jako-taki wpływ, czyli własnym życiem i problemami

macząc sobie, że są przecież są w strukturach władzy ludzie, którzy podejmują decyzje. I skoro „coś robią”, to znaczy, że „tak widocznie trzeba”.

No i są ci, którzy udają się na „wewnętrzną emigrację”. To kolejne pojęcie z radzieckich czasów, które wróciło tak płynnie, jakby nigdy nie odeszło. Ludzie zajmują się tym, na co można mieć w Rosji jeszcze jako-taki wpływ, czyli własnym życiem i problemami. Miażdżąca większość tych osób powie, że wojna jest czymś jednoznacznie złym i że byłoby dobrze, gdyby jak najszybciej się skończyła. Część tej grupy doda, że była jednak nieunikniona, a winien jest Zachód, który – rękami Ukraińców – usiłuje doprowadzić do upadku Rosji. To oni, „normalsi” nie dostrzegający związków przyczynowo-skutkowych – wcale nie oplaceni propagandyści – zamieszczaają lamentacyjno-dziękczynne posty, jak ten o wspaniałym prezencie. Nie przyjmują do wiadomości, że do ostrzałów Białogrodu nie dochodziłoby, gdyby rosyjska armia nie napadła na Ukrainę.

Pola do interpretacji czy wątpliwości nie pozostawiają natomiast wpisy tych, którzy w pełni wierzą kremłowskiej propagandzie. „Jak tak dalej pójdzie i nie powstrzymamy agresji USA, to już wkrótce będziemy kupować uniformy chroniące przed bronią chemiczną”, ostrzega Walentyna.

„Czas skierować broń atomową na Waszyngton. USA nas bombardują, a nam się wydaje, że wrogiem jest Ukraina!”, pisze Aleksandr.

I tylko nieznany z nazwiska Nikołaj odważa się: „Patrzcie, co na nas sprowadził ten, który na początku śpiewał, jak to Kijów weźmie za trzy dni! Jeśli nikt go nie powstrzyma, cała europejska część Rosji będzie chodzić w takich kamizelkach”.

Czy tylko europejska część Rosji? To pytanie coraz częściej budzi mój lęk, a obserwowanie nastrojów w Rosji, Ukrainie, ale i Brukseli sprawia, że mam w tej kwestii pewne wątpliwości, które boję się werbalizować. Wstukuję po polsku w wyszukiwarkę internetową „kamizelka kuloodporna dla dzieci”. Po chwili wyświetlają mi się oferty. „Zabawkowa kamizelka kuloodporna dla dzieci”. Niech tak zostanie. ●

Wiktorii Bielaszyn

POLACY, *nie* DOCENIACIE SIĘ

Wasza marka
jest lepsza, niż
się wam wydaje

Z TYLEREM BRÛLÉ I ANDREW TUCKIEM
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI:

MATEUSZ MAZZINI: Redaktor naczelny i założyciel jednej z najważniejszych luksusowych marek w świecie mediów przyjechali na kilka dni nie do Dubaju, tylko do Warszawy. Czego tu szukacie.

TYLER BRÛLÉ*: Ja jestem w Polsce pierwszy raz, Andrew był tu już wcześniej. Planując przyjazd, wielokrotnie rozmawialiśmy o tym, jak wiele o Polsce teraz słyszymy, zwłaszcza jeżdżąc po Europie Zachodniej.

Niedawno byłem w Paryżu, rozmawiałem ze znajomą, która zajmuje się produkcją w jednej z luksusowych marek odzieżowych – nie mogła przestać wyliczać firm, zwłaszcza w krawiectwie, które przeniosły produkcję do Polski. Rzeczy, które kiedyś były zlecane we Włoszech, teraz trafiają do was.

Bo u nas jest taniej.

– Wcale nie. Oferujecie doskonałą jakość, a przy tym macie wolne moce przerobowe i zwyczajnie wam się chce.

Znajoma od razu podkreśliła, że Polska jest ważnym obszarem dla marek luksusowych nie ze względów finansowych, ale jakościowych i operacyjnych. Włoscy producenci mają teraz zastoje, nie są w stanie realizować aż tylu zamówień. Poza tym, jak mi wyjaśniała, „starzy mistrzowie nie są już tak bardzo w grze”.

To, co nas tu przyciągnęło, to trend Made in Poland, który mamy na radarze już od jakiegoś czasu. Marcowy numer naszego magazynu miał zresztą całą sekcję o waszym przemyśle meblarskim, projektowaniu w drewnie.

Natomiast my jako „Monocle”, zawsze byliśmy zainteresowani krajami „na granicy”.

W jakim sensie „na granicy”? Geograficznie?

– W sensie rozwoju, zaoferowania czegoś nowego. Nowych emocji. Polska to przecież część Europy, ale tej „poszerzonej”, i to też był jeden z czynników, który nas tu ściągnął.

Ale pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę po przyjeździe do Warszawy, to młodzi ludzie. W hotelu, na kolacji, na spacerze wieczorem – byłem najstarszy. Wszędzie było pełno młodych osób, które korzystały z tego, co miasto ma do zaoferowania. Przypomina mi to Tajlandię – zobaczyłem młody, witalny kraj dynamicznie rozwijający się gospodarczo.

Może nasza perspektywa przed przyjazdem była ograniczona, pewnie mieliśmy z tyłu głowy jakieś stereotypy, ale ta młodzież mnie mocno zaskoczyło. Spodziewałem się jakiejś wersji Berlina – i znalazłem ją w sensie podobnej otwartości. Ale zdecydowanie więcej – choć to na razie pierwsze wrażenie – niż w Berlinie jest tu energii.

ANDREW TUCK:** A ja muszę sprostować coś o nas. Nazwałeś nas marką luksusową. Może tak jest, może ludzie tak nas kojarzą. Ale my nie uważamy się za luksusowych w tym potocznym sensie. Bo luksus to nie jest coś powierzchownego, błyszczącego, połyskujący lakier na najdroższych przedmiotach. W luksusie chodzi o rzemiosło, o sposób produkowania rzeczy.



FOT. IULIA BONDAR/GETTY IMAGES

Druk stał się dobrem luksusowym, bo wiąże się z poświęconym czasem, z doświadczeniem, wyjątkowością – to wszystko oferuje papierowa gazeta

Jak je robić dobrze i jaką niosą opowieść – o nich samych i o ludziach, którzy za nimi stoją. A w Polsce, u waszych projektantów, rzemieślników znajdujemy oryginalne, spójne opowieści.

A co nas sprowadza do Warszawy konkretnie teraz? Zdajemy sobie sprawę, że Polska jest w momencie historycznego przesilenia.

Tylko co mają wspólnego moda, luksus i dolce vita ze zmianą rządu prawicowo-autorytarnego na centrowo-wolnościowy? Luksusowe czasopismo o pięknych przedmiotach, zrównoważonym rozwoju, ciekawych miejscach i wyrafinowanych przyjemnościach znajdzie czytelnika w każdym kraju rozwiniętym, niezależnie od ustroju. W krajach autorytarnych też są enklawy liberalnego, wielkomiejskiego dobrobytu.

AT: Wasze ostatnie osiem lat zostawiło sporo blizn na skórze kraju. A my mimo to postrzegamy waszą markę narodową bardzo pozytywnie. Jednocześnie bardzo wyraźnie widać wysiłki nowego rządu, żeby ponownie nawiązać relację z Europą. Da się odczuć, że Polska chce znów być w centrum europejskiej debaty.

Więc to jest ten moment, kiedy polska marka, czy jak wolisz, soft power Polski, może wypłynąć

na szerokie wody. Siła waszej marki jest znacznie większa, niż wydaje się wielu osobom, z którymi się spotkaliśmy w Warszawie. Widzimy polskich projektantów, artystów pokazujących się na targach czy imprezach branżowych wszędzie, gdzie jesteśmy. A jesteśmy, no właśnie, wszędzie – bo nasza praca polega na ciągłym przemierzaniu świata.

Widzicie tu dla siebie rynek? Czytelników międzynarodowego magazynu dla bogatych? Uważacie, że znajdziecie wystarczająco dużo Polaków jednocześnie majątnych i, nazwijmy to – choć brzmi wartościująco – światowych? Zainteresowanych globalnymi trendami w modzie, estetyce, stylu życia.

TB: Jest taka teoria, że jeśli w nieciekawej dzielnicy zbudujesz piękny, wyjątkowy dom i zaoferujesz w nim atrakcyjne mieszkania, to ludzie zawsze do ciebie przyjdą i jeszcze stworzą masę krytyczną zmieniającą otoczenie.

My stworzyliśmy sobie publikę w różnych krajach, wiemy, jak to działa. Dobrym punktem odniesienia do rozmowy o Polsce jest to, co udało nam się stworzyć w Portugalii, innym kraju na końcu Europy. Oni rzecz jasna zmagają się z innymi problemami niż wy, ale są ciekawym przykładem narodu, który wciąż wierzy

w prasę drukowaną. To ma odbicie w kształcie i atmosferze ich miast, bo tam nadal dobrze prosperują kioski. Ujmując to uczenie – społeczeństwo wspiera media.

Nie chodzi o to, żeby was porównywać jeden do jednego do Portugalczyków, ale spójrz na to strukturalnie. Tam mieszka 10 mln osób, to naród z dobrym poziomem angielskiego. A w Polsce jest 40 mln osób, też z dobrym poziomem angielskiego. Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy mieć tutaj sporej publiki. Myślę, że ona już istnieje, tylko musimy się do niej dokopać.

To kim jest wasz czytelnik? Jaką Polkę i jakiego Polaka wyobrażacie sobie z takim magazynem w ręku?

AT: Nas zawsze – znowu będzie podniosło, no ale potrzebujemy zwięzłej definicji – interesowali ludzie, którzy ambitnie podchodzą do swojego życia. I wcale nie chodzi o jakichś yuppies czy majątnych przedstawicieli wolnych zawodów kreujących się na hipsterów. Mniej chodzi o status finansowy, bardziej o mentalność, pewien model dobrego życia, łączącego odpowiedzialność, samoświadomość i zamiłowanie do piękna. Więc naszego czytelnika można znaleźć i w biznesie, i w szkolnictwie.

A Polacy są dla nas idealnym celem, bo przecież z przyczyn historycznych macie mobilność w genach, kiedyś podróżowaliście, bo szukaliście dla siebie szans, teraz podróżujecie, bo jesteście ciekawi świata i lubicie gromadzić doznania, a jednocześnie nie spoczęliście na laurach. Cały czas kombinujecie, umiecie radzić sobie z problemami, wiecie, jak naprawiać rzeczy – i systemowe, i przedmioty – które nie działają.

Dlatego zdziwiłbym się, gdyby Polska nie była dla nas dobrym rynkiem.

TB: Rozmawiamy chwilę po 17. urodzinach „Monocle”. I przez te 17 lat nie zdarzyło się ani jedno kolegium, na którym ktoś by powiedział: „coś nie działa, musimy zmienić kurs, zredefiniować przekaz”. A więc ludzie, dla których piszemy, są stabilną, silną grupą, trzymającą się mimo przemian obyczajowych, ewoluujących światopoglądów i kryzysów.

No właśnie, przemiany obyczajowe i idące za tym nowe standardy etyczne, nowe pojęcie dobrego życia – skromniejszego, mniej konsumpcyjnego, mniej obciążającego planetę. Nie zderzacie się z niesmakami czy wręcz krytyką, wydając luksusowy magazyn o pięknych przedmiotach i pięknych egzotycznych miejscach w czasach, kiedy dla rosnącej liczby ludzi bycie bogatym jest całkowicie niemoralne, podróżowanie jest nieodpowiedzialne i egoistyczne?

TB: Ja nie kupuję tej narracji o hejcie na bycie dobrze sytuowanym – bo trzeba rozróżnić stosunek tzw. zwykłych ludzi do zamożności i do plutokracji czy ostentacyjnej, nuworyszowskiej konsumpcji – i o młodym pokoleniu nienawidzącym czy lekceważącym pieniądze. Jeśli opierasz się wyłącznie na mediach społecznościowych, na radykalnym – a więc najbardziej widocznym – komentarzcie tej czy innej baniki, to owszem, od ręki znajdziesz takie historie i popyt na nie.

Ale w realnym życiu nie widzę dużej chęci podążania w tym kierunku. Każdy człowiek chce lepszego, wygodniejszego życia. Każdy chce podnosić jego jakość. Czy wszyscy chcą mieć prywatny odrzutowiec? Nie. Własny jacht? Też nie. Ale wszyscy chcą dobrze żyć, w estetycznym, przyjaznym otoczeniu, korzystać z solidnych, dopracowanych urządzeń, cieszyć się trwałymi, sensownymi rozwiązaniami, od przedmiotów codziennego użytku po przestrzeń publiczną, naturę czy edukację. To rzecz jasna wiąże się z poprawą statusu majątkowego, co nie każdemu jest dane, ale sama potrzeba jest uniwersalna.

A druga kwestia, to – co to właściwie znaczy „luksusowy”? Masz na myśli ręcznie budowany złoty zegarek wysadzany brylantami? Megajacht? Jeśli tak, to nie nasza półka. My piszemy o polityce, sprawach międzynarodowych, społeczeństwie, biznesie, a gdy o rzeczach drogich, to takich, które są interesujące i jakoś ulepszają życie – bo są innowacyjne, przemysłane, trwałe, wyrafinowane.

Owszem, dużo podróżujemy, spotykamy się z ludźmi twarzą w twarz. Więc nasz luksus to – i tu zgoda, to wymaga zasobów – doświadczanie rzeczy bezpośrednio. Zobacz, rozmawiamy osobiście, na miejscu, a moglibyśmy na Zoomie. Byłoby taniej i efektywniej, ale ucierpiałaby na tym – o, mam to słowo, które definiuje nas i nasze zainteresowania – jakość.

Nie piszemy wyłącznie o rzeczach kosmicznie drogiech. Mamy recenzje trzygwiazdkowych hoteli, jeśli w jakiś sposób są wyjątkowe, wypromujemy ludzi,

którzy wypuszczają na rynek proste, tanie, ale trwałe i oryginalne rozwiązania czy produkty. Luksus i jakość to nie to samo co potocznie luksusowa marka.

AT: Papierowy egzemplarz naszego miesięcznika kosztuje tyle, samo co dwa kieliszki wina w Londynie. Albo co trzy kawy w Warszawie. To chyba nie jest zaporowa cena dla ludzi ceniących jakość rzeczy i doznań.

Wy się nie zmieniacie, a wasi odbiorcy? Zakładam, że z waszej pozycji dobrze widać trendy na rynku i w zachowaniach konsumenckich. Czy ludzie, którzy was czytają, dzisiaj chcą robić ze swoimi pieniędzmi coś innego, niż 10 czy 15 lat temu?

AT: Nigdy nie zajmowaliśmy się produktami, które są jednorazowe, nadają się do wyrzucenia po kilku użyciach. Wolimy opublikować zdjęcie kurtki, która wytrzyma ci kilka sezonów, niż czegoś, co jest efektowne i drogie, bo powstał na nie hype, ale jest marnej jakości. To też nasza definicja luksusu – trwałość, a nie chwilowa błyskotka, coś, czego drugi raz nie założysz.

Nie robimy tego magazynu dla 20-latków. Czytają nas ludzie, którzy szukają rozwiązań jeśli nie na całe życie, to na długie lata. Dlatego pokazujemy im meble, stylizacje architektoniczne czy design, który po pierwsze, będzie trwały, a po drugie – z którym oni się żyją, zbudują więź emocjonalną. Nigdy byśmy nie pokazali w „Monocle” na przykład dzieł sztuki, które flipperzy kupią i zaraz odsprzedadzą, ale czas jeszcze nie potwierdził ich walorów. Nasi czytelnicy kupują to dla siebie, do swoich domów. Chcą wiedzieć, kto te rzeczy wykonał, z jakich materiałów, w jaki sposób. To więcej niż tylko kupowanie na pokaz, bo stać mnie.

TB: Zawsze chcieliśmy nakierować naszych czytelników na jakość, nie na ilość. Pokazać rzeczy jeszcze przez nich nieodkryte, bardziej dyskretne, nie aż tak bardzo skupione na metkach czy budowie marki. Chodzi nam o to, żebyś miał pewność, że jak kupujesz coś przez nas rekomendowane, to jest rzecz trwała, dobrze wykonana, stoi za nią rzemiosło – nawet jeśli niekoniecznie rozpoznajesz logo.

AT: Jeśli coś się zmieniło, to to, co ludzie sami definiują jako dobra luksusowe. Jednym z nich stał się czas. Doświadczenie czegoś też może być elementem rynku luksusowego. Ludzie niekoniecznie chcą przesuwąć cały czas palcem po ekranie, być podłączonymi do kroplówki z newsów, rolek, postów.

Robiąc ten magazyn, tak naprawdę składamy na ręce naszych czytelników prośbę: hej, zarezerwujcie dla nas trochę czasu, weźcie do ręki drukowany egzemplarz, zważcie go, poczujcie zapach, docieńcie zdjęcia, szatę graficzną, nacieszcie się czymś, co trwa dłużej niż filmik. I skupcie się. Gwarantujemy wam, że my poświęciliśmy wam naprawdę czas. Zastanawialiśmy się, które wybrać zdjęcia, jak ułożyć wydanie. Teraz chcemy, żebyście wy to zrobili.

Więc jeśli jesteśmy według ciebie luksusowi, to luksusowe jest dobre kino, książka, i gazeta, do której robisz ten wywiad, też jest.

Czyli co, luksus to dziś przeżycia, a nie przedmioty?

TB: Cała ta dyskusja o „ekonomii doświadczeń” to odkrywanie Ameryki na nowo, czy raczej tak modne w marketingu i piarze nadawanie starym rzeczom błyszczących, chwytliwych nazw. W luksusie zawsze chodziło o doświadczenia. Przecież jeśli wszedłeś do domu towarowego Bergdorf Goodman w międzywojennym Nowym Jorku, byłeś obsługiwany na tak wysokim poziomie, że mogłeś wyjść, kupiwszy jedną koszulę, ale całość twojej obecności tam miała charakter luksusowy.

To, co rzeczywiście widzę, to konglomeraty produkujące dobra luksusowe, które przesuwają się w kierunku oferowania doświadczeń. Luksusowe marki kupują hotele, zakładają księgarnie, oferują rejsy na wycieczkowcach. Ale to tylko potwierdza, że sednem luksusu zawsze było przeżycie.

Czyli jest nadzieja dla prasy drukowanej? Bo wy drukujecie i jesteście dochodowi, ale wszędzie na świecie, poza Indiami, druk się zwija. Nasza gazeta zwolniła niedawno ponad 100 osób.

TB: A Andrew zatrudnia!

A nadzieja dla gazet takich, jak wasza, jest, bo druk już stał się dobrem luksusowym. Przed chwilą powiedzieliśmy, że luksus wiąże się z poświęconym czasem, z doświadczeniem, wyjątkowością – to wszystko oferuje druk.

Drugim komponentem luksusu jest ograniczona ilość. Niedostępność. Drukowane gazety są coraz mniej dostępne. Kiedy wylądowałem na Okęciu, poszedłem do kiosku po gazety – zawsze to robię, gdziekolwiek jestem. Kupiłem sporo tytułów, głównie magazynów, ramię mi się uginało. Ale zapytałem o dzienniki i ekspedientka odpowiedziała mi, że „zwy-



kłych” gazet już nie mają. Oferują może dwie najważniejsze, ale w aptekarskiej liczbie egzemplarzy.

To oczywiście nie pierwszy raz, kiedy to słyszałem, w Toronto na lotnisku można kupić raptem parę tytułów, z czego większość to tabloidy, które po prostu nie istnieją w internecie, bo ich czytelnicy nie są tak cyfrowo sprawni. Ale to tylko potwierdza, że dla druku jest miejsce na rynku. Tylko nie w milionowym, masowym nakładzie, a w niewielkim, lecz dopieszczonym, najwyższej próby. Taki druk zawsze będzie znajdował odbiorcę. W każdym pokoleniu są ludzie poszukujący wyjątkowości, jakiegoś wyróżnika.

A potrzeba namacalności będzie rosła.
AT: Otóż to. Wiele z tytułów, które zniknęły z rynku, szło w złym kierunku. Ratując się, tylko pogłębiały kryzys, pogarszali swoją sytuację – redukowali zakres tego, o czym pisali, kupowali coraz gorszej jakości papier, drukowali mniej stron. W żadnym biznesie, w żadnym segmencie gospodarki nie możesz iść naprzód, oferując gorszej jakości produkt.

Kiedy z Tylerem 17 lat temu zaczęliśmy tworzyć „Monocle”, zaczęliśmy od pytania: co się stało z naszymi ulubionymi pismami, których już nie ma albo zaraz nie będzie? Większość stała się chudsza, skromniejsza, gorszej jakości – również z tego powodu ludzie przestali – my sami przestaliśmy! – je kupować. Po prostu nie były już interesujące. ●

*Tyler Brûlé

• dziennikarz, przedsiębiorca, były współpracownik i korespondent zagraniczny m.in. „Financial Times”, BBC, „New York Times”. Założył i był naczelnym słynnego magazynu o modzie, architekturze, sztuce i stylu życia „Wallpaper”. Założyciel magazynu Monocle.

**Andrew Tuck

• redaktor naczelny magazynu Monocle, odpowiedzialny za treści w segmencie druku, na platformie internetowej oraz w Monocle Radio. Wcześniej związany z magazynem Time Out oraz dziennikiem The Independent.

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990), reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Piszę o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.

FOT. MONOCLE (2), MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kryzys? Jaki kryzys?

Ich przyjazd do Warszawy wywołał sporo szumu w światku kreatywno-medialnym. Bo nikt w branży, nie tylko polskiej, już tak nie podróżuje: kilkudniowa wizyta, 12-osobowa delegacja, seria długich rozmów z analitykami polskich think-tanków, ludźmi biznesu, projektantami, a na koniec impreza na 150 osób. Ten opis bardziej niż do 2024 r. pasuje do rozbu-chanych, pełnych optymizmu lat 80. na Zachodzie czy pierwszych lat XXI wieku, kiedy w redakcjach

trwał przedkryzysowy bal na Titanicu. „Monocle” udowadnia, że w czasach darmowej glamourowej gonitwy na Instagramie i agregatów treści podkradających ruch klasycznym mediom, słowo „prasa” nie musi być tożsame ze słowami „kryzys” - od 17 lat nieustannie rośnie. Pod tym szyldem ukazuje się co roku 10 numerów drukowanych i kilka wydań okolicznościowych, np. gazeta na europejski okres wakacyjny, sezon narciarski czy nowo-

roczny, opasły grzbiet o trendach i prognozach, od wzornictwa po politykę i sprawy międzynarodowe. W skład mini-imperium oprócz drukowanego czasopisma wchodzi radio, seria konferencji i sklepy z, najogólniej, ładnymi przedmiotami, od ubrań, przez meble, po produkty papiernicze. Jak im to się udaje? Założyciel kultowego tytułu i jego naczelny opowiadają uzbrojeni – a jakże - w kieliszki.

Karol Sienkiewicz

Od kilku tygodni jednym z najgorętszych miejsc w Warszawie jest wystawa ukraińskiej artystki ludowej Mariji Prymaczenko „Tygrys w ogrodzie” w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

To prawdziwy fenomen, że wielokolorowe, surrealistyczne rysunki nieznanej wcześniej nikomu Prymaczenko cieszą tak ogromną popularnością. Pierwszy raz usłyszeliśmy o niej, gdy w lutym 2022 r. Rosjanie zniszczyli jej prace w muzeum w Iwankowie pod Kijowem. Dziś, by zlikwidować kolejki przed MSN-em, wprowadzono godzinowe okienka, na które bilety trzeba wcześniej zarezerwować przez stronę internetową.

To ostatnia wystawa w tymczasowej siedzibie MSN-u w pawilonie nad Wisłą przed jesiennym otwarciem nowego budynku, w bezpośrednim sąsiedztwie Pałacu Kultury i Nauki. Pawilon jest nieduży, na wystawie nie może przebywać jednocześnie zbyt wiele osób, stąd ograniczenia, ale popularność wystawy Prymaczenko dobrze wróży przyszłości tej stołecznej instytucji.

W ostatnim czasie zdążyliśmy się już jednak przyzwyczaić do widoku kolejek na wystawy sztuki w Polsce. Muzea w dużych miastach, w Warszawie czy Krakowie, nauczyły się, jak umiejętnie, często korzystając z mediów społecznościowych, budować relacje z publicznością.

Jednocześnie to właśnie liczba odwiedzających stała się głównym kryterium oceny muzealnych programów, a jej normy wpisuje się w plany roczne i budżety. Nic tak nie napawa dumą współczesnego muzealnika, jak kolejka do kasy. Muzea muszą dziś balansować między chęcią powiększenia swej publiczności i ambitnym programem. Te często stoją w sprzeczności.

Słynny filozof i teoretyk kultury Theodor Adorno porównywał muzeum do mauzoleum. Włoscy futuryści chcieli je po prostu zrównać z ziemią, według nich muzeum utrzymywało konserwatywny status quo, należało więc do przeszłości.

Od tamtej pory minęło ponad sto lat, tymczasem muzea nigdy nie miały się lepiej niż dziś. Na pewno nie są już pustymi halami i cichymi korytarzami, do których przychodzi się w poszukiwaniu spokoju. Żeby się do nich dostać, trzeba z wyprzedzeniem zarezerwować bilet i odstać swoje w kolejce. Na wystawy wielkich malarzy i głośnych projektantów mody wręcz specjalnie się podróżuje.

Rywalizacja, kto zrobi bardziej spektakularną ekspozycję, kto ściągnie więcej – koniecznie „ikonicznych” – nazwisk i dzieł, rozkręca się i sztuka stała się ważnym czynnikiem rozwoju turystyki. Blockbuster, termin kiedyś zarezerwowany dla przynoszących krociowe zyski filmów, dziś na stałe wszedł do muzealnego języka.

Wystawy-blockbustery skupiają się na jednym artyście, znanym nazwisku, są drogie w przygotowaniu, ale przynoszą odpowiednio wysokie przychody z biletów. Jedną z najgłośniejszych ostatnich lat była przygotowywana przez dekadę wystawa Leonarda w Luwrze na przełomie 2019 i 2020 r. Ale popularnością cieszą się też klasycy XX wieku, jak zamknięta niedawno wystawa Marka Rothki w Fundacji Louisa Vuittona w Paryżu. Ludzi przyciągają do muzeów mistrzowie malarstwa, ale też postacie pop kultury. W 2016 r. ogromną popularnością cieszyła się ekspozycja poświęcona Davidowi Bowieemu, pokazywana w instytucjach sztuki.

Przy okazji skorzystały stałe kolekcje – te dawnych mistrzów też działają jak magnes. W ich przypadku do nakręcenia mody na bywanie przyczyniła się dodatkowo technologia i socjał media – już uznajemy za



Nic tak nie przeszkadza w oglądaniu sztuki, jak inni ludzie, ale nic tak nie cieszy muzealników, jak ciągnące się przed muzeum kolejki

Nowoczesne muzea to zło?

VAN GOGH, TEN CELEBRYTA

normę, że popularne arcydzieła w słynnych muzeach są oblegane przez tłum zapatrzonego w telefony i aparaty. Do „Mony Lisy” Leonarda w Luwrze czy „Gwiezdnej nocy” van Gogha w MoMA w Nowym Jorku trudno się dopchać.

Widzowie głosują nogami. Tymczasem populistyczne trendy stoją zazwyczaj w sprzeczności z krytyczną muzeologią, która próbuje zmienić rolę i sposób funkcjonowania muzeów zgodnie z współczesnymi koncepcjami humanistyki, uwzględniającymi spojrzenie feministyczne czy postkolonialne. Za czym idzie podważanie

istniejącego kanonu, w którym dominują mężczyźni z Europy Zachodniej i Ameryki, i postulowanie zmiany geografii sztuki, przede wszystkim otwarcie się na artystów z globalnego Południa.

Rok temu uwagę widzów festiwalu filmowych przyciągał film „White Balls on Walls” w reżyserii Sary Vos, poświęcony muzeum Stedelijk w Amsterdamie. Kamera podążała za dyrektorem Reinem Wolfsem i jego pracownikami, śledząc proces zmian spowodowanych krytyką muzeum. Na początku filmu na wystawach nie ma żadnego nie-białego artysty, a artystki sta-

nowią niewielki procent. Muzeum reklamuje się zaś hasłem „Poznaj ikony sztuki nowoczesnej”. Te najbardziej znane, „ikoniczne” prace wyszły spod rąk białych mężczyzn z Europy i USA. – Nie może być tak jak dotychczas – mówi dyrektor.

Film opowiadał więc o procesie autokrytycznej analizy instytucji. Odwiedzając dziś Stedelijk można przekonać się, jak dogłębnie odświeżono stałe wystawy kosztem usunięcia prac wielu znanych artystów. Jednak muzeum przyciąga widzów głośnymi nazwiskami – obecnie wystawą Mariny Abramović. Choć są tacy, którzy oparli się



• Marzec 2023,
wystawa „Van
Gogh Multi-Sen-
sory Exhibition”
w Łodzi

FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

gorączone – znajdujące się po sąsiedztwie stacjonarne Rijksmuseum kusi wystawą Fransa Halsy, a w poprzednim roku Vermeerem.

Pierwszym czynnikiem decydującym o globalnej popularności muzeów jest często architektura. Mówimy wtedy o „efekcie Bilbao”. Hiszpańskie miasto rozświetlił otwarty w 1997 roku efektowny budynek filii Muzeum Guggenheima o falujących ścianach zaprojektowany przez Franka Gehry’ego.

Zresztą nowojorska siedziba Guggenheima, budynek Franka Lloyda Wrighta ze spiralnym wnętrzem, to też ikona architektury. Luwr ma szklaną piramidę zaprojektowaną przez I. M. Peia. W muzeach liczy się fasada, spektakularna klatka schodowa, przeszklony dziedziniec. W Polsce mieliśmy kilka dyskusji na ten temat, właśnie przy okazji konkursów na Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Gdy w 2007 roku pierwszy konkurs architektoniczny wygrał Christian Kerez, jego projektowi zarzucano, że jest mało atrakcyjny, że nie ma potencjału na to, by stać się architektoniczną ikoną stolicy. Wielu widziało by w tym miejscu jakiś widowiskowy twór Zahi Hadid.

Wielkie muzea stały się też markami – turyści mogą nie znać dzieł sztuki, które pokazują, ale świetnie znają ich nazwy: MoMA, Luwr, Tate, Guggenheim, Centre Pompidou. Dlatego największe światowe muzea działają na zasadzie franczyzy, udostępniając (oczywiście za niemałe pieniądze) prawo do korzystania z nazwy, know how i kolekcji.

Guggenheim przecierał szlaki muzealnej franczyzy w Bilbao, ale takie filie powstają najczęściej w bogatych krajach arabskich czy Chinach. W ten sposób działa Luwr, Centre Pompidou, większość wielkich zachodnich muzeów tworzy specjalne wystawy, które wypożyczają za sporym zyskiem.

Wielkie muzea coraz bardziej przypominają korporacje. I to widzowie, a może należałoby powiedzieć – konsumenci wskazują, czego od muzeum oczekują. A oczekują wielkich nazwisk. Dlatego wśród najbardziej uczęszczanych wystaw wciąż dominują biali mężczyźni ze starych podręczników do historii sztuki.

Z nielicznymi wyjątkami – w zeszłym roku w londyńskim Tate Modern trwała wystawa Magdaleny Abakanowicz. Tylko że abakany można było podziwiać we względnie spokojnym, a na ekspozycji Paula Cézanne’a w sąsiednim skrzydle muzeum panował tłok.

Ta masowość coraz częściej owocuje przedsięwzięciami o charakterze komercyjnym, traktującymi sztukę czysto naskórkowo. Skoro tak popularny jest van Gogh, dlaczego nie użyć jego malarstwa dla stworzenia multimedialnego, lunaparkowego spektaklu? Tak zwane wystawy immersyjne łączą najpopularniejsze nazwiska i dzieła z nowoczesną technologią, by stworzyć namiastkę kontaktu ze sztuką – pozornie ważną, bo ją popularyzującą (kiedyś powiedzieliśmy, sprowadzającą pod strzechy), lecz w istocie przerysowaną, zaprojektowaną bardziej pod rolę na Instagramie niż pod rozumienie i przeżywanie.

Z muzeum czy sztuką niewiele już mają wspólnego. Niczego też nie promują, żerują raczej na tym, co już dawno zyskało globalną popularność. Efekt jest taki, że wielcy artyści z przeszłości zaczynają kojarzyć się z kiczem.

Nieświadoma publiczność nabiera się na takie atrakcje, często powstające w miejscach uczęszczanych przez turystów. W Krakowie kilka miesięcy temu otworzyło się na turystycznym szlaku „muzeum”, które chwali się prezentowaniem ponad 150 reprodukcji (sic!) prac Banksy’ego, słynnego zaangażowanego streetartowca z Bristolu. Wystawy immersyjne czy

Z INSTAGRAMA

Wielkie muzea coraz bardziej przypominają korporacje. Dlatego wśród najbardziej uczęszczanych wystaw wciąż dominują biali mężczyźni ze starych podręczników do historii sztuki



krakowskie Muzeum Banksy należy jednak rozpatrywać nie w kategoriach sztuki, lecz turystycznych atrakcji, podobnych do domów odwróconymi do góry nogami czy parków wodnych.

Problem w tym, że szacowne muzea, a nawet artyści poddają się populistycznym naciskom. Krytyk Hal Foster już dawno zauważył, że dążenie nowoczesnych muzeów do tworzenia spektaklu stymulowało rozwój bardziej rozrywkowych praktyk artystycznych. Takich, w których rozrywka stawiana jest ponad wartościami historycznymi czy estetyczną kontemplacją. Widzowie mają być więc „aktywowani”.

Dziś decydują o tym często media społecznościowe i kultura selfie. Dzięki Instagramowi i Tik Tokowi na najbardziej rozpoznawalną artystkę na świecie urosła Yayoi Kusama, wiekowa już Japonka, której znakiem rozpoznawczym stały się dynie malowane w kropki i budowane za pomocą iluzji optycznej i luster niekończące się przestrzenie (Infinity Mirror Rooms). Nikt jednak nie zastanawia się głębiej nad przekazem jej twórczości, nie chodzi nawet o to, by na tę sztukę patrzeć, lecz by się na jej tle sfotografować.

Jeśli dziś muzeum decyduje się na zrobienie wystawy Kusamy, to zazwyczaj po to, by przyciągnąć więcej widzów, którzy może – przy okazji – pójdą też na inne wystawy. Taką ekspozycję Kusamy miało przez trzy lata nawet londyńskie Tate Modern. Jedną z najbardziej radykalnych artystek XX wieku w epoce Instagrama stała się ofiarą własnych kropek.

Dużą popularnością cieszy się też Argentyńczyk Leandro Erlich, również tworzący instalacje oparte na iluzji optycznej. Jedną z jego prac jest fasada budynku narysowana na podłodze – widzowie mogą się na niej położyć i sfotografować w ogromny lustrze. Na zdjęciach wydają się chodzić po budynku niczym Spiderman. W Azji i Ameryce chętnie organizuje się też wystawy Kawsa, byłego amerykańskiego streetartowca, a dziś głównie producenta kolekcjonerskich figurek, przypominających postacie z pop kultury. W mu-

*Wystawy immersyjne
czy krakowskie
Muzeum Banksy’ego
należy rozpatrywać nie
w kategoriach sztuki, lecz
turystycznych atrakcji,
podobnych do domów
odwróconymi do góry
nogami czy parków
wodnych*

*Polskie muzea nie mają
arcydzieł impresjonistów,
Picassa czy Kusamy, ale
dzięki temu nie muszą się
zmagać ze stojącymi za nimi
obciążeniami. Nie muszą też
nic udawać*

▲ **Kwiecień 2005, „Mona Lisa” wystawiono w odnowionej Salle des Etats, jednej z głównych sal Luwru** FOT. RAPHAEL GAILLARDE / GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

▼ **Wystawa Magdaleny Abakanowicz w Tate Modern** FOT. MADELEINE BUDDO / TATE PHOTOGRAPHY

► **Wrzesień 2022, Konstancin-Jeziorna pod Warszawą, wystawa „Tamara Łempicka a art déco” w Muzeum Villa la Fleur** FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

zeach Kaws, rozmazujący granicę między sztuką wysoką i komercyjną, pokazuje ich wielometrowe wersje.

Muzea tłumaczą się, że przyciągając widzów do muzeum, chcą ich też zachęcić do zobaczenia bardziej ambitnych wystaw. Ale czy takie rozrywkowe podejście rzeczywiście mieści się w misji muzeum?

Polski historyk sztuki Piotr Piotrowski kilkanaście lat temu sformułował koncepcję muzeum krytycznego. Miała być to instytucja czerpiąca z doświadczeń współczesnych artystów, zaangażowana w bieżącą debatę publiczną, nie unikająca sporów oraz krytycznie podchodząca do własnej przeszłości i zbiorów. Przez moment próbował wprowadzać tę ideę w życie jako dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. To wtedy, w 2010 r. kurator Paweł Leszkowicz przygotował wystawę „Ars Homo Erotica”, pierwszy duży przekrojowy pokaz sztuki o wyraźnie nieheteronormatywnym spojrzeniu, równocześnie przyglądającą się muzeum i jego zbiorom queerowym okiem.

Muzeum krytyczne, porównywane przez Piotrowskiego do forum, miało się wyróżniać od innych typów muzeów: muzeum-świątyni i muzeum-rozrywki. Muzeum-świątynia jest konserwatywne, jego głównym celem jest pamięć. To właśnie muzeum kojarzone ze ciszą, dziś już rzadko spotykane. Muzeum rozrywki na pierwszym miejscu stawia zadowolenie zwiedzających. Opiera się na muzealnym populizmie, jego celem jest wysoka frekwencja, z co za tym idzie – wzrost przychodów z biletów.

Ten właśnie model dziś wygrywa.

Dlatego diagnozy i przestrogi Piotrowskiego nadal pozostają aktualne. W Polsce przeżyliśmy osiem lat „dobrej zmiany” w kulturze – okres, w którym trudno było rozwijać model muzeum zaangażowanego i autokrytycznego. Udało się to nielicznym, bliska koncepcji muzeum krytycznego Piotrowskiego jest z pewnością działalność Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Dyrektorka MSN-u Joanna Mytkowska postarała się jednak, by uniezależnić muzeum od polityki Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego kierowanego do niedawna przez Piotra Glińskiego. Jej placówka stara się podejmować – uważa, będzie podniosłe – ważne, aktualne tematy. Wiele z wystaw z programu MSN-u ma wyraźnie feministyczny rys („Bez mistrza, bez pana”, 2023; „Farba znaczy krew” 2019) czy dotyczą zmian klimatu („Wiek półcienia”). Wraz z Muzeum Warszawy MSN współorganizuje coroczny festiwal „Warszawa w Budowie”, przyglądający się najważniejszym wyzwaniom stojącym przed stolicą: mieszkalnictwu, ruchowi drogowemu, wszechobecnym reklamom czy – ostatnio – zmianom klimatycznym. W festiwal zaangażowane są często organizacje społeczne i aktywiści.

Jeszcze bliższa krytycznej koncepcji Piotrowskiego jest Galeria Labirynt z Lublina, miejska instytucja kierowana przez Waldemara Tatarczuka. To instytucja znacznie mniejsza od MSN-u, ale dzięki temu bardziej elastyczna. Zwłaszcza w latach rządów PiS Tatarczuk zamienił Labirynt w galerię szybkiego reagowania, tworząc wystawy i projekty ad hoc, odpowiadające na bieżące problemy. Gdy w kampanii prezydenckiej 2020 roku Andrzej Duda sięgał po homofobiczną retorykę, w Labiryncie można było oglądać wystawę „Jesteśmy ludźmi” (w kontrze do wypowiedzi prezydenta), dając głos artystom i aktywistom LGBTQ+.

Skręcanie w kierunku rozrywkowym i populistycznym nie jest związane z konkretną opcją polityczną. Jednak w Polsce ten populistyczny trend ma inny wymiar niż na Zachodzie. Mimo kolejek na wybrane wystawy, nad Wisłą boom na muzea sztuki nigdy na dobrą sprawę nie miał miejsca.

Większość instytucji mieści się w starych lub nudnych budynkach, w dobrze znanej nadwiślańskiej skali i widelkach finansowych. Kaws nie miałby tu czego szukać, nie ma nawet instytucji, która dysponowałaby odpowiednimi gabaryta-



Kiedy w zeszłym roku w londyńskim Tate Modern trwała wystawa Magdaleny Abakanowicz, abakany można było podziwiać we względnie spokojnym, a na ekspozycji Cézanne’a w sąsiednim skrzydle panował tłok



mi, by jego prace pokazywać. Polskie muzea nie proponują też wystaw-blockbusterów z prawdziwego zdarzenia. Na nie wciąż musimy jeździć do Berlina, Londynu, Paryża, Amsterdamu.

Polskie muzea często serwują namiastki wystaw, okraszając je rozbudowanym marketingiem. To wystawy, które takie blockbustery udają, dzięki operowaniu głośnymi nazwiskami, skuteczną promocją i marketingiem internetowym.

Muzeum Narodowe w Warszawie przez lata wypracowało efektywne strategie komunikacji z widownią. Sprawnie wykorzystuje media społecznościowe tak, by uatrakcyjnić wystawy. Strzałem w dziesiątkę okazał się wypromowany przez muzeum specjalny filtr, który przekształcał zdjęcia w portrety a'la Witkacy. W ten sposób muzeum zachęcało w 2022 r. do przyjęcia na wystawę Witkacego. Dzięki temu ekspozycja dosyć nudna, do tego próbująca na siłę uczynić z niego artystę nowatorskiego i europejskiego formatu, przeżyła prawdziwe obłędzenie.

W tym samym roku do muzeum ustawiły się kolejki na wystawę Chagalla. Rzecz w tym, że składało się na nią zaledwie kilkanaście prac na papierze, których zakupem (ze środków z rezerwy budżetowej) szczyciło się MNW. Pod koniec 2024 r. warszawskie muzeum próbowało zaś przyciągnąć widzów na hasło „Picasso”. Lecz na dobrze opracowaną merytorycznie wystawę składały się głównie grafiki oraz ceramika hiszpańskiego mistrza, do tego w przeważającej części ze zbiorów własnych.

Hitem frekwencyjnym ostatniego czasu była wystawa Tamary Łempickiej, objeżdżająca polskie muzea. W Muzeum Narodowym w Krakowie, mimo specjalnej, wysokiej ceny biletów, ustawiły się kolejki. Tymczasem wystawa była stosunkowo niewielka i nieefektywna. Ale Łempicka z jej malarstwem w aurze międzywojnia, już dawno stała się synonimem kiczu, którym łatwo oblepić wszelkiej maści gadzety. Zresztą wyjście z wystawy prowadziło przez sklep z pamiątkami. Muzeum nie starało się też w żaden sposób twórczości

Łempickiej problematyzować, zajmując się chociażby zawilóściami jej kariery czy wątkami lesbijskimi. Chodziło o publiczność.

Nie ma nic złego w sprawnym marketingu czy angażującej widzów zabawie. Co jednak, gdy marketing przesłania muzealne i kuratorskie mielibyśmy? I produkowanie sztuki celowo rozrywkowej, i niewspółmierne do skali projektów wystawienniczych marketing, to droga na skróty. Wydaje się jednak, że takie granie z publicznością może mieć krótkie nogi, bo też łatwo stracić jej zaufanie, jeśli hasła „Picasso”, „Łempicka” czy „Chagall” okażą się wydmuszkami.

Paradoksalnie, brak dzieł wielkich światowych nazwisk w polskich kolekcjach (i brak środków na ich wypożyczenie) nie musi być wyłącznie słabością. Można w nim widzieć potencjał, gwarantujący większą wolność w kształtowaniu muzealnych programów. Ostatnia dekada pokazała, że polska publiczność jest coraz bardziej ciekawa sztuki, nie tylko głośnych nazwisk. Dużą popularnością cieszyły się wystawy skandynawskiego malarstwa w Muzeum Narodowym w Warszawie, Wojciecha Fangora w Muzeum Narodowym w Gdańsku czy Wilhelma Sasnała w Muzeum Polin w Warszawie. Były zarazem ambitne i chętnie odwiedzane przez publiczność. A ilość osób gotowych ustawiać się w kolejki na wystawę Prymacychenko pokazuje, że polską publiczność interesują nie tylko dawni mistrzowie.

Prawdziwym sprawdzianem okaże się otwarcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej na placu Defilad, w samym centrum Warszawy. Tu oczekiwania związane z frekwencją będą o wiele większe niż w niewielkim pawilonie nad Wisłą, w którym funkcjonowało w ostatnich latach. Polskie muzea nie posiadają arcydzieł impresjonistów, nie mają w kolekcjach Picassa czy Kusamy, ale dzięki temu nie muszą się zmagać ze stojącymi za nimi obciążeniami. Nie muszą też nic udawać, działać we własnej skali.

Być może to poza starymi artystycznymi centrami będzie się kształtował kanon przyszłości. ●

NIE MAMY PANA LAJKÓW I CO NAM PAN ZROBI

Niemówność upewnienia się, czy padliśmy ofiarą cenzury sprawia, że cyfrowe korporacje mogą zaprzeczać, robiąc z nas wariatów.

Emilia Dłużewska

W alka z shadow banem może wyglądać tak: aktywistka wrzuca do instagramowej relacji zdjęcia z bombardowanej Gazy. Pomiędzy nimi selfie z psem.

Albo tak: dziennikarka zajmująca się prawami reprodukcyjnymi relacjonuje debatę o „ab-04cji”. A popularni podcasterzy wypikują w nagraniu słowo „samobójstwo”.

Bywa i tak: reżyserka filmów dla dorosłych zapowiada premierową produkcję. We wpisie poleca najnowszy film. I dodaje obrazek z kukurydzą.

Pierwszą rzeczą, której dowiedzie się o shadow banie, to, że nie istnieje. Jego istnieniu zaprzeczają Meta (właściciel Facebooka, Instagrama i WhatsAppa), go-golowski YouTube, chiński TikTok i niedysiejszy Twitter (za rządów Elona Muska przemianowany na X).

Druga rzecz, której się dowiedzie, to jak shadow bana uniknąć. Listy porad, mających uchronić użytkownika przed nieistniejącym przekleństwem, publikują portale branżowe, blogerzy, aktywiści i media.

Trzecią jest rzekoma lista ofiar. Szeroka: od republikańskich polityków w USA, na czele z Donaldem Trumpem, przez feministyczne aktywistki i satyryczny profil Make Life Harder, po influencerki z Indii.

Ban na trolli wymknął się spod kontroli

Czym jest shadow ban? To sposób cenzurowania treści w internecie. W odróżnieniu od zwykłego zablokowania konta, dyskretny: użytkownik nie dostaje powiadomienia, że jego konto zostało ocenzone. Nadal może publikować w mediach społecznościowych wpisy i zdjęcia, przygotowywać rolki i stories, zamieszczać wi-

deo. O tym, że coś jest nie tak, dowie się od obserwatorów, gdy nie będą mogli podać dalej jego wpisu czy wyszukać konta lub z analizy statystyk, gdy zamiast kilkunastu tysięcy osób nową rolę zobaczy kilkaset. Albo też nie dowie się nigdy.

Ukrywać treści zaczęli moderatorzy forów dyskusyjnych jeszcze przed erą mediów społecznościowych. To prostsze niż blokowanie konta czy usuwanie komentarza, nie naraża na oskarżenie o cenzurę.

Tyle że teraz decyzje podejmują nie konkretne osoby, a gigantyczne platformy. I niechętnie je rewidują.

Shadow ban jest pojęciem nieostrym. Może oznaczać ukrywanie postów zawierających słowo kluczowe, uniemożliwianie dzielenia się nimi, wyrzucenie całych kont z aktualności czy pomijanie w wyborze propozycji mogących zainteresować użytkownika.

Nie stosujemy shadow bana – deklaruje rzecznicy Facebooka, Instagrama czy YouTube’a. – Po prostu dbamy o to, by nasi użytkownicy dostawali najciekawsze treści. I nie byli narażeni na kontakt z treściami nieodpowiednimi jak nagość, przemoc, nawoływanie do nienawiści czy spam.

Kim Kardashian wygrywa z Napalm Girl

To proste tylko w teorii. W 2016 r. Facebook ocenzurował słynną fotografię Nicka

Uta przedstawiającą ofiarę amerykańskiego bombardowania napalmem w Wietnamie. Dziewięcioletnia Phan Thi Kim Phuc, przez lata znana jako „Napalm Girl”, ma na nim dziewięć lat. Poparzona, przerażona i naga ucieka z płonącej wioski.

Opublikowane w 1972 r. zdjęcie zrobiło ogromne wrażenie na amerykańskiej opinii publicznej i uważane jest za jeden z najważniejszych obrazów wojny w historii. Można dyskutować, czy wrzucanie go na Facebooka cztery dekady po wycofaniu amerykańskich wojsk z Wietnamu jest etyczne, na ile współcześnie jego pacyfistyczne przesłanie równoważy odarcie Kim Phuc z prywatności, można cytować Susan Sontag i jej „Widok cudzego cierpienia”.

Ale decyzja Facebooka nie miała z tą dyskusją nic wspólnego. Mechanizm był prosty: nagość = ban. Gdy na platformę posypały się gromy, jej COO Sheryl Sandberg przeprosiła i wycofała się z cenzury.

Historia „Napalm Girl” to przykład ekstremalny, ale niejasne kryteria dotyczące nagości dotyczą wielu użytkowników, a zwłaszcza użytkowników mediów społecznościowych. Instagramowi i Facebookowi zdarzało się cenzurować m.in. zdjęcia kobiet po mastektomii, publikowane na kontach o leczeniu raka czy kobiety karmiącej piersią. A przecież nie mają problemu ani z nagimi męskimi torsami, ani

z Kim Kardashian w mikroskopijnym bikini.

Prezisi społecznościowych gigantów, wezwani do tablicy, przepaszali i zmieniali decyzję. Oraz wyciągali wnioski: po co narażać się na awantury, tłumaczyć z niejasnych regulacji i przepaszzać, skoro jest łatwiejsze rozwiązanie?

Do trzech razy sztuka

Doświadczyła tego dr Carolina Are, kryminolożka i wykładowczyni uniwersytetu w brytyjskim Newcastle. A także instruktorka tańca na rurze.

Poledancing wywodzi się z klubów ze striptizem, ale w ostatniej dekadzie zdobył sporą popularność jako ćwiczenia wymagające sprawności, siły i rozciągłości. W 2016 r. Are trafiła na kurs, a treningi stały się jej pasją. Ćwiczyła coraz więcej, w 2019 r. zdobyła uprawnienia instruktorki. I zauważyła coś dziwnego: choć na jej instagramowym koncie przybywało obserwujących, filmiki zdobywały coraz mniej polubień.

Are pytała, czy została ocenzone. Przedstawiciele platformy zaprzeczyli. Zasięgi nadal spadały. Podobnie jak u innych tancerek.

Kiedy Are przesłała do biura prasowego Instagrama ich zbiorczą skargę, przedstawiciele platformy przyznali, że „pewna liczba hashtagów, w tym #poledancenation





tumarianina śledzi ponad 27 tys. osób.

– Wystarczy, że podam dalej post z palestyńskiego konta, choćby jeden, a z siedmiu tysięcy wyświetleń robi się tyśiąc.

„Po tym, jak wrzuciłam na Instagram story poświęcone wojnie w Gazie, na moje konto został nałożony shadow ban” – za-tweetowała 15 października 2023 r. Azmat Khan, nagrodzona Pulitzerem dziennikarka śledcza „New York Timesa” i wykładowczyni dziennikarstwa na Columbia University. „Wielu moich współpracowników i za-przyjaźnionych dziennikarzy donosi, że ich też to spotkało”.

Tego samego dnia jeden z rzeczników Meta Andy Stone oświadczył, że firma znalazła usterkę powodującą niewyświetlanie się części stories i zmniejszenie ich zasięgów. „Usterka w takim samym stopniu dotknęła kont na całym świecie i nie miała żadnego związku z treścią postów” – zapewnił.

Minęło pół roku, ale dynamika dyskusji się nie zmieniła: użytkownicy mediów społecznościowych twierdzą, że ich wpisy poświęcone Gazie są celowo wyciszane. A przedstawiciele tychże mediów kategorycznie te oskarżenia dementują.

W grudniu 2023 r. broniąca praw człowieka organizacja Human Right Watch opublikowała raport o cenzurze pokojowych treści poświęconych Gazie na platformach społecznościowych należących do Meta. Jego autorki, Deborah Brown

więcej reakcji nagle mają ich kilkanaście – mówi. – Nie wierzę, że jest to tylko y-nik malejącego zainteresowania tematem aborcji, zwłaszcza że jesteśmy w kontakcie z organizacjami międzynarodowymi, które doświadczają tego samego.

Broniarczyk ocenia, że zmiana dokonała się w ciągu ostatnich dwóch lat. – Po wyroku Trybunału w 2020 r. nie odczuwałyśmy spadku zasięgów, mam wrażenie, że mogłyśmy pisać cokolwiek. Ale kiedy rozpoczął się proces Justyny Wydrzyńskiej, zauważyłyśmy duże spadki. A jednocześnie Facebook zaczął nas zachęcać do wykupienia postów sponsorowanych, co zwiększa zasięgi.

Proces Wydrzyńskiej, skazanej za wysłanie innej kobiecie tabletek aborcyjnych, rozpoczął się w kwietniu 2022 r. W tym samym czasie amerykańscy konserwatyści prowadzili kampanię mającą doprowadzić do wykreślenia prawa do aborcji z konstytucji. Sąd Najwyższy USA zrobił to w czerwcu 2022 r. – Dziś dostajemy upomnienia nawet za treści, które wcześniej publikowaliśmy wielokrotnie. Choćby za podanie dalej wpisu ministry Katarzyny Kotuli, która opisała, jak zrobić aborcję tabletkami i podała numer do Aborcji Bez Granic – opowiada aktywistka.

– Aborcyjny Dream Team zajmuje się nie tylko pomocą w aborcjach, ale też ich destygmatyzacją. Chcemy normalizować doświadczenie aborcji, rozmawiać o nim

Instagramowi i Facebookowi zdarzało się cenzurować zdjęcia kobiet po mastektomii czy karmiących piersią. A przecież nie mają problemu z Kim Kardashian w mikroskopijnym bikini

i #polemianiabr została błędnie zablokowana, co już naprawiliśmy”. Dodali: „Z Instagrama każdego miesiąca korzysta ponad miliard ludzi. Przy działalności w takiej skali nie obejdzie się bez pomyłek”.

Można westchnąć: tancerki na rurze będą musiały prezentować swoje akrobacje gdzie indziej, trudno. Ale ukryta w cieniu cenzura dotyka też użytkowników podejmujących zgola inne, dużo poważniejsze tematy.

Shadowban: nie mamy pana obserwatorów

Toufic Braid, libański influencer i komik, na Instagramie ma 1,2 mln obserwatorów. W grudniu 2023 r. – gdy rozmawiał z Elianą Mallouk i Youmną Cham, które opisały jego przypadek na blogu prestiżowej brytyjskiej uczelni London School of Economics – było ich około miliona.

Przeciętnie jego relacje trafiały do około 200 tys. osób. Aż Braid zaczął wrzucać na swoje konto relacje z bombardowanej przez izraelskie wojsko strefy Gazy. Zasięgi spadły do 5 tys. – Przypadek? – pytał re-torycznie.

Nie jest jedyny. – Istnieje bardzo jasna zależność między liczbą wyświetleń a treściami proalestyńskimi – mówi mi Nina Michnik, działaczka społeczna i członkini stowarzyszenia Podróżnych Ugości. Jej instagramowe konto @

i Rasha Younes, potwierdziły ponad ty-siąc przypadków cenzury: usuwania wpisów i zawieszania kont, uniemożliwiania komentowania, dzielenia się treściami czy tworzenia relacji na żywo, wreszcie zmniejszania zasięgu konta przez ograniczenie jego widzialności lub uniemożliwienie namierzenia go z pomocą wyszukiwarki.

Co na to Meta? „Autorzy raportu ignorują trudności związane z egzekwowaniem naszego regulaminu w realiach szybko zmieniającego się, wysoko spolaryzowanego, intensywnego konfliktu, które sprawiły, że dostajemy więcej niż zazwyczaj zgłoszeń o naruszeniu zasad” – napisał w oświadczeniu Ben Walters. I dodał: „Nie ukrywamy, że zdarza nam się popełniać błędy, które dla wielu osób są frustrujące, ale sugerowanie, że celowo i systemowo tłumimy wyrażanie konkretnych poglądów, jest nieprawdziwe”.

W swoim raporcie pracownicy HRW wyliczyli 1050 potwierdzonych przypadków cenzury wpisów. 1049 dotyczyło treści proalestyńskich.

Aborcja? Nie na Facebooku

O istnieniu shadow bana przekonana jest Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu, który pomaga Polkom przerywać niechciane ciąży. – Widzimy, że podobne wpisy, które wcześniej miały tyśiąc czy

i to sprawia, że obecność w mediach społecznościowych jest dla nas tak ważna – tłumaczy Broniarczyk. – Zwłaszcza że w Polsce przerwanie własnej ciąży jest legalne, więc piszące do nas na Instagramie czy Facebooku osoby nie muszą się bać, że ich dane zostaną przekazane policji.

Kogo wolno cenzurować?

Przypadki Caroliny Are, Toufica Bradi, Niny Michnik czy Aborcyjnego Dream Teamu reprezentują jedną stronę dyskusji o shadow banie. Można by do nich dorzucić kolejne: aktywistów queerowych, feministki z RPA opisujące przypadki zabójstw kobiet w ich kraju, uczestników antyrasistowskich protestów ruchu #BlackLivesMatter. Patrząc tylko na nie, można by uznać, że sprawa jest prosta: złe media społecznościowe cenzurują aktywistów, tłumia wolność słowa czy ekspresji.

Ale czy to, co w jednych przypadkach uznamy za cenzurę, w innych nie wyda się nam przejawem odpowiedzialności, której domagamy się od właścicieli mediów społecznościowych?

„Za każdym razem, kiedy publikuję tweet, nawet jeśli wszystko jest w nim całkowicie poprawne, dostaję upomnienie. Nie pozwalają ci wyjść do ludzi. Na Twitterze jest bardzo trudno znaleźć moje konto, bardzo trudno przebić się z moim przekazem.(...) Podobno nazywa się to shadow

ban. I powinno być nielegalne”. To cytat, nieco zredagowany, z przemówienia Donalda Trumpa wygłoszonego 6 stycznia 2021 r., chwilę przed tym, jak jego zwolennicy przypuścili szturm na Kapitol, usiłując uniemożliwić przejście władzy administracji Joe Bidena, zwycięzcy demokratycznych wyborów.

Zarzuty Trumpa trudno potraktować poważnie. Jeśli chodzi o zainteresowanie na Twitterze w czasach jego prezydentury, przebiegał go chyba tylko raper Kanye West.

Ale czy przekonanie republikańskich polityków, że ich głosy są w mediach społecznościowych tłumione, jest bezpodstawne?

W 2018 r. dziennikarze bynajmniej nie sprzyjającego konserwatystom magazynu „Vice” sprawdzili, że konta znanych republikańskich parlamentarzystów nie pojawiają się w podpowiedziach wyszukiwarki Twittera – w przeciwieństwie do zajmujących te same stanowiska demokratów. Rzecznik Twittera zapewnił, że nie ma to nic wspólnego z treścią tweetów, a jedynie „aktywnością kont na platformie”.

Oliwy do ognia dołał Elon Musk, który po przejściu Twittera obiecał „priorytetowo” przyrzeć się polityce poprzedników i jako jedyny z przedstawicieli cyfrowych korporacji użył określenia „shadow ban” w innym kontekście, niż zaprzeczenie jego istnieniu. W grudniu 2022 r. opublikował w internecie fragmenty wewnętrznych dokumentów firmy. Pokazywały one, że menadżerowie Twittera dyskutowali, czy zablokować tekst „New York Post” sugerujący, że Joe Biden spotkał się z doradcą ukraińskiej spółki energetycznej, w której zarządzie zasiadał jego syn Hunter Biden.

Opublikowany na trzy tygodnie przed wyborami raport był oparty na wątpliwych źródłach, z dziennikarskiego punktu widzenia co najmniej kontrowersyjny. Sześć platformy zdecydowało się zablokować konto „New York Post” i uniemożliwić użytkownikom przysyłanie sobie linku do tekstu w wiadomościach prywatnych. Facebook zapowiedział, że „ograniczy widoczność” tekstu do czasu weryfikacji zawartych w nim twierdzeń.

Musk, samozwańczy heros walki o wolność słowa, zaraz po przejściu Twittera w 2022 r. zadeklarował: koniec z shadow banem. Rok później zmuszony był przyznać, że sprawa nie jest taka prosta – algorytmy decydujące o tym, jaka treść jest polecana, a jaka zagrzebywana pod stośem innych twittów, są skomplikowane.

Póki co X zaczął uprzedzać niektórych użytkowników, że ich konto zostało „oznaczone” i „może to wpływać na jego widoczność”. Podobnie robią Instagram czy Facebook. Ale czy za każdym razem? Na swojej stronie X tłumaczy się tak: „Nie stosujemy shadow banów. Zawsze możesz zobaczyć tweety publikowane przez konta, które obserwujesz (choćby czasami będziesz musiał się bardziej postarać, na przykład wchodząc bezpośrednio na ich profil). I z całą pewnością nie ograniczamy widoczności postów na podstawie poglądów politycznych czy ideologii”.

Wyobraźmy sobie firmę, która w oficjalnym komunikacie stwierdza: „Nie pomijamy nikogo przy podwyżkach. Każdy może dostać podwyżkę (choć może się zdarzyć, że będzie musiał ciężiej na nią pracować). I z całą pewnością nie pomijamy przy podwyżkach pracowników krytykujących zarząd”. Przekonujące?

Czego nie wie nawet Elon Musk

Dla niektórych tak. W marcu 2022 r. dziennikarka „Financial Times” Elaine Moore opublikowała tekst „Prawda o shadow banach jest bardziej skomplikowana, niż myślał influencerzy”. Pisz: „Zamiast uwiaryścić, że ich popularność błędnie, niektórzy [influencerzy] kurczowo trzymają się koncepcji shadow bana: narzędzia dyscyplinowania twórców, których platforma nie może wykluczyć. Zgodnie z tą teorią, korporacje nie mogą ich wyrzucić, bo nie naruszyli bezpośrednio regulaminu. Zamiast te-

go wybierają tchórzliwą zemstę, zawężając grupę odbiorców ich postów. Instagram i inne korporacje są oskarżane przez użytkowników o celowe manipulowanie algorytmami tak, by zmniejszyć zainteresowanie ich treściami”.

Przedstawianie shadow banów jako myślenia spiskowego mającego usprawiedliwić własne porażki to podejście tyleż wyraziste, co nietrafne. Ale Moore słusznie zwraca uwagę na pułapkę traktowania wielkich cyfrowych korporacji jak ludzi, którzy mają jasne cele, poglądy czy intencje i podejmują zgodne z nimi decyzje.

Tymczasem, jak pokazał przykład Elona Muska, mechanizm cyfrowej cenzury jest dużo bardziej skomplikowany niż cenzura analogowej.

Media społecznościowe operują na ogromną skalę. Na X (Twitterze) zarejestrowanych jest pół miliarda użytkowników; branżowe media szacują, że w ciągu minuty pojawia się kilkaset tysięcy nowych wpisów. W styczniu 2024 r. z Instagrama korzystało aktywnie 2 mld osób miesięcznie, z Facebooka – ponad 3 mld. TikTok ma ponad miliard aktywnych użytkowników miesięcznie.

Nie wszyscy użytkownicy publikują wpisy, relacje czy wideo. Za to ci, którzy to robią, niekoniecznie ograniczają się do jednego dziennie. Do tego dochodzą boty, masowo produkujące i podające dalej treści (dość wspomnieć, że regulamin X zakazuje publikacji ponad 2,4 tys. wpisów dziennie). Wszystko to w wielu językach i z użyciem różnych alfabetów.

Kontrolowanie tych treści jest trudne na wielu poziomach. Również psychologicznym – moderatorzy godzinami oglądają brutalne zdjęcia, pornografię (w tym dziecięcą), a nawet transmitowane na żywo samobójstwa. Tnąc koszty, cyfrowe korporacje przenoszą moderację do krajów globalnego południa, a pracowników zatrudniają przez lokalne firmy, by nie ponosić odpowiedzialności za ich psychiczny dobrostan. Moderatorzy są przepracowani, psychicznie obciążeni, muszą bardzo szybko podejmować decyzje, często nie mając kulturowego kontekstu.

Odciążeniu moderatorów (i dalszemu cięciu kosztów) pomaga fakt, że proces weryfikacji wpisów w coraz większym stopniu odbywa się automatycznie – za wstępną ocenę odpowiada szereg algorytmów. Zasady ich działania są niejasne i zmienne.

Na zasięg posta może wpływać godzina publikacji, liczba hashtagów, zdjęcie i to, co się na nim znajduje, użycie słów kluczowych i/lub wulgaryzmów, długość wpisu, częstotliwość publikowania, liczba i rodzaj interakcji, w jakie wchodzi konto, zebrane przez platformę informacje dotyczące preferencji, zainteresowań czy poglądów twórcy i odbiorców, miejsce, gdzie konto jest zarejestrowane i gdzie się loguje.

A także odzew ze strony innych użytkowników, zachęcanych, by zgłaszać niebezpieczne lub niechciane treści. Przy pewnej liczbie zgłoszeń post zostaje automatycznie zablokowany, co świadomie wykorzystują wszystkie strony politycznych konfliktów, masowo zgłaszając profile, które publikują wpisy niezgodne z ich światopoglądem. – Wiemy, że część naszych treści jest blokowana właśnie z tego powodu – mówi Natalia Broniarczyk.

Specjalistom od mediów społecznościowych zdarza się rozgryźć optymalny schemat algorytmów tylko po to, by z dnia na dzień okazał się nieaktualny. Algorytmy działają na zasadzie uczenia maszynowego i pracują na ogromnych zbiorach danych, których wciąż im dostarczamy. W praktyce oznacza, że nawet ich twórcy nie są w stanie na bieżąco określić wszystkich kierujących nimi zasad.

Instagram robi z nas wariatów

A to ma oddziaływanie psychologiczne. Im bardziej niejasne reguły, tym łatwiej ulec zniekształceniom poznawczym

– na przykład, jak sugerowała Moore, założyć, że mały odzew zawsze jest działaniem wrogich nam sił. Albo uwierzyć, że tylko my padamy ofiarą cenzury. Opublikowane w grudniu 2023 r. badanie Martina J. Riedla, Zelly C. Martin i Samuela C. Wooley’a pokazuje, że w czasie, gdy Sąd Najwyższy USA debatował nad Roe vs Wade zarówno antyaborcyjni, jak i proaborcyjni aktywiści uważali, że ich głosy w mediach społecznościowych są cenzurowane, podczas gdy druga strona sporu może się wypowiadać swobodnie.

Jak trudno realnie ocenić wpływ algorytmów, pokazuje przykład Jimmy’ego Moralesa. 36-letni programista 31 marca 2023 r. zamieścił na Twitterze screen z kodu, który miał odpowiadać za ukrywanie wpisów ze słowami „Trump”, „Epstein”, „Żydzi”, „Soros”, „szczepionka” czy „Pepe”, od imienia rysunkowego bohatera, którego, wbrew woli twórcy, przywłaszczyła sobie amerykańska skrajna prawica. Screen był fałszywy, Morales zamieścił go w sieci jako primaaprilisowy żart. Ale informacja błyskawicznie poniosła się po sieci, a podając ją dalej użytkownicy byli przekonani o jej prawdziwości.

Czy wiara w cenzurowanie Trumpa na Twitterze, o którym to cenzurowaniu donosi na Twitterze sam Trump, jest paradoksem? Owszem. A jednocześnie sam fakt, że coś widzimy, nie znaczy, że nie dostęp do tego nie został utrudniony.

Wiemy, że algorytmy istnieją i faktycznie cenzurują niektóre treści. Nie jesteśmy

żyć treści, które mogą zmniejszyć ich zasięgi, takimi, które je zwiększają: między poważne posty wrzucają zdjęcie pieska czy selfie; do instagramowych stories dołączają fikcyjne ankiety, zachęcając obserwujących do klikania, bo interakcje z wpisami zwiększają ich widoczność.

– Zdarza mi się robić screeny treści, które chcę podać dalej, żeby algorytm „prze-gapił” słowa, które mogą wpływać na zasięgi. Ale sama nie wiem, jak dalece to skuteczne – mówi Nina Michnik. – Zdarza się też, że dodaje swoje zdjęcie. To skuteczne, choć nie dla karmienia algorytmu, a jako komunikat do odbiorcy. Normalnie nie wrzucam selfie czy zdjęć zupy, więc moi odbiorcy rozumieją, że to prośba o interakcję.

– Nie wszystko da się obejść – dodaje. – Jeśli chcę zapowiedzieć ważny protest czy zbiórkę, wyciszam się kilka dni, żeby odzyskać zasięgi. Kiedy zbierałam pieniądze na pomoc dla mojej przyjaciółki, przestałam korzystać z Instagrama na dwa dni. Potem wrzuciłam zdjęcie psa, zrobiłam dzień przerwy i dopiero wtedy dałam link do zbiórki. Udało się, zebrałam całą potrzebną kwotę.

Walka z algorytmami toczy się po omacku. Trudno ocenić, gdzie kończy się spryt, a zaczyna myślenie magiczne. Nasz gatunek ma skłonność do antropomorfizowania: zwierzętom, a nawet przedmiotom nieożywionym przypisujemy ludzkie cechy. O algorytmach, często nieświadomie, myślimy i mówimy jak o złośliwych

Traktowanie wielkich cyfrowych korporacji jak ludzi, którzy mają jasne cele, poglądy czy intencje i podejmują zgodne z nimi decyzje to pułapka

jednak w stanie stwierdzić, jak. Dr Kelley Kotter, badaczka mediów cyfrowych z Penn State University, relację między algorytmami mediów społecznościowych a ich użytkownikami nazywa „gaslightingiem czarnej skrzynki”. Przekładając na prosty język: niemożność upewnienia się, czy padliśmy ofiarą cenzury, sprawia, że cyfrowe korporacje mogą zaprzeczać, robiąc z nas wariatów.

Nie wszystko da się obejść

Znam to uczucie. Zanim zaczęłam pisać ten tekst, wrzuciłam na moją stronę na Facebooku selfie (dla zasięgów) i kilka zdań o książce dziejącej się w Rumunii w czasach obowiązywania niesławnego dekretu 770 kryminalizującego aborcję. Odzew był znacząco mniejszy niż przy poprzednich postach. Czy dla moich obserwujących ten wpis był po prostu nudniejszy, czy zadziało się coś jeszcze?

Wiele osób woli nie ryzykować. Do wyboru mają autocenzurę lub próby obejścia algorytmów. Część skupia się na potencjalnie zapalnych słowach, szukając innego zapisu: wykropkowując niektóre litery, podmieniając „a” na „@” czy „o” na „0”. Albo, jak twórcy filmów dla dorosłych, stosują podwójne szyfrowanie: słowo „porn” zastępują emoji z kukurydzą (po angielsku: „corn”).

Można też, zamiast zamieszczać wpis, napisać go w innej aplikacji, a potem zrobić zrzut ekranu, tak, żeby algorytm zobaczył zdjęcie. Niektórzy próbują równowa-

duchach, w sztucznej inteligencji widzimy gotowe przejąć kontrolę roboty z dystopijnych filmów sci-fi.

Nina Michnik dodaje, że czasem przekaz przebija się, choć pisze wprost. – Bywa, że cenzura po prostu nie działa. Kiedy pojawiły się pierwsze doniesienia o szturmie wojsk Izraela na szpital Al-Shifa, współorganizowałam spontaniczne zgromadzenie pod Pałacem Prezydenckim. Moi obserwatorzy zaczęli podawać wiadomości dalej, dotarła do bardzo wielu osób. Aborcyjny Dream Team z algorytmami nie walczy. – Przyjęliśmy strategię mówienia o aborcji wprost, więc nie cenzurujemy naszego przekazu w mediach społecznościowych – tłumaczy Broniarczyk. – Nasze wpisy i tak okazują się mniej ryzykowne od wpisów antyaborcjonistów, epatujących rozerwanymi płodami. Kiedy zdarzało nam się informować o ich działalności, widziałyśmy, jak szybko te posty są usuwane.

Zaznacza, że choć Aborcyjny Dream Team chce być obecny w mediach społecznościowych, to nie zamierza polegać tylko na nich. – Mamy swoją stronę internetową, pracujemy nad czatem, by osoby potrzebujące aborcji mogły do nas pisać również tam. Ale traktujemy to jako plan awaryjny.

Cała władza w ręce korporacji

Dr Carolina Are opisując swoje zmagania z Instagramem, przytacza teorię Ulricha Becka, zmarłego w 2015 r. niemieckiego so-

cjologa, który w latach 80. XX wieku ukuł pojęcie „społeczeństwa ryzyka”. Beck pisał, że we współczesnym, zglobalizowanym świecie unikanie ryzyka staje się społeczną obsesją i nadrzędnym celem, który wpływa na strukturę społeczną, styl życia, sposób prowadzenia polityki i, szerzej, struktury władzy. A ponieważ świat cały czas przyspiesza, jest to zarazem cel nieosiągalny.

„Polityka ryzyka” uwypukla i podtrzymuje nierówności społeczne. Ten, kto zarządza ryzykiem, dostaje władzę nad tymi, których ma bronić przed szkodą. Beck jako przykład podaje firmy ubezpieczeniowe, które arbitralnie regulują ceny tak, by w ostatecznym rozrachunku to one wyszły na plus. Równie dobrze mogą to być jednak cyfrowi giganci, powtarzający, że media społecznościowe mają być bezpieczną przestrzenią.

Are zwraca uwagę, że w regulaminach mediów społecznościowych nagość wymienia się jednym tchem z przemocą czy nękaniami. Kobiety suitek traktowany jest jako większe zagrożenie niż szzerzenie spiskowych teorii czy antyszepionkowej propagandy. Jak to jest, że na Facebooku, Instagramie czy Twitterze nie widzimy nagich zdjęć, choć użytkownicy z pewnością próbują je tam zamieszczać, a bez problemu znajdziemy wypowiedzi rasistowskie, seksistowskie, homofobiczne? W dodatku tak do tego przywykliśmy, że uważamy to za naturalne.

Tak samo, jak fakt, że wielką część naszego życia, komunikacji i relacji z innymi oddajemy pod kontrolę prywatnych firm. Boty przeczesujące nasze wpisy mogą nie mieć poglądów politycznych, nie znaczy to jednak, że mechanizm ich działania jest sprawiedliwy. Jak w przypadku niemal każdej technologii za pogrążonymi w mroku algorytmicznymi bechami stoją przeciw konkretne osoby. A za tymi osobami – akcjonariusze oczekujący dywidend.

O ile trudno obronić tezę, że presji cyfrowych korporacji osobiście selekcjonują posty, kierując się konkretnymi przekonaniami politycznymi, o tyle nie ma wątpliwości, że należące do nich firmy kierują się logiką zysku. Ta zaś wymaga sprawnego poruszania się między oczekiwaniami reklamodawców, niechętnych kontrowersyjnym treściami, użytkowników, których te treści rozpalają i skłaniają do komentowania, lajkowania i podawania dalej oraz rosnącymi naciskami administracji państwowych, domagających się od mediów społecznościowych wzięcia odpowiedzialności za publikowane w nich treści.

Znalezienie równowagi między tymi naciskami przypomina spacer po linie. Z tym że potencjalny upadek grozi nie korporacji, a użytkownikom. W dodatku, niektórym grupom częściej, niż innym.

Cenzura? Owszem, ale

A jednak większość z nich z Instagrama, TikToka czy Facebooka nie rezygnuje. Nie tylko dlatego, że jesteśmy do nich tak przyzwyczajeni. Toufic Braidī, Libańczyk piszący o Palestynie, w rozmowie z badaczkami zauważa, że obok wszystkich swoich wad, media społecznościowe mają też zaletę: pozwalają „dzielić się tym, czym chcemy, w czasach, kiedy mainstreamowe media tego unikają”.

Prawdą jest bowiem i to, że gdzieś pod korporacyjnym cynizmem, sprzedawaniem danych, dopaminową dilerką i bezczelną cenzurą jest w mediach społecznościowych również przestrzeń na rzeczy, na które w mediach tradycyjnych nie ma miejsca: długie, osobiste relacje, bezpośrednie interakcje z obserwatorami, wszystko to, co nie jest newsem.

Hind Koudary, palestyńska dziennikarka (1,1 mln), pokazuje zdjęcia ogrodu swojego domu, dziś zrównanego z ziemią, albo wideo, na którym wraz z dźwiękowcem, operatorem i jej mamą pieką podpłomyki. Nie robi tego, by oszukać algorytm. Chce pokazać swoim obserwatorom inną, piękną Gazę. ●

Mógłbym być adwokatem
z urzędu Targowiczan.
Nawet Janusza Radziwiłła,
nawet pojałtańskich
komunistów polskich.
Może nie z ochoty, ale z urzędu
mógłbym ich bronić.
A Kaczyńskiego
nawet z urzędu nie.

DANIEL OLBRYCHSKI:
DLACZEGO
CHCĘ MÓWIC
PO ROŚYJSKU

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **DANIELEM OLBRYCHSKIM**
ROZMAWIA **PAWEŁ GOŹLIŃSKI**

PAWEŁ GOŹLIŃSKI: Kiedy oglądałem relacje z pogrzebu Aleksieja Nawalnego, przypomniła mi się pańska opowieść o pogrzebie Włodzimierza Wysockiego. To był rok 1980.

DANIEL OLBRYCHSKI: – Akurat w Moskwie trwała olimpiada, więc miasto było puste dość, oczyszczone z „ludzi niepewnych”. Niewygodne informacje też blokowano, więc chociaż na cmentarz odprowadzały Wołodę tysiące ludzi, świat niewiele o tym wiedział. Ja na pogrzebie być nie mogłem, kręciłem wtedy film.

„Jedni i drudzy” Claude’a Leloucha. Grał pan wybitnego niemieckiego dyrygenta z niechlubną przeszłością, trochę Karajana, trochę Furtwanglera.

– Dokładnie w dniu pogrzebu kręciliśmy wielką, plenerową scenę, dyrygowałem na Trocadero „Bolero” Ravela. Ale Rosjanie obchodzą też uroczyscie dziewiąty i czterdziesty dzień po śmierci. Dziewiąty, bo tego dnia dusza kończy zwiedzać raj i zaczyna poznać, czym jest piekło. Czterdziesty to dzień krytyczny, gdy waży się, dokąd dusza ostatecznie trafi.

Dziewiąty dzień obchodziłem w Paryżu z wdową po Wołodii, Mariną Vlady. Obiecałem jej, że w dzień czterdziesty spotkamy się nad jego grobem w Moskwie.

W Polsce wiele się wtedy dzieje. Strajki, które zakończyły się Porozumieniami Sierpniowymi, potem szesnaście miesięcy nadziei ale i niepokoju, mimo to jakimś cudem dostałem paszport. Lecę do Moskwy. A tam, z honorami, podejmuje mnie ... KGB. Czeka ją już na lotnisku, a potem wiozą na Cmentarz Wagańkowski, gdzie pochowano Wysockiego. Wiele lat później też Okudżawę. Szczerze mówiąc, tylko dzięki moim opiekunom w ogóle mogłem się tam przebić. Kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłem wokół cmentarza płonące ogniska. Pytam kierowcy, o co chodzi? A on na to: „Uwiditie, uwiditie”.

I zobaczyłem: nagle z tłumu wyskakuje młody chłopak z gitarą. Łamie jej gryf o kolano i wrzuca do ognia. Tak, to na cześć Wysockiego płonęły połamane gitary.

Wierszyk wtedy napisałem, ale nie chcieli mi go w Polsce wydrukować, bo rzekomo nawoływał do rewolucji w ZSRR. Może i tak: *My wilki, różne stada,
Połączyć by się czas.
Dziś z naszej wilczej ziemi
Własne szczyrzymy kły.
My gitar nie złamiemy
Sklejcie gitary wy.
Tak się kończył.*

Jak pan poznał Wysockiego?

– Oczywiście znaleźliśmy się, jeszcze zanim los nas zetknął. Ja podziwiałem jego pieśni, on, jak większość inteligencji rosyjskiej, znał moje role u Wajdy i Hoffmana. A jak się spotkaliście? To anegdotyczna opowieść. Siedzę sobie na festiwalu w Moskwie, to był chyba 1969 rok. Miał tłumacza, choć na cholerę był mi potrzebny, ale jak już jest, to sobie po rosyjsku gawędzimy. Oczywiście wiedziałem, że on jest na podwójnym etacie, że jest też pewnie jakimś młodszym lejtnantem KGB. Zresztą każdy z zagranicznych gości miał wtedy takiego stróża.

Innym razem moją tłumaczką była śliczna Rosjanka. Zdradziła się, kim jest gdy, no cóż, wylądowała w moim hotelowym pokoju. Bo zanim cokolwiek się wydarzyło, włączyła kołchoznik, który był nie tylko radiem, ale kiedy milkł, zmieniał się w mikrofon. No więc ona go włączyła, żeby nas nie podsłuchiowano, za to mieliśmy akompaniament z czastuszek.

A wracając do Wysockiego...

– Pijemy więc sobie z tłumaczem koniaczek na półpiętrze hotelu Rossija, a on nagle mówi: patrz, kto idzie. Z windy wyszedł ubrany w dżinsy młody, niewysoki mężczyzna. „To Wysocki” – mówi tłumacz. Nie wiedziałem. Znałem jego głos, ale jak wygląda? W filmach nie grywał, miał bodaj zakaz. „Przed-



• Daniel Olbrychski, Warszawa, marzec 1970 r. FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS

staw mnie” – poprosiłem. Zbiegliśmy na dół i widzę, że Wysocki się uśmiecha. Znaczy wie, kim jestem. Wymieniliśmy uścisk dłoni i się rozeszliśmy.

Tylko tyle?

– Ale to nie koniec. Potem ten tłumacz, już mocno wstawiony, opowiada, że Wysocki, to – jasne – legenda, aktor, bard, gitarzysta, ale „jest coś ważniejszego, bo on – tu coś pogrzebał w marynarce, chyba coś wyłączył – jebiot Marinę Vlady”. Potem Marina za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, prosiła: – Daniel, opowiedz, jak poznałeś Wołodę.

Wyobraża Pan sobie, co on by mówił dzisiaj, jaką miał postawę?

– Wysocki? Pewnie taką, która zmusiłaby go do emigracji. Tylko że on by nie wyemigrował, wszędzie źle się czuł, poza Rosją. Zresztą to czysta teoria. Był starszy ode mnie siedem lat, umarł w wieku 42 lat jako ciężki, ciężki alkoholik. U niego wypicie lampki wina kończyło się wielotygodniowym ciągiem, więc wyniszczył sobie organizm kompletnie. Jeszcze w maju 1980 roku zdążył zagrać w Warszawie Hamleta. A miał nie zagrać.

Jak to?

– Przyjechał z Moskwy Teatr na Tagance, Wysocki miał dolecieć z Paryża, od Mariny. Tylko że nie doleciał, a „Hamleta” odwołano. Pytam Jurija Lubimowa, reżysera spektaklu, co się stało? Odpowiada, że Marina powiedziała, że go nie wypuści, bo poszedł w zapoj. Dzwonię więc do Mariny: „Błagam cię, wypuść go, obiecuję, nie będę go na chwilę odstępował i wyślę ci go z powrotem do Paryża”. Zgodziła się, Wołodzia przyjechał, zagrał. Wajda po spektaklu powiedział, że to było niesamowite, bo patrzył na człowieka, który się ściga z własną śmiercią. Ale nie wiedział, że to nie aktorstwo, że to jest życie. Wołodzia grał na krawędzi, tracił co chwilę głos. Zaczyna monolog, „Być albo nie być...” Niemał wszyscy aktorzy zaczynają go mówić szeptem, z głowy, a on go wykrzyczał: „Być, ili nie być, wot w cziem wapros”. Kpił sobie z tego szekspirowskiego pytania. Jakby już znał odpowiedź....

Tak jak obiecałem Marinie, Wołodzia wrócił do Paryża, trzeźwy. Pobyl tam parę tygodni i pociągłem wrócił do Moskwy. I tam umarł, 25 lipca.

Z pańskiej opowieści o podróży do Moskwy na jego grób wynika i to, że wtedy, w ’80, możliwe było więcej niż teraz. Dziś putinowskie służby by nie puściłyby popularnego w Rosji polskiego aktora na grób Nawalnego ani dziewiątego dnia, ani czterdziestego, ani żadnego innego.

– Tak, pomyliliśmy się. W 2010, po katastrofie smoleńskiej, mówiłem w Moskwie: „nie zmarnujemy tej chwili, w której nasze narody mają szansę być bliżej siebie niż kiedykolwiek w historii”. Ale cztery lata później, po aneksji Krymu, odmówiłem grania w Rosji i w ogóle wjazdu na jej terytorium. To była dramatyczna decyzja. Byłem już w trakcie prób w teatrze w Moskwie. Znow trwała olimpiada, tym razem w Soczi i jeszcze nic nie zapowiadało nie-szczęścia.

Ale Putin spokojnie odczekał, aż igrzyska się skończą i nikt mu ich nie zbojkotuje, jak tych w Moskwie, a potem napadł na Krym. Ja akurat wróciłem do Warszawy, miałem jakieś zawodowe sprawy, ale tylko na kilka tygodni. Potem miałem znow jechać do Moskwy. Dwie noce się białem z myślami, aż w końcu powiedziałem żonie: nie jadę. Bo jeśli 90 procent Rosjan mówiło „Krym nasz”, to znaczy, że wśród tysiącosobowej publiczności, przed którą miałem grać, byłoby 900 osób, które popierają aneksję.

Napisałem list: „Nie mogę patrzeć spokojnie na bandyckie zapędy waszego prezydenta i udawać, że nic się nie stało. Ale życzę wam, żebyście znaleźli innego aktora na moje miejsce i żeby doszło do premiery”.

Odpisali?

– Tak. Że nie będą szukać aktora na moje miejsce, poczekają na lepsze czasy i na mnie. No i się nie doczekali. Od tamtej pory raz tylko zagrałem w rosyjskiej, a właściwie brytyjsko-rosyjsko-łotewskiej produkcji, ale na moje życzenie kręcili ją pod Rygą.

Co to był za film?

– „Van Goghi”, historia ojca i syna, artystów. Zagrałem rolę starego, wybitnego dyrygenta. Mojego syna grał świetny aktor, Aleksiej Sieriebriakow, znany z „Lewiatana” Zwiagincewa. A potem w 2029 roku w Londynie, podczas przeglądu filmów rosyjskich, zostałem uznany za najlepszego rosyjskiego aktora roku 2018. Film również obsypano nagrodami.

Dlaczego akurat dla tego filmu zrobił pan wyjątek?

– Jak zwykle, człowiek mnie przekonał. Przyjechał do mnie reżyser, Siergiej Liwniew, rosyjski Żyd mieszkający między Izraelem a Londynem. Powiedział, że dla mnie specjalnie napisał tę rolę, że wraca do reżyserii po dwudziestu latach, że to dla niego ważne, żebym to był ja, więc zgodzi się na każde moje warunki. Przeczytałem scenariusz, bardzo dobry, trudno było odmówić. Zwłaszcza że uszanował moją odmowę przekraczania granicy Federacji Rosyjskiej. Przeniósł produkcję na Łotwę.

Michałkow też by pana przekonał?

– Nie. Zresztą nawet w latach naszej przyjaźni wiecznie kłóciliśmy się o politykę. Mniej z jego bratem, Andriejem Konczalowskim. Zresztą oni między sobą też się nieustannie awanturują, to bywa nawet zabawne, jak Nikita wyzywa Androna od Żydów i kosmopolitów. Kiedy dwa lata temu Putin najechał Ukrainę, napisałem do obu list otwarty, parę zdań, że cały świat zna ich wspaniałą twórczość i głębokie treści w nią wpisane, ale ich prezydent wszystkie te wartości brutalnie łamie. Dlatego jako przyjaciel oczekuję od nich publicznego protestu. Tak, oczekiwałem od nich bohaterstwa, ale to jest czas, który wymaga bohatereskich gestów.

Podpisałem: „Wasz polski brat”.

Oczekiwał pan jakiejś odpowiedzi?

– Nie, dlatego nie rozczarowało mnie to, że do dzisiaj nie mam od nich żadnego sygnału, żadnej reakcji. Konczalowski wprawdzie zadzwonił, to zbyt inteligentny i wrażliwy człowiek, żeby w ogóle nie dać znaku życia po takim liście, ale w rozmowie unikał polityki jak ognia. Mówił o sztuce, o przyjaźni, że najważniejsza jest praca, takie tam, chociaż wiedziałem, że w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że nic więcej powiedzieć ani zrobić nie może. Zresztą jego jeszcze trochę rozumiem. W wypadku samochodowym, który sam spowodował, ucierpiała jego córka. Od kilku lat jest w śpiączce. Więc nawet mając podwójne obywatelstwo, rosyjskie i francuskie, nie może wyjechać, demonstracyjnie opuścić Rosji Putina. Ze względu na dziecko.

A Nikita?

– Mój brat, mój polski brat – mówił o mnie. A teraz widziałem, jak ten wybitny przecież artysta i intelektualista jakieś bzdury wygaduje o zakażonych gołębiach, które z Zachodniej Europy wysyłane są na terytorium Rosji, roznosząc na łapkach truciznę. Taki bełkot.

Andriej ma przyłożony pistolet do głowy, ale Nikita ten pistolet polknął i przyswoił. Po naszym przystąpieniu do NATO w wywiadzie dla „Polityki” bredził, że wprawdzie kocha Polaków, ale uważa, że teraz słowa naszego hymnu, „Jeszcze Polska nie zginęła”, mogą stać się nieaktualne. Odpowiedział mu chwilę później, też w prasie, artykułem „Do przyjaciela Moskala”.

„Martwi mnie – pisałem – że zamiast robić wielkie filmy, bierzesz się za to, na czym się nie znasz. Okudżawa by Cię wyśmiał, a Wysocki dałby Ci po głowie gitarą. Czy zastanawiasz się czasem, mój kochany idioto, co mówisz?! Aleksander III ma na sumieniu pogromy i zbrodnie na podbitych przez Rosję narodach. I wielu Rosjan doskonale to opisało. A więc Nikitko, weź się do roboty. Historycznej, moralnej i ojcowskiej. Stwierdziłeś otwarcie, a może byłeś lekko poddawszyj, [wstawiony] że syna byś wysłał na wojnę do Czeczenii. W takim razie widzę

Moją tłumaczką była śliczna Rosjanka. Zdradziła się, kim jest, gdy, no cóż, wylądowała w moim hotelowym pokoju. Bo wyłączyła radio

Ciebie lub Twoich przodków na czele rzezi Pragi, przy mordowaniu Powstania Listopadowego czy wieszaniu bohaterów 1863”.

Skończył pan sugestią, żeby się Michał-kow kopnął w swoją siwą głowę. Ale napisał też pan, że wciąż go kocha. – Dziś już nie. Gdy się jawnie popiera zbrodniarza, jakim jest Putin, to nie ma „zmiłuj się”. Mówię to z wielkim bólem.

Gdzie się poznaliście? – Oczywiście w Moskwie tak jak z Wysocim, na festiwalu filmowym. Odbывał się co dwa lata i był swego czasu czwartym wielkim, po Cannes, Wenecji i Berlinie. Spotykaliśmy się tam, bardzo młodzi, jeszcze naiwni. Andron Konczalowski już reżyserował, Nikita był aktorską gwiazdą i duszą towarzystwa, więc hulaliśmy po Moskwie. Ale już studiował reżyserię, pokazał mi swój dyplomowy film. Powiedziałem: to będzie jeden z największych reżyserów, nie tylko rosyjskich. Potrafił okazywać przyjaźń. Przyjechał na mój benefis z okazji pięćdziesięciolecia, obok Elki Czyżewskiej jako jedyny ze świata. Inni się nagrali z życzeniami: Barysznikow, Marie Laforet, Monika Vitti, Le-louch. Ale najbardziej wzruszył mnie wtedy Bulat Okudżawa. Nie przyjechał, ale napisał dla mnie wiersz. „Język nie winował”.

Widział mnie kiedyś w telewizji, występowałem na jakiejś konferencji prasowej w Rydze. Łotewska dziennikarka zadała pytanie po angielsku. Powiedziałem, że przecież na pewno wszyscy znają tu rosyjski, więc odpowiem po rosyjsku, nie będzie trzeba tłumaczyć. Byli zaskoczeni. „Dlaczego chce pan mówić po rosyjsku, przecież wyrządzili Rosjanie tyle zła, i nam, i wam, Polakom”. Wtedy odrzekłem: „język nie winował”.

Dziś też by pan powiedział, że język jest niewinny? – Tak. Zgadzam się z Miszą Barysznikowem, który od dziesięcioleci mieszka na emigracji i nigdy nie pojawił się w Rosji. I nie pojawi dopóki – jak mówi – truchło Lenina nie zostanie pochowane na cmentarzu zamiast w mauzoleum. On mówi, że rozumie całą nienawiść do tego, co rosyjskie, że ją w znacznej mierze podziela, ale niech to się nie zmienia w pogardę dla rosyjskiej kultury, dla literatury. Zgadzam się z nim i tyle. Kiedy Wołodia Wysocki leżał w odkrytej trumnie, przed pogrzebem, Marina Vlady odcięła kosmyk jego włosów. Połowę, z garścią ziemi z jego mogiły, zamknęła w tym pudełku i mi podarowała. Zasklepilo się tak, że nie można otworzyć. I niech już tak zostanie.

Co pan czuje, tracąc tych rosyjskich przyjaciół? Żal? Rozczarowanie? – Złość. Wie pan, kiedy recytuję „Do przyjaciół Moskali” Mickiewicza, zdumiewa mnie jego niesamowita aktualność. *Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny, Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy, Gorycz wyszana ze krwi i z lez mej ojczyzny, Niech zrze i pali, nie was, lecz wasze okowy. Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży Do cierpliwie i długo noszonej obroży, Że w końcu gotów kąsać — rękę, co ją targa.* Choć czasami zaskakiwali mnie ci rosyjscy przyjaciele.

To był chyba rok 2005, Maria Kaczyńska, żona ówczesnego prezydenta Warszawy, przypomniała sobie o moich 60. urodzinach i zapewne wpłynęła na męża, bo miasto zaproponowało, że sfinansuje jubileuszowy spektakl. Miałem sobie wybrać teatr, sztukę i reżysera. Pomyślałem o Teatrze na Woli, a jego dyrektor zaproponował, żebym zaprosił jakiegoś wybitnego reżysera ze świata. Padło na Androna Konczalowskiego. Zgodził się, wyreżyserował „Króla Lira”. Na pierwszej próbie – sam go jeszcze wtedy tłumaczyłem – powiedział do polskich aktorów, że największy błąd Rosja popełniła w roku 1612, wypędzając Polaków z Kremla. Przerwałem tłuma-

czenie. Mówię: Odbiło ci? Przecież to byli bandyci, chuligani. Polski król nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Andriej na to: „tłumacz dalej”. Więc tłumaczę, że „gdyby wtedy Polacy zostali na Kremlu, byłibyśmy dzisiaj normalnym, katolickim, europejskim krajem”. Oczywiście podejrzewam, że Konczalowski chciał się nam trochę podliznąć. Ale jednak... Mówił jeszcze potem, a ja tłumaczyłem, że jesteśmy bardzo do siebie podobni, z temperamentu, z charakteru, z duszy, ale dzieli nas fundamentalna rzecz: Polacy wzięli chrześcijaństwo z Rzymu, a oni z Bizancjum. A tam, wiadomo, każda władza pochodzi od Boga. I obojętnie, czy tą władzą jest car, chan, sekretarz partii, prezydent, konduktor w pociągu czy kelner w restauracji, nie dyskutuję się z nim ani, broń Boże, nie sprzeciwia. Ale pan pyta o Wysockiego, a ja chciałem o papieżu.

Franciszku? – Właśnie. Wciąż nie mogę wyrzucić z głowy tego, co mówił o Ukrainie.

Że powinna mieć odwagę wywiesić białą flagę? – Przecież to brzmi tak, jakby Franciszka Słowacki uczył. Jest przecież w „Kordianie” ta słynna scena audiencji u papieża. I cóż papież mówi Kordianowi? *Jutro z majestatu Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu, Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą; Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...*

Więc Franciszek okazuje się następcą Grzegorza XVI, który potępił Powstanie Listopadowe? Nieodrodnym następcą! Chyba że to grzech ignorancji, który jest jednak grzechem chyba bardzo poważnym na takim stanowisku. Przecież cały świat wie, kto jest agresorem, kto jest zbrodniarzem w tym konflikcie. A tu biała flaga? To jest niewybaczalne i mówi to głowa kościoła katolickiego.

I co pan robi teraz z tym swoim chrześcijaństwem? Zostanie pan schizmatykiem? – Za późno, żebym temu chrześcijaństwu w sobie zaprzeczył, ale to, co mówi Franciszek o Ukrainie, jest okropne. „Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi” – mówi mu Kordian. Gorzkie, prawda? A na to odpowiada nawet nie papież, tylko jego papuga. Zresztą nie chodzi tylko o Watykan. Bismarck, nie ma co mówić, jeden z największych polityków cywilizacji, powiedział, że Polaków nie należy podbijać. Polakom należy dać wolność i sami się wtedy pozzerają. I co?

Ruskie służby przez lata wylażyły ze skóry, żeby rozbić kościół w Polsce. Przez lata PRL-u to się nie udało, ale przyszła wolność. A zaraz potem pojawia się Radio Maria. Ojciec Rydzyk nie ukrywa, kto mu przekazał pierwsze nadajniki. Pamięta pan?

Nie. – Konsul sowiecki! To były nadajniki opuszczającej NRD Armii Czerwonej. Rozumie pan? Wódeczki napili się razem, polubili, no i Rydzyk dostał taki bezinteresowny prezent w imię przyjaźni? Uwierzy pan w to? Bo ja nie. Pierwszy kontakt z Radiem Maryja miałem na początku lat 90. Jechałem w Paryż do Warszawy, więc najpierw do mnie po francusku z radią gadali, potem po nie-

miecku i raptem w okolicach Berlina słyszę czysty polski język. Ki diabeł? Ja w to się wsłuchuję, a tam pomiędzy przepisem na zupkę pietruszkową, co jakaś siostra uwarzyła, padają jakieś wyzwiska straszne. Na Wajdę, na Michnika, na Mazowieckiego. I w kółko: „tu radio Maryja”. Więc jadę od razu do Adasia Michnika – przecież znamy się jeszcze z liceum. Mówię: słuchaj, co to jest? Plują na ciebie, na Wajdę, śmierdzi mi to. A on na to: „Danek, nie ma się co przejmować, to tylko niszowe radyjko”. Po latach Adam przyznał mi rację, to nie było niszowe radyjko, tylko rozsiewnik zarazy, która szerzyła się, szerzyła, aż zdobyła miliony wyznawców. Nawet mądrzy politycy nie reagowali, bo przecież wywalczyliśmy wolność słowa. Nie reagował Kościół. Nie reagował papież Wojtyła. A te szczekaczki toruńskie stawały na głowie, żeby Polska nie weszła do NATO, a potem do Unii Europejskiej. Nawet nie szukając innych sloganów, niż te z mediów Kremla. A potem miliony wyznawców Rydzyka zapewniły władzę PIS-owi. A że pożądana władza – jak w starożytnych tragediach i u Szekspira – silniejsze jest zawsze od rozumu, moralności i patriotyzmu, więc szły do Torunia pielgrzymki tych otumanionych ludzi, których nie posądzam o aż taką głupotę, by nie widzieli, w interesach jakiego państwa nadaje Rydzyk i jego media. W interesie jakiego państwa kreuje się niebywałą teorię zamachu smoleńskiego. W czym interesie skłóca się Polaków tak, jak nie udało się ani zaborcom, ani Hitlerowi, ani Stalinowi.

Wciąż oglądam powtórki „Rancza”, przecież to najlepsza opowieść o Polsce od czasu Wyspiańskiego.

Skłócanie narodów to podstawowe narzędzie służb specjalnych Rosji, od wieków. Eksport chaosu.

I nie uważa pan, że je jednak przebudziłyśmy się z tego złego snu? Mielśmy wybory 15 października, mamy nowy rząd, nową legislację, biedniejszą, ale znacznie bardziej publiczną. – Ale to nie znaczy, że były naczelnik państwa stracił wpływ na to społeczeństwo, chociaż jego ostatnie wypowiedzi prowokują pytanie, czy jest aż tak nikczemny, czy osiągnął już tak wysoki poziom demencji. Wydaje mi się, że on już nie bardzo wie, jakiego państwa był naczelnikiem, gdzie to państwo leży i gdzie znajduje się geograficzny wschód, a gdzie zachód. Uważam, że jako obywatel mam prawo żądać, aby o stanie umysłu człowieka, który wpływa na los milionów moich rodaków, wypowiedziało się jakieś wiarygodne konsylium psychologów bądź psychiatrów. Parę lat temu Jarosław Kaczyński skojarzył mi się z Ryszardem III Szekspira. Kiedy przez pół roku uczyłem wiersza w Akademii Teatralnej, przyszedł do mnie młody student, który chciał recytować jego pierwszy monolog. Mówi, że trochę nie wie, jak się za niego zabrać. Poradziłem mu, żeby za Ryszarda podstawił sobie jakiegoś współczesnego polityka. „Wtedy pan zrozumie, kim jest Ryszard”.

Upośledzony z natury, niekształtny – mówi o sobie Ryszard w tym monologu. – A wtedy studentowi streściłem ten monolog własnymi słowami: Jestem mały, brzydki, mówi Ryszard, psi na mój widok wyją, kobiety nie chcą ze mną tańczyć... Co mam robić? Muszą się mnie bać. A żeby się mnie bali, muszę mieć władzę i dla niej popełnić każde świństwo, podłość, każdą zbrodnię.

A jak się to kończy?

Wiadomo: „Konია! hej! konia! królestwo za konia!”. Zastanawiam się tylko, jak długo wszystkie nasze problemy będziemy składać na karb Kaczyńskiego. – Kiedyś na pewno przestaniemy, ale teraz mamy cholernie trudny i ważny czas rozliczeń. Czas ujawniania i naprawiania przestępstw, jakich dopuściła się tamta władza. Nie tylko w sensie kryminalnym. Chodzi o zdradę – całą masę zdrad – polskiej racji stanu. Wie pan, nawet Targowiczanie mogli próbować usprawiedliwić, bo przecież okazało się, że kolaboracją z Katarzyną próbowali chronić kraj przed tragediami, które się później wydarzyły: klęską Powstania Kościuszkowskiego, rzezią Pragi, niebytem Pol-ski na prawie 200 lat.

Ryzykowna teza. – Ale i tak mógłbym być adwokatem z urzędu Targowiczanie. Nawet Janusza Radziwiłła, nawet pojaltańskich komunistów polskich. Może nie z ochoty, ale z urzędu mógłbym ich bronić.

A Kaczyńskiego nawet z urzędu? – Nie. Bo szczucie Polaków na siebie, skłócenie narodu zamachem smoleńskim to nawet nie są błędy polityczne. To są zbrodnie. Warto sobie przypomnieć, w jakiej sytuacji byliśmy jeszcze piętnaście lat temu, przed Smoleńskiem. Trwa polityczna koniunktura, jesteśmy członkami NATO i Unii Europejskiej, z którym się liczą, bo rozumiemy jak nikt inny grę sił na wscho-

dzie kontynentu. Kreml machnął na nas ręką – wydawało się, że żadnych wpływów już u nas nie odzyska. A tu Kaczyński, Maciarewicz i inni zaczyna swoją krucjatę. I co teraz mamy? Przeraża mnie myśl, że w obecnej sytuacji międzynarodowej PiS mógłby wrócić do władzy. A przecież może.

Czy jakiegokolwiek role są jeszcze w stanie pana tak rozpalić jak polityka? – Nie wiem. Mało ich dostaję, zwłaszcza w polskim kinie. W ostatnich latach grałem w Ameryce, w „Salt” z Angeliną Jolie, grałem w Niemczech, Włoszech, Czechach, Węgrzech, nawet w Japonii. A w Polsce dwa epizody, może trzy. Żadnej poważnej roli od 25 lat. I to nie jest sprawa wieku, bo 25 lat temu miałem pięćdziesiąt parę lat, to najlepszy czas dla aktora. Moi koledzy – Depardieu czy De Niro – robili po kilka filmów rocznie. We własnym języku. A ja? Nic.

Ale czy jest jakiś polski film z ostatnich, w którym żałuje pan, że nie zagrał? – Nie umiem odpowiedzieć. Zresztą i tak najbardziej lubię polskie seriale i na gościnne występy w nich zawsze dam się namówić. Gościnnie. Bo przewijając się w nich przez lata nie miałbym czasu i cierpliwości. Chociaż takie „Ranczo”: przecież to najlepsza opowieść o Polsce od czasu Wyspiańskiego.

Aż tak? – To jest kwintesencja współczesnej Polski, napisana z miłością, ale i z okrucieństwem Wyspiańskiego. Przecież ta ławeczka pod sklepem – to jak chór w greckiej tragedii. Więc wciąż oglądam powtórki „Rancza”, i jeszcze „Ojca Mateusza”. W żadnym filmie fabularnym aktorzy nie mają tak na-

pisanych ról, tak rozpisanych historii, tytu możliwości, żeby eksplorować to, co jest dla mnie w aktorstwie najbardziej interesujące: ludzkie relacje. O – teraz zachwyca mnie serial „Klara”.

Kto pana uczył takiego aktorstwa?

– Dziś uczą mnie moi młodszy koledzy, podpatruję ich. A kiedyś? W szkole teatralnej nie zdążyłem, bo już na pierwszym roku Wajda mnie porwał do „Popiołów”. Przeszedł do szkoły, a rektor Jan Kreczmar od razu mu powiedział: – Nie musi pan chodzić po innych rocznikach, bo tu jest chłopak, którego powinien pan zaangażować do głównej roli. Jest taki trochę fizycznie wyblakły, taki albinos, bez oczu, ale jak go dobrze pomalujecie, to może nawet amanta zagrać.

A kiedy wróciłem po urlopie dziekańskim i chciałem dalej grzecznie studiować, bo tak obiecałem mamie, rektor Jan Kreczmar zapytał: „Danielu, czy masz jakieś propozycje filmowe?”. Mam, mówię, ale mama mi każe skończyć szkołę. „Mamę biorę na siebie, odpowiedział rektor. A ty się tutaj nudzisz, demoralizujesz studentów, więc będzie lepiej i dla ciebie, i dla szkoły, jak pójdziesz własną drogą. Jak masz propozycje, to graj, graj, graj. Będziesz się w biegu uczył”.

Ale jeszcze zanim Pan trafił do szkoły teatralnej, było....

-Telewizyjne studio poezji Andrzeja Konica. To ono zdecydowało o tym, że nie kontynuowałem dobrze zapowiadającej się kariery sportowej i to w kilku dyscyplinach.

Co miesiąc przygotowywaliśmy program, który siedł na żywo, ja, Magda Zawadzka, Witek Dębicki, Jola Żykun, Marek Perepeczko. Sporo świetnych aktorów wyszło spod ręki Konica.

Pierwszy nasz program to były „Kwiaty Polskie” Tuwima. Recytowałem „La Grande Valse brillante”, jeszcze zanim Ewa Demarczyk zaczęła go śpiewać.

Trema?

– Chyba nie. Konic miał swoiście bezbolesną metodę wprowadzania nas w aktorstwo, nie chciał z nas robić małych dorosłych, bazował na naszej chłopięcości, dziewczęcości. Mówił, że wiersz to po prostu jeszcze ładniejsza wypowiedź o sobie, bo rymowana. Więc niczego nie trzeba udawać, tylko mówić jak najbardziej od siebie. Potem Janusz Nasfeter wypatrzył mnie i dał rolę w partyzanckim filmie „Ranny w lesie”. Więc szkoła teatralna stała się po prostu naturalnym ciągiem dalszym moich przygód.

A jak pan trafił do studia Konica?

– Ogłoszono nabór wśród licealistów, więc poszedłem z organkami.

Dlaczego z organkami?

– Bo miałem zaśpiewać piosenkę jakąś, po francusku, mama mnie nauczyła. A nie wiedziałem, czy będzie tam jakieś pianinko, więc żeby sobie podać ton, wziąłem organki. Dmuchałem, zaśpiewałem i mnie przyjęli.

Mama kazała szkołę teatralną kończyć, piosenki nauczyła... Ważna ta mama.

– No cóż, to cud, że mnie w ogóle urodziła. Przyszedłem na świat w lutym 1945 roku, więc pierwsze trzy miesiące ciąży przypadły na Powstanie w Warszawie. Tak, ja je przeżyłem w brzuchu mamy. Potem opowiadała mi historie, jak z Białoszewskiego: piwnice, w których ukrywała się z moim o sześć lat starszym bratem, walącą się kamienicę, z której wyszła chwilę wcześniej, exodus cywilów z wypalonego miasta, obóz przejściowy w Pruszkowie... Rodzice się zatrzymali w dworku pod Kiernozią i stąd bryczką, jak przyszedł mój czas, jechała mama do szpitala w Łowiczu.

Rodziłem się przy lampie naftowej. Front był już dalej na zachodzie.

Mama skończyła romanistkę w Wilnie i jak podejrzewam, miała tam flirt przynajmniej z Czesławem Miłoszem.

Skąd pan to wie?

Kiedy pan Czesław miał już Nobla, przyjechał do Paryża, gdzie wtedy mieszkałem. Odbił się wieczór jego poezji, czytałem je po francusku z Romkiem Polańskim, a pan Czesław czytał po polsku. Kiedy nas Romek sobie przedstawiał, Miłosz zaczął uważnie mi się przyglądać, pamiętam, że miał dziurkę w brodzie jak mój ojciec. A w końcu mówi: – Pana mama, Klima, piękna dziewczyna była, z Podlasia. Ale potem pojechała do Warszawy i wyszła za mąż za jakiegoś Olbrychskiego... O przepraszam!

Przygotował sobie ten żarcik, ale ja wiedziałem, że coś tam było na rzeczy. Nawet z emigracji pisał listy do mamy.

Zachowały się?

– Nigdzie nie mogę ich znaleźć.

Kiedy Miłosz przyjechał do Polski po raz pierwszy po Noblu, zadzwonił z lotniska do mamy. Spotkali się. A potem chciał, żebym mu pokazał jej rodzinny Drohiczyn. Ja nie mogłem z nim jechać, ale jak wrócił, powiedział: „No, magiczne miasteczko. Jak wszedłem na Górę Zamkową i patrzyłem na te krajobrazy, bardzo podobne do wileńskich, to zrozumiałem, dlaczego pan, wychowany w tych krajobrazach, tak dobrze się czuje w poezji naszych romantyków”.

Też pan tak to sobie tłumaczy?

– Pewnie miało to znaczenie, chociaż mama...

Tak, znowu mama. Po wojnie rodzice nie mogli mieszkać razem. Z przyczyn lokalowych można by rzec. Ojciec w Warszawie mieszkał kątem w jakiejś komunalce, więc mama została w Drohiczynie, gdzie uczyla francuskiego w liceum i prowadziła kółko teatralne. A kiedy jechaliśmy do ojca, do Warszawy, to matka ciągnęła mnie ze spektaklu na spektakl.

Kiedy miałem 10 lat zobaczyłem w Narodowym „Kordiana” z młodzieńcem Tadeuszem Łomnickim. Konstantym – genialnym – był Jan Kurnakowicz. W tym samym przedstawieniu cara grał Igor Śmiałowski i po latach opowiadał mi, jak Kurnakowicz – znany z tego, że zbyt wielu książek nie przeczytał, a może nawet ani jednej – przygotowywał się do roli.

Więc zaczyna się próba generalna, a Kurnakiewicz, już w mundurze, pyta Śmiałowskiego: „Panie kolego, coś tak nie uważnie reżysera słuchałem, więc mam do pana jedno zasadnicze pytanie”. „Słucham mistrzu”. „Tak na scenie, to ja tak pana lubię czy nie lubię?”.- „Nienawidzi mnie pan, mistrzu” – odpowiedział Śmiałowski. „A to dobre” – odpowiedział Kurnakowicz i zaczął się od razu klepać po udzie. Jak prawdziwy Konstanty.

Aktorski geniusz.

Od razu pan to wiedział?

– Pewnie, że się nudziłem, za dużo jak dla dziecka monologów było, ale Kurnakiewicz zapamiętałem doskonale. To było pierwsze w moim życiu teatralne zwierzę.

A jakby podsumował pan co się teraz dzieje w Polsce?

– Wie pan, przed wielu laty, w 2011 roku w wywiadzie, którego udzielałem redakcji „Sukcesu” na Placu św. Marka w Wenecji powiedziałem, że Donald Tusk jest jedynym prawdziwym polskim mężem stanu. Mamę szczęście, że pan Donald jest dziś takim mężem również na miarę Europy i świata, a 15 października nie mniej ważną datą niż 4 czerwca 1989, czy 3 maja 1793.

„Po dniu 3 maja w ratuszowej Sali Zgodzonego z narodem króla fetowali.

Gdy przy tańcu śpiewano

„Wiwat Król Kochany!
Wiwat Sejm, Wiwat Naród, Wiwat
wszystkie stany!”

Nie marnujemy tego! ●

Wiarus

Sporo już napisano na temat międzynarodowej konferencji narodowych konserwatystów CPAC Hungary w Budapeszcie, w której wziął udział były premier Mateusz Morawiecki: że skupia ona polityków skrajnej prawicy oraz wyznawców teorii spiskowych, że została zdominowana przez zwolenników Trumpa i że wielu jej uczestników ma poglądy proputinowskie, nawet jeśli się z nimi nie obnosi. Można się oczywiście na to wszystko oburzać, warto też jednak przyrzeć się metaforycznie, jaka się na tej konferencji pojawiła.

Michał Rusinek



Donald Trump (nieobecny; przygotował nagranie) postawił na metafory militarne: „Jestem zaszczycony, że mogę przemawiać do tak wielu węgierskich patriotów, którzy dumnie walczą na pierwszej linii frontu bitwy o ratowanie zachodniej cywilizacji” — powiedział. Zaraz dodał, że jest ich sojusznikiem, a choć chwilowo na pierwszej linii nie walczy „o wyzwolenie naszych narodów od wszystkich złowrogich sił, które chcą je zniszczyć”, to nie może się doczekać, aż znowu zostanie prezydentem USA, by móc dalej współpracować z Victorem Orbánem. Doprecyzował także, jakie „złowrogie siły” miał na myśli: „komunistów, marksistów i faszystów” oraz określił cel tej walki: „przywrócenie panowania konserwatyzmu” i „zdrowego rozsądku”.

Orbán — pochwaliwszy się wolnością i praworządnością panującą na Węgrzech — postawił na metaforę sportową mówiąc: „Kibicujemy [Donaldowi Trumpowi], aby wygrał walkę o sprawiedliwość nie tylko w wyborach, ale także w sądzie”. Natomiast niderlandzka aktywistka Eva Vlaardingerbroek postanowiła posługiwać się metaforą biblijną, porównując ideę europejskiej różnorodności do starotestamentowego mitu: „Totalitarna instytucja Unii Europejskiej musi upaść. Wieża Babel musi zostać zniszczona”. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że na „elitę” — jako wroga — nie ma monopolu język „dobrej zmiany”, bo „elita” jest także wrogiem dla pani Vlaardingerbroek: „Elita wypowiedziała nam wojnę, musimy dzierżyć tarczę Boga, walczyć i zwyciężyć” — powiedziała, rysując przy okazji metaforyczny obraz wojny prowadzonej bronią białą, jak z obrazów mistrzów holenderskich. Lub z podręczników do historii.

Jako historyk z wykształcenia Mateusz Morawiecki postanowił posłużyć się natomiast nie tyle metaforą, ile porównaniem — Unii Europejskiej do starożytnego Rzymu. A ściślej: do starożytnego Rzymu tuż przed upadkiem. „Rzymianie zmagali się z plagami tak samo, jak my zmagaliśmy się z pandemią. Zostali destabilizowani przez masowy przepływ ludzi, a my jesteśmy świadkami nowej fali migracyjnej [...]. Cesarstwo Rzymskie zaniedbało swoją armię na krótko przed upadkiem, a teraz Europejczycy robią to samo. Rzymianie również zostali zarażeni biurokracją w taki sam sposób,

jak ma to miejsce w przypadku Brukseli”. Z tej wyliczanki porównań nie wyciągnął wprawdzie wniosku, że Unia Europejska niebawem upadnie, ale też i nie powiedział, że przetrwa. Na wymienione przez siebie bolączki jest, jego zdaniem, tylko jedno remedium: „w epoce wstrząsów trzeba na nowo odkryć konserwatyzm” oraz „zdrowy rozsądek oparty na wartościach chrześcijańskich”, by „Europa stała się znowu wielką”. Zauważmy, że Europa, a nie Unia Europejska. Europa, która, zdaniem Morawieckiego, powinna być „domem, fabryką i fortecą”. To interesujący zestaw metafor, który jednak aż prosi się o doprecyzowanie: jeśli domem, to dla kogo? Bo przecież nie dla imigrantów, przed którymi jego drzwi są zamknięte i zabezpieczone drutem kolczastym. Jeśli fabryką, to co miałyby ona produkować? Metafora większość konfereńcyjnych mówców wskazuje na to, że głównie broń. Jeśli fortecą, to kto Europie najbardziej zagraża? Z tego, co mówili uczestnicy konferencji — a właściwie: czego nie mówili — o dziwo jednak nie Rosja. Sponsorem tytułarnym węgierskiego klubu sportowego, którego właścicielem jest Gabor Kubatov, poseł partii Orbána, został niedawno Gazprom.

Wróćmy do Morawieckiego. W swoim przydługim wystąpieniu wygłosił on następującą przestrożę: „Jeśli konserwatyści nie zdobędą władzy” (w domyśle: w Europie, ale także w USA), „pojawi się ogromny nacisk na liberalny ucisk” („huge pressure towards liberal oppression”). Fraza ta o wiele lepiej brzmi w oczyszczonym języku byłego premiera, a „nacisk na ucisk” to figura godna poety-lingwisty. „Ucisk liberalny” natomiast może być przykładem barokowego oksymoronu. Podobnie zresztą jak kilkakrotnie padające w czasie owej konferencji stwierdzenie, że Budapeszt jest „miastem wolności”, a na Węgrzech panuje nieporównywalna z państwami zachodnimi wolność słowa. Cóż, raczej wyłączanie figuratywna, bo niezależne media praktycznie w ogóle w tym kraju nie istnieją lub mają bardzo utrudnione funkcjonowanie.

Nie powinno także umknąć naszej uwadze, że portal „Daily News Hungary” poinformował, iż na spotkaniu poprzedzającym konferencję Victor Orbán nazwał Mateusza Morawieckiego „starym żołnierzem”. Nie był to przytyk do wieku byłego premiera (raptem 55 lat!), lecz chyba raczej coś w rodzaju męskiego komplementu. Być może Orbánowi chodziło o „starego wiarusa” (którego zaginął w tłumaczeniu), bo przecież nie można wykluczyć, że premier Węgier doskonale zna „Warszawiankę” Stanisława Wyspiańskiego. Przypomnijmy, że stary wiarus to epizodyczna, ale i najbardziej charakterystyczna postać tego dramatu, unieśmiertelniona w zbiorowej świadomości dzięki ikonicznej kreacji Ludwika Solskiego. Stary wiarus wchodzi do salonu, w którym odbywają się polityczne dysputy i przynosi wiadomość o klęsce. Trudno nie dostrzec analogii między tą postacią a Mateuszem Morawieckim, który wszak poniósł klęskę w wyborach parlamentarnych. Jego pojawienie się w konferencyjnym „salonie” mogłoby stanowić swoiste memento dla zebranych tam prawicowych polityków. Mogłoby, gdyby Morawiecki rozumiał aluzję Orbána i trzymał się didaskaliów: gdyby wszedł „zblocony, schlapany, oprószony śniegiem”, a przede wszystkim — gdyby nic nie mówił. ●

Jak prawica straszyła Polaków Unią

CZEKA NAS ANIHILACJA!

20 lat temu prognozy były kasandryczne. Czy któraś się sprawdziła?

Piotr Głuchowski

• Kombajn oklejony antyunijnymi plakatami. Zdjęcie zostało zrobione 9 czerwca 2003 r., dzień po referendum akcesyjnym, podczas protestu rolników we wsi Koszuty w Wielkopolsce.

FOT. TOMASZ KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Unia Europejska to cywilizacja, której cechą rozpoznawczą są lupanary, sex shopy, stopy ciał pomordowanych dzieci, organizacje szerzące rozwiązłość i plagę tak zwanej aborcji oraz oświata, która klęka przed świętą prezerwatywą” – tak przedstawiał w 2003 r. perspektywę akcesji do UE należący pośrednio do ks. Tadeusza Rydzika „Nasz Dziennik”.

Polska w zaniku

„Ludzie żyją obecnie bardzo skromnie, ale mimo to wielu ślepo wierzy w mityczny dobrobyt, który przyniesie Unia. Powtarzają, jak w odurzeniu zaklęcia: będzie lepiej. Może jeszcze nie nam, ale naszym dzieciom. Na jakiej podstawie ma być lepiej? Skoro jesteśmy biedni, to naszych dzieci nie wykształcimy. Będzie im gorzej, niż nam jest w tej chwili” – przewidywała przed referendum akcesyjnym, które odbyło się 7 i 8 czerwca 2003, autorka „NDz” Ewa Polak-Palkiewicz.

Wtórował jej na tych samych łamach fizyk jądrowy prof. Rafał Broda: „966 rok był

początkiem polskiej państwowości, integracja z Unią będzie początkiem jej końca”, „etapem zaniku”.

Akces do UE miał nam przynieść: zablokowanie eksportu, wtórny analfabetyzm, prawo do uśmiercania osób w podszłym wieku, niemieckie rewindykcje, wywłaszczenie chłopów z ich gruntów, upadek mleczarstwa, odcięcie od Polonii ze Wschodu, a nawet rozjeżdżoną TIR-ami Warszawę...

Przewertowałem numery rydzikowego „Naszego Dziennika” i korwinowskiego „Najwyższego Czasu!” z miesięcy poprzedzających referendum. Poszukiwałem prognoz – a potem sprawdziłem, czy się ziściły.

Zapłacą najubożsi

• „NDz” 11 kwietnia 2003, artykuł: „Embargo na prawdę”. Adam Kruczek pisze: „Wedle wyników badań prowadzonych przez Wyższą Szkołę Zarządzania i Administracji w Zamościu, po akcesji do UE zagrożonych bankructwem będzie około 70 proc. małych i średnich przedsiębiorstw”.

Sięgam do pracy Elżbiety Wojnickiej i Piotra Klimczaka „Stan sektora MSP...”

z 2006 r. Już na wstępie czytam, że 31 grudnia 2004 r. „jednostek zatrudniających od jednej do 250 osób” było w Polsce 3 mln 353 tys.

Z pracy Witolda Rzepińskiego pt. „Małe i Średnie Przedsiębiorstwa w aktywizacji obszarów wiejskich” (2008) wiem z kolei, że dwa lata po akcesji, takich firm było już 3 mln 497 tys., czyli o 144 tys. więcej. Co się działo później?

W raporcie „Sektor MSP w Polsce” na stronie fintechu PragmaGO.pl czytam, że „liczba małych i średnich firm w Polsce rosła stale do 2018 r.”. Korekta przyszła w latach 2019-2021 (poza rządami PiS przyczyniła się do niej m.in. pandemia). Dziś ma li i średni przedsiębiorcy mają się dobrze: generują ok. 30 proc. polskiego PKB, a zatrudniają – wedle serwisu Business Insider – 68 proc. ogółu pracujących w przemyśle, rolnictwie i handlu.

• Teraz „NDz” z 9 maja 2003 r., tytuł artykułu: „Najubożsi zapłacą za Unię”. Małgorzata Goss pisze: „Emeryci, renciści oraz pracownicy sfery budżetowej (...) we własnej kieszeni mogą odczuć skutki konieczności wpłaty składki członkowskiej do UE. Ministerstwo gospodarki proponuje zamrożenie w przyszłym

roku świadczeń i wynagrodzeń z budżetu państwa”.

Według danych GUS z ostatniego roku przed akcesją (badany okres: 1 marca 2003 – 29 lutego 2004) średnia emerytura wynosiła 1238 zł, czyli ok. 250 euro po ówczesnym kursie. Rok po wstąpieniu do UE było to 1306 zł, cztery lata po akcesji – 1523 zł, czyli 450 euro po kursie z 2008 r.

Średnia płaca, gdy redaktor Goss pisała swe prognozy, wynosiła 2201 zł. W 2006 r. już – 2477 zł, w 2008 r. – 2944 zł. Trzy tysiące zostały przebite w 2009 r. Dziś przeciętne wynagrodzenie w gospodarce wynosi ponad 7 tys.

Zablokują nam eksport

• „NDz” z 7 maja 2003 i znów Małgorzata Goss. Tytuł artykułu: „Powrót żelaznej kurtyny”:

„Najważniejszym skutkiem ewentualnej akcesji Polski do Unii będzie zamknięcie naszej wschodniej granicy. Wprowadzenie obowiązku wizowego stanowić będzie duże utrudnienie dla Polaków ze Wschodu w kontaktach z Macierzą. Ewentualna akcesja nie wpłynie natomiast na zakres swobody podróżowa-

nia Polaków po krajach Unii. Kontrola osobowa na granicy zachodniej zostanie utrzymana”.

Jak wiemy, „kontrolę osobową” na zachodnich i południowych granicach Polski zanikały stopniowo, w strefie Schengen jesteśmy od 2007 r. A co z zamurowaniem granicy wschodniej?

– Wprowadzenie wiz, o które pan pyta, mogło utrudnić wizyty krótkoterminowe, lecz z punktu widzenia procedur repatriacyjnych nie miało to żadnego znaczenia – mówi mi Monika Prus, dyrektorka Departamentu Obywatelstwa i Repatriacji MSWiA. – Osoby z azjatyckiej części byłego ZSRR, a o nich mówiła ustawa repatriacyjna z roku 2000, musiały posiadać wizę repatrianta zarówno przed jak i po wejściu do UE. Przepisy nakładały konieczność udowodnienia polskiego pochodzenia i to był główny próg do przekroczenia – a nie obostrzenia graniczne. Zresztą nadawanie obywatelstwa było i jest poza polityką unijną. Nie ma więc korelacji między akcesem do UE, a repatriacją, której wielkość zależy głównie od polskich przepisów.

Wedle GUS od 2004 do końca 2023 r. repatriowało się ze Wschodu 8 tys. 217 osób. • „NDz” z 16 maja, piórem Mikołaja Wójcika, informował, że gwałtownie pogorszy się wymiana handlowa Polski z UE. A dwa dni wcześniej ten sam autor pisał: „Jeśli polskie zakłady przetwórstwa spożywczego nie spełnią wszystkich unijnych standardów bezpieczeństwa żywności, Polska po ewentualnej akcesji do UE może zostać wyłączona ze Wspólnej Polityki Rolnej. Taką możliwość przewiduje traktat akcesyjny. Oznaczałoby to zablokowanie naszego eksportu”.

Pod artykułem komentarz posłanki Ligi Polskich Rodzin Haliny Nowiny-Konopki: „Polski rynek po wejściu do UE zostanie zalany ich tańszymi towarami spożywczymi, a my nie będziemy mogli nic sprzedać”.

Polska nigdy nie została pozbawiona dotacji do produkcji rolnej wynikających ze wspólnej polityki. Wedle raportu „Członkostwo Polski w UE – próba bilansu” (autorstwa współtwórczyni Forum Ekonomicznego w Krynicy Grażyny Śleszyńskiej) „udział Wspólnej Polityki Rolnej w należnych Polsce transferach z UE wynosi ok. 33 proc. całości, przy czym same tylko wypłaty z tego tytułu przekroczyły o prawie 6 mld euro wysokość składek, jakie Polska wpłacała do unijnego budżetu w okresie 2004-2022”.

„Udział w jednolitym rynku europejskim stał się głównym czynnikiem ekspansji międzynarodowej polskiego sektora rolno-spożywczego” – pisze autorka. I dalej: „Tylko w 2019 r. z Polski wyeksportowano artykuły rolne o wartości 31,8 mld euro, czyli blisko ośmiokrotnie więcej niż w 2003 r. Ponad 80 proc. polskiego eksportu rolno-spożywczego trafia na unijny rynek wewnętrzny”.

Niewolnik niech umie się tylko podpisać

• A teraz wykładowca szkoły medialnej o. Rydzyka prof. Jerzy Robert Nowak („NDz”, 17-18 maja 2003): „Unii nie zależy na tym, by Polacy mieli mieszkania (...) czy byli wykształceni. Przecież traktowani przez UE jako drugorzędna, eksploatowana w sposób neokolonialny nacja, nie muszą – wedle wizji eurokratów – mieć takich wygórowanych potrzeb”.

Co do mieszkań – wedle danych serwisu Infor/Nieruchomości przeciętna powierzchnia na osobę w 2004 r. wynosiła 22,9 mkw. Dziesięć lat po wejściu do UE – 26,7 mkw. Obecnie przekroczyliśmy 30 mkw na głowę. W latach 2003–2022 oddano do użytku 3,2 mln lokali i domów (1,6 mln – deweloperzy; 1,4 mln – budujący na własne potrzeby; resztę – spółdzielnie, gminy i TBS-y.

Wedle „Gazety Prawnej” w 2003 r. mieliśmy w pokoleniu 30-latków ledwo 11 proc. osób z wykształceniem wyższym przy średniej UE powyżej 20 proc. 10 lat później prze-

ścignęliśmy unijną przeciętną — magistrów w wieku 30-35 lat było prawie 40 proc. (średnia w UE – 35 proc.). Jak pisze w serwisie Forsal Zbigniew Bartuś, aktualnie „dorasta nam najlepiej wyedukowane pokolenie w dziejach [ponieważ] studiuje ponad połowa kobiet i ponad jedna trzecia mężczyzn”. Bardziej wyedukowani od nas są m.in. Skandynawowie oraz mieszkańcy Holandii, Francji, Hiszpanii i Grecji. Mniejszy odsetek wykształconych mają m.in. Niemcy, Austria, Włochy, Czechy, Słowacja i Bułgaria.

Jerzy Robert Nowak dalej: „Po upadku tysięcy bibliotek coraz większe rozmiary przyjmuje w Polsce plaga wtórnego analfabetyzmu. Czy UE chce nam pomóc w tym względzie? Ależ skąd! [...] Komisja Europejska chce narzucić Polsce wprowadzenie groźnego dla czytelnictwa podatku VAT na książki i czasopisma. UE kontynuuje w tej sprawie znane podejście niemieckich kulturtregerów z doby II wojny światowej. Uważali oni, że starczy, aby polski niewolnik umiał się podpisać [bo inaczej] mógłby

W 2019 r. liczba bibliotek wróciła do stanu z końca XX w., a nawet go poprawiliśmy — działało 9,5 czyteln. Lekturę co najmniej jednej książki rocznie deklarowało 30 proc. populacji

Obecnie czytający to 34 proc., przy czym cieszą wyniki wśród młodych. Wedle ostatniego raportu Biblioteki Narodowej „zaobserwowano wzrost czytelnictwa nastolatków: 72 proc. z nich jest czytelnikami książek, a aż 18 proc. deklaruje czytanie siedmiu i więcej woluminów rocznie”.

Zgoda na nędzę

• W „NCz!” z 4 stycznia 2003 Tomasz Sommer pyta: „Kiedy zbankrutujemy?” „Ewentualne wejście do UE postawi polskie finanse w sytuacji rozpaczliwej. »Tak« w euroreferendum może oznaczać [...] zgodę na zupełną nędzę”.

Zdaniem Sommera będziemy musieli dopłacać do UE, bo „trzeba regulować unijne składki, co oznacza, że realnie wpłaci-



• 14.11.2002 r. Warszawa – demonstracja rolników z kółek rolniczych pod siedzibą Unii Europejskiej na ul. Emilii Plater. FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCIA WYBORCZA.PL

Chrzest Polski w 966 roku był początkiem polskiej państwowości, integracja z Unią Europejską będzie początkiem jej końca

niebezpiecznie zmadrzeć i stawiać się dyktatowi swoich nadzorców”.

Z wydanej przez Bibliotekę Narodową broszury o stanie czytelnictwa pt. „Biblioteki publiczne w liczbach” wynika, że w 1999 r. mieliśmy 9 tys. darmowych i ogólnodostępnych czytelników oferujących 135 mln woluminów. Kupowaliśmy rocznie od czterech (woj. łódzkie i świętokrzyskie) do sześciu (woj. mazowieckie i podkarpackie) książek na stu mieszkańców. Osoby deklarujące ich czytanie stanowiły od 16 proc. w woj. warmińsko-mazurskim, kujawsko-pomorskim i opolskim do 22 proc. w regionie dolnośląskim.

W roku wstąpienia do Unii bibliotek było mniej – 8,5 tys. Liczba kupowanych książek wynosiła od dwóch rocznie na stu mieszkańców w województwie śląskim do siedmiu w dolnośląskim. Ich czytanie deklarowało 20 proc.

my na rzecz Unii około 60 mld zł rocznie (...) Taka suma jest po prostu nie do udźwignięcia [...]. Polskiego budżetu na wejście do UE wyczajnie nie stać”.

Miesiąc później na tych samych łamach Miłosz Marczuk w artykule „Dopłacimy miliardy euro” wylicza: „składka do budżetu Unii, składka na Europejski Bank Inwestycyjny oraz koszty przygotowania projektów” sprawią, że jako członek Unii „będziemy zdecydowanie na minusie”.

Podobnie prognozował Mikołaj Wójcik w tekście „Więcej wpłacimy, niż dostaniemy” („NDz”, 21 maja 2003): „Ministerstwo gospodarki przyznaje, że po ewentualnej akcesji nasz kraj nie będzie w stanie wykorzystać funduszy strukturalnych z UE. Niski poziom absorpcji sprawiłby z kolei, iż Polska stałaby się płatnikiem netto, czyli więcej wpłacała do brukselskiej kasy, niż z niej dostawała”.

Dlaczego?

„Wiadomo, że potencjalnych środków z UE nie można by wykorzystać bez zapewnienia polskiego współfinansowania. A do tego potrzebne są zmiany w prawie i reforma finansów publicznych [co oznacza] konieczność przyjęcia do końca roku sześciu ustaw”.

Obok posłanka Nowina-Konopczyna przewidywała, że parlament się nie wyrobi.

Ale się wyrobił — ustawy zostały uchwalone. Ministerstwo Finansów podaje dziś na swoich stronach, że „od 1 maja 2004 r. do końca 2023 r. Polska absorbowała ponad 235 mld euro”. Tylko w ramach Polityki Spójności dostaliśmy 153 mld, na rozwój rolnictwa – dalsze 74 mld. W tym czasie wpłaciliśmy do unijnego budżetu 78 mld euro. W ciągu 20 lat członkostwa Polska zyskała na czysto ok. 150 mld euro (700 mld zł), więcej, niż całe zeszłoroczne dochody budżetu.

• Małgorzata Goss 21 maja 2003 w „NDz” straszyła, że nam „Rozjadą Warszawę”:

„W traktacie akcesyjnym z UE znajdują się mapy przebiegu transeuropejskich autostrad. Polska zobowiązała się, że z chwilą akcesji, będą mogły [na nasze drogi] wjechać największe 40-tonowe TIR-y z krajów Unii. [...] W przeciwieństwie do Brukseli, Pragi, czy Berlina, dla których przewidziano obwodnice, Warszawa znajdzie się na skrzyżowaniu transkontynentalnych autostrad. [Plany zakładają, że] przez stolicę przebiegnie autostrada A2 Berlin-Moskwa. Do miasta wtoczy się też autostrada A1 prowadząca z południa Europy w kierunku naszego Wybrzeża”.

Jak wiemy autostrada A2 (przedłużenie niemieckiej A12) omija centrum Warszawy od południa i nie prowadzi do Moskwy, na razie kończy się w okolicach Siedlec. Autostrada A1, w ogóle nie zahacza o stolicę. Krzyżuje się z „dwójką” w okolicach Strykowa w woj. łódzkim. Od 2000 r. udało nam się zbudować ok. 1800 km autostrad oraz 3270 km dróg ekspresowych, które w praktyce działają tak samo.

Przemysł jak cmentarzysko

• 31 maja 2003, tydzień przed referendum, nieżyjący już publicysta Radia Maryja, ksiądzprof. Czesław Bartnik opublikował w „NDz” tekst pt. „Prounijne omamy”.

„Przestępstwem jest mówienie czterem milionom bezrobotnych w Polsce, że w UE dostaną pracę. Turcy, Chińczycy i Murzyni [dostają w Unii] tylko roboty służebne. My podzielimy ich los, a i to jedynie wówczas, gdybyśmy wygrali konkurencję z nimi. Przeważnie mielibyśmy prace sezonowe w oczyszczaniu miast, w kopalniach, przy sprzątaniu klozetów itp. [...] W nowym świecie chłopci zostaną w całości wywłaszczeni [...] wielki przemysł obróci się w cmentarzysko robotnicze, kultura polska przetrwa jedynie w większych bibliotekach”.

I ta prognoza się nie sprawdziła. W roku akcesji bezrobocie wynosiło 20 proc., po dekadzie w Unii — 14 proc., a dziś — nieco ponad 4 proc.

Ci, którzy wyemigrowali (lub łączą mieszkanie w Polsce z pracą w innym kraju UE), w 30 proc. deklarują zatrudnienie na stanowiskach robotniczych i rzemieślniczych (dane serwisu Business Insider). Około 10 proc. prowadzi własny biznes (samozatrudnienie). Dwa razy tyle zajmuje się opieką nad dziećmi i starszymi, zaś kolejne 10 proc. piastuje stanowiska menadżerskie albo dyrektorskie. Pozostali odmówili odpowiedzi.

W nienależącej już do UE Wielkiej Brytanii stanowiska kierownicze zajmują 13 proc. mieszkających tam Polek i Polaków.

W 2018 r. Narodowy Bank Polski sfinałsował ankietę, w której pytano emigrantów, czy zmuszeni są pracować poniżej kwalifikacji. „Tak” odpowiedzia-

ło 28 proc. zatrudnionych w Niemczech, 26 proc. pracujących w Holandii i 24 proc. z Norwegii. Pracę na posadach odpowiadających kwalifikacjom zadeklarowało odpowiednio 58, 48 i 66 proc.

Wywłaszczenie chłopów i zmiana przemysłu w „cmentarzysko”? Z tego-rocznego raportu Banku Pekao pt. „20 lat Polski w UE z perspektywy przedsiębiorstw i sektorów gospodarki” wynika, że od 2004 r. nasz roczny PKB zwiększył się dwukrotnie, podczas gdy np. czeski i węgierski jedynie o połowę.

„Polska została największym beneficjentem członkostwa w Unii spośród wszystkich państw regionu, które przystąpiły do Wspólnoty w 2004 r. i latach późniejszych” – piszą ekonomiści banku. Szybszy wzrost odnotowała jedynie Malta oraz stosująca preferencje podatkowe dla globalnych korporacji Irlandia.

W chwili wstąpienia do UE nasza gospodarka była mniejsza od greckiej i portugalskiej. W tej chwili mieścimy się w pierwszej siódemce krajów z najwyższym PKB. Przed nami tylko Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Holendrzy. Za nami Belgia, Austria, państwa skandynawskie. Oczywiście pod względem PKB na głowę nie jest już tak różowo, ale i w tej kategorii zrobiliśmy przeszło stu-procentowy postęp.

W 2004 r. obywatel Polski wytwarzał produkt wart 6,5 tys. dolarów – i tyle wynosiła jego roczna siła nabywcza. Obecnie przekraczamy 16 tys. dolarów. Jeżeli przyjąć uniijny PKB per capita za 100 proc., to „siła” statystycznego polskiego konsumenta wynosi 80 proc. średniej dla UE. Tabelę otwiera Luksemburg (240 proc.), zamyka Bułgaria (64 proc.).

A co z kulturą, która miała przetrwać jedynie „w większych bibliotekach”? W 2004 r. przeciętny rodak chodził do kina raz na dwa lata, do teatru lub na koncert raz na osiem – i tych wyników nie udało się poprawić. Wedle ubiegłorocznego badania aktywności Polaków wykonanego przez CBOS tylko 15 proc. odwiedziło w ciągu roku kino, 19 proc. było na koncercie, a 11 proc. w teatrze. Dziś jednak wiele rzeczy oglądamy w Interneci. W 2004 r. stały dostęp do sieci miało ledwo 5 proc. Polaków.

Zagłada mleka

• W artykule „Chude lata dla mleczarzy” („NDz” z 2 czerwca 2003) Karolina Goździewska, pisze, że po akcesji blisko jedna czwarta polskich mleczarni może przestać produkci. Powód? „80 proc. zakładów przetwarzających mleko nie będzie w stanie spełnić unijnych norm. Z tego samego powodu z produkcji mleka będą musieli zrezygnować rolnicy”.

Sięgam do tegorocznej broszury Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa pt. „Rynek mleka w Polsce”:

„Polska od akcesji do UE jest eksporterem netto produktów mlecznych, czemu sprzyja dynamicznie zwiększająca się wymiana towarowa z krajami Unii. W ogólnej wartości polskiego eksportu artykułów mleczarskich udział sprzedaży na rynek unijny wynosi ok. 70 proc. [...] Rozwojowi eksportu towarzyszy zmiana struktury towarowej sprzedawanych za granicę produktów mlecznych. W wozie dominują artykuły przetworzone: mleko w proszku, masło, sery i twarogi, lody, jogurty oraz napoje fermentowane zaś udział produktów o charakterze surowcowym maleje. Ma to przełożenie na rosnące przychody uzyskiwane przez krajowych eksporterów. W latach 2004–2020 wpływy z eksportu produktów mlecznych wzrosły blisko czterokrotnie – z 581 mln do 2317 mln euro. Największą dynamikę wzrostu odnotowano w eksporcie lodów”.

Po akcesji rolnicy i hodowcy nie tylko nie musieli zrezygnować z produkcji mlecznej, przeciwnie – pogłowię krów

wzrosło z 5,3 mln sztuk w 2004 r. do 6,3 mln w czerwcu zeszłego roku (dane GUS). Branża rośnie także dlatego, że od wejścia do Unii jemy coraz więcej polskich produktów mlecznych.

Przed 2004 r., gdy na półkach dominoowało mleko, śmietana i maślanka, statystyczny rodak wypijał tego w sumie 175 litrów rocznie. Dziś, gdy w każdym dyskoncie stoi kilkanaście rodzajów jogurtu, desery mleczne, wiele rodzajów lodów itd. spożycie wynosi przeszło 250 litrów na głowę. Tymczasem na pięć dni przed referendum autorka „NDz” Małgorzata Goss wieszczyła: „Po akcesji wraz z upadkiem mleczarni zniknie większość naszych serków, jogurtów, a także tanie mleko...”.

Sprawdźmy zatem ceny. W 2004 r. litr mleka o zawartości tłuszczu ponad 3 proc. kosztował średnio 2,4 zł, czyli za średnią pensję Polak mógł kupić 917 litrów. Dziś, gdy średnia cena mleka wynosi ok. 4 zł, przeciętna płaca wystarcza na kupno prawie 2 tys. litrowych kartonów.

W nowym świecie chłopci zostaną w całości wywłaszczeni, wielki przemysł obróci się w cmentarzysko robotnicze, kultura polska przetrwa jedynie w większych bibliotekach

Schab jak podeszwa

• Tekst w „NDz” z 3 czerwca 2003 pt. „Co nas może zaskoczyć?”, ponownie niestrudzona Małgorzata Goss: „Pierwszym skutkiem akcesji do UE będzie wzrost cen spowodowany podatkiem VAT, którego część trafi do Brukseli w formie składki (...) przyjdzie nam drożej płacić za usługi gastronomiczne, geodezyjne, prawne, turystyczne, sportowe i pogrzebowe (...) Ponadto podwyżki obejmą wiele podstawowych artykułów żywnościowych, jak cukier (źródło o 30 proc.) mleko, mąka, oraz banany i papierosy. [...] Dla zubożalego społeczeństwa będzie niewielką pociechą, że po akcesji spadną ceny biletów samolotowych i międzynarodowych rozmów telefonicznych, a także importowanych samochodów”.

Sprawdzam ceny dalej. Po wejściu do Unii cena cukru spadła – z 3,5 na 3 zł. Dziś kilogram kosztuje w dyskoncie średnio 4,5 zł. To oznacza, że w roku akcesji statystyczna płaca wystarczała na zakup 733 kg, obecnie – 1726 kg. W przypadku mąki przez ostatnie 20 lat cena detaliczna skoczyła z 2 zł do prawie 5. W 2004 r. za przeciętną pensję kupilibyśmy jej ok. 1 tony, a obecnie – 1,5 t. Podobnie z bananami.

W gorszej sytuacji są palacze. W 2004 r. za przeciętne wynagrodzenie można było kupić 440 paczek, dziś niewiele więcej.

Małgorzata Goss dalej: „Z powodu niższych, niż na Zachodzie, dopłat do hektara, nasze produkty rolne będą droższe, niż zachodnie, na skutek czego zostaną stopniowo wyparte z rynku [przez co] zmieni się oferta polskich sklepów. Miejsce wielu produktów krajowych zajmie towar importowany [...] Na chłodniczych półkach zamiast polskiego schabu, z którego można usmażyć aromatyczne schabowe, królował będzie schab z wielkich tuczarni zachodnich, twardy jak podeszwa”.

17 kwietnia w Biedronce przy Alei Powstańców Wielkopolskich w Bydgoszczy w lodówce leży schab wieprzowy bez kości (17 zł za kg). Producent? Polska firma Kraina Wędlin z Wojewódek Dolnych

na Mazowszu. Schabu z „zachodnich tuczarni” nie ma i nie było. Podobnie w Lidlu przy Alei Wojska Polskiego (schab wyłącznie krajowy, marka Rzeźnik) oraz w Carrefourze przy ul. Fordońskiej, gdzie oferują „wieprzowinę marki własnej od lokalnych hodowców” pod marką Jakość z Natury (18 zł na kg). Tu również nie da się kupić „twardego jak podeszwa” schabowego z importu.

Polak bez języka

• Na koniec parę artykułów z „NCz! i „NDz”, które ukazały się już po referendum, a jeszcze przed formalną akcesją. W „NDz” z 4-5 października 2003 r. Piotr Wesołowski donosił z Brukseli: „Komisja Spraw Społecznych Rady Europy [...] zarekomendowała legalizację eutanazji w całej Europie. [...] Oznacza to, że unijna konstytucja, gdyby weszła w życie (...) będzie sankcjonować zarówno zabijanie poczętych, jak i osób w podeszłym wieku”.

Tak zwana Konstytucja Unii (w rzeczywistości traktat ją wprowadzający) nawet na etapie projektu nie regulowała ani kwestii aborcji, ani eutanazji. Ich ramy pozostają określone przepisami państw członkowskich. Konstytucja nie weszła zresztą w życie. Po tym, gdy traktat odrzucili w referendum Francuzi i Holendrzy, projekt zamrożono. Dzisiaj eutanazja — pod różnymi szczegółowymi warunkami — jest legalna w Holandii, Belgii i Luksemburgu, a poza UE w Szwajcarii, Albanii, Japonii i niektórych stanach USA (źródło: Encyklopedia Prawa).

• W „NDz” z 18-19 października 2003 Małgorzata Goss opublikowała artykuł: „Rugowanie polszczyzny”: „Komisja europejska naciska na zniesienie obowiązku stosowania języka polskiego w obrocie prawnym [w efekcie czego polski] rząd planuje ograniczenie obowiązku używania języka polskiego [...] na terenie RP...”

Ta prognoza również się nie sprawdziła. Rząd SLD, PSL i Unii Pracy, który sprawował władzę jesienią 2003 r., nie ograniczył używania polszczyzny. Podobnie jak rządy późniejsze. Cały czas obowiązuje Ustawa o języku polskim z 1999 r., która stanowi:

„Język polski jest językiem urzędowym konstytucyjnych organów państwa; organów jednostek samorządu terytorialnego i podległych im instytucji [...] organizacji społecznych, zawodowych, spółdzielczych i innych podmiotów wykonujących zadania publiczne [a także] osób prawnych w zakresie, w jakim wykonują te zadania”.

Niemcy nas ograbiają

• A w „NCz!” z 17 czerwca 2003 r. Marcin Masny informuje: „Niemieckie roszczenia powracają”: „Jeśli Polska wstąpi do Unii, Europejski Trybunał Sprawiedliwości będzie miał bezpośrednią jurysdykcję w naszym kraju [i może] nakazać np. państwu [...] polskiemu zwrot majątku ziemskiego spadkobiercom niemieckiego właściciela. Może też zasądzić odszkodowanie [...]”. Pozew przykładowego barona von Brauna o zwrot ty-

siąca hektarów pod Koszalinem mógłby przejść całą drogę przed sądami niemieckimi [a] ostateczne orzeczenie niemieckiego sądu mogłoby być skuteczne w stosunku do nieruchomości w Polsce”.

Rewindykacjami zajął się też „NDz”, w którym redaktor Goss ostrzegala: „Zaskoczeni będą po akcesji przede wszystkim mieszkańcy Ziemi Odzyskanych. Układy Polski z Niemcami [w sprawie granicy] celowo pomijają kwestie indywidualnych roszczeń dawnych niemieckich właścicieli majątku pozostawionego na polskich ziemiach północnych i zachodnich. Sprawa jest zdaniem Niemców nadal otwarta. (...) W niemieckich archiwach zgromadzono kompletną dokumentację dotyczącą ok. 600 tys. nieruchomości na Ziemiach Odzyskanych”.

W rzeczywistości żaden niemiecki właściciel gruntów położonych dziś w Polsce nie odzyskał ziemi w ramach rewindykacji. Pojawiły się roszczenia m.in.

Mazurów i Ślżaków, którzy wyjechali do Niemiec Zachodnich w latach PRL i którym z tego tytułu państwo zabrało gospodarstwa. Najgroźniejsza sprawa Mazurki Agnes Trawny toczy się w sądach do dziś. W 1977 r. władze PRL pozwoliły rodzinie Trawnych wyjechać do RFN w zamian za rekwizycję domu i 60 ha w Nartach i Witówku w powiecie szczycieńskim. Jednak — podobnie jak w przypadku wielu innych tzw. późnych przesiedleńców — państwo „zapomniało” dokonać zmiany w księgach. W efekcie Trawny odzyskała 47 ha i dom, a Skarb Państwa zobowiązał się wypłacić jej prawie milion złotych. Trawny chce jednak trzech milionów.

Zanikną narody

Czy niespełnienie się kasandrycznych prognoz sprawiło, że po 20 latach prawica przestała straszyć Unią? A gdzie tam! Przed wyborami 15 października premier Mateusz Morawiecki twierdził na spotkaniu z wyborcami, że „Unia doprowadzi do likwidacji państw narodowych”. Powtórzył to podczas wystąpienia na pierwszym posiedzeniu Sejmu 13 listopada ub.r. A dwa dni wcześniej, prezes PiS Jarosław Kaczyński, przemawiając z okazji Święta Niepodległości, orzekł, że „rząd koalicji 13 grudnia” zostanie „zaimplementowany” przez siły zewnętrzne.

– Zacznie rządzić partia niemiecka, przez którą Polska utraci nie tylko suwerenność, ale i samą państwowość. Stanie się terenem, gdzie co prawda będzie mieszkać polska ludność, lecz decyzje będzie tu podejmowała UE, a właściwie Niemcy. (...) Jest już przygotowany konkretny plan, którego wprowadzenie w życie przez UE prowadziłoby nie tylko do pozbawienia nas niepodległości, nie tylko pozbawienia nas suwerenności. Wręcz do anihilacji polskiego społeczeństwa. ●

Najciekawsza komisja śledcza

„OJCIEC CHRZESTNY”
NA NOWOGRODZKIEJ

Kulisy organizacji wyborów kopertowych: panika, psychologia i zastraszanie nieposłusznych.

Dominika Wielowieyska

W 2020 r. wybuchła pandemia covid-19. Tymczasem w maju miały się odbyć wybory prezydenckie, w których prezydent Andrzej Duda miał walczyć o reelekcję. Ich datę – 10 maja – ogłosiła w lutym marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Jednak w marcu i kwietniu nikt nie był pewien, czy w warunkach pandemii da się urządzić głosowanie.

W innych krajach, przede wszystkim we Włoszech, nastąpiła zapaść w służbie zdrowia ze względu na skalę zakażeń, a w efekcie paraliż państwa. Tego samego obawiano się w Polsce. Konstytucja przewiduje w takiej sytuacji wprowadzenie stanu klęski żywiołowej, a tym samym przesunięcie wyborów na czas, gdy ich organizacja nie zagraża zdrowiu i życiu Polaków. Podczas obowiązywania stanu klęski żywiołowej – który wprowadza się na miesiąc, a potem Sejm może go przedłużyć – oraz w ciągu 90 dni po jego zakończeniu nie można przeprowadzać jakichkolwiek wyborów.

Gdyby koronawirus zaczął się rozprzestrzeniać w zawrotnym tempie, wybory zwiększyłyby liczbę zakażeń, bo ludzie tłoczyliby się w komisjach wyborczych.

PiS jednak nie chciał wprowadzać stanu nadzwyczajnego, a zamiast tego uchwałiał ograniczenia pandemiczne drogą nowych ustaw, omijając tę opcję. Dlaczego? Bo obawiał się, że jeśli pandemia się rozkręci, a struktury państwa będą sobie z nią radzić tak samo źle, jak w innych krajach, to kryzys może zmieść rządzących w wyborach i Duda przegra wyścig.

Dlatego, gdy Adam Bielan przyszedł na Nowogrodzką z pomysłem organizacji wyborów korespondencyjnych, prezes uznał, że to świetny pomysł. Bielan powiedział mu, że w marcu odbyły się takie wybory w Bawarii, więc dlaczego nie mogłyby się udać i u nas. Był jednak pewien problem: tam wybory szykowano przez kilka miesięcy i dotyczyły tylko 10 mln ludzi. Tu władza miała kilka tygodni i musiałaby umożliwić głosowanie około 30 mln obywateli. Nie mając pomysłu na logistykę ani doświadczenia w tego typu przedsięwzięciach.

Lecz Kaczyński był przekonany, że ta operacja jest możliwa, tylko wszyscy powinni się wziąć do roboty. Premier Mateusz Morawiecki w czasie narad na Nowogrodzkiej tłumaczył prezesowi, że tych wyborów nie da się w tak krótkim czasie zorganizować, bo system oddawania głosów musi być zabezpieczony przed nadużyciami. To za duża operacja i może zakończyć się kompromitacją. A wynik wyborów może być podważany.

Na tych samych naradach Jacek Sasin zapewniał Kaczyńskiego, że Morawiecki

się defetystą i nie ma powodu do obaw. Minister aktywów państwowych bardzo chciał zapunktować na Nowogrodzkiej.

– Poczta Polska będzie gotowa do 10 maja do przeprowadzenia wyborów – przekonywał w RMF FM – Mamy harmonogram, nie widzę żadnych zagrożeń ze strony Poczty.

I Kaczyński uwierzył Sasinowi, a nie Morawieckiemu.

Rozpoczęły się przygotowania. Odebrano kompetencje Państwowej Komisji Wyborczej, co już samo w sobie jest naruszeniem konstytucji. Politycy przejęli kontrolę nad procesem wyborczym. Ustawa o wyborach kopertowych została uchwalona przez Sejm na początku kwietnia, a następnie powędrowała do Senatu, który był zdominowany przez opozycję, więc sena-

szedł Tomasz Zdzikot, dotychczasowy wiceminister obrony narodowej, który o działaniu tej firmy-instytucji nie miał pojęcia.

Przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych Zdzikot kilka razy zapewniał, że Poczta dałaby radę przeprowadzić głosowanie. Ale nie sama. Oczekiwała wsparcia innych służb, m.in. ochrony urn wystawionych w miejscach publicznych. – Ale potem okazało się, że służby niekoniecznie są tym zainteresowane. Było za to oczekiwanie, by ochroną zajęła się także Poczta – mówił Zdzikot. A to, jak dodał, oznaczałoby wynajęcie firm z rynku. Przedstawiciele Poczty prowadzili rozmowy z MSWiA, ale bez konkretnych efektów. Tak więc Zdzikot potwierdził, że w obozie PiS panowała organizacyjna degrengolada.

Współpracownik Gowina:
Nowogrodzka wydzwaniała do naszych posłów
i zapraszała na bezpośrednie rozmowy
z Kaczyńskim.Jeden z kolegów po takiej rozmowie
po prostu zwymiotował ze stresu

torowie wykorzystali zgodny z prawem czas – 30 dni – na pracę nad ustawą, którą uważali za niekonstytucyjną. I odrzucili ją 4 maja, 6 dni przed planowanymi wyborami.

Następnie miała wrócić do Sejmu, ale problem Kaczyńskiego polegał na tym, że Porozumienie na czele z Jarosławem Gowinem uważało, że wybory kopertowe są niemożliwe w takich warunkach i łamią standardy demokratyczne. Bez głosów Gowina i jego ludzi PiS nie byłby w stanie odrzucić stanowiska Senatu. Porozumienie liczyło 18 posłów, ponad połowa była gotowa podporządkować się Nowogrodzkiej, ale to za mało, by przepchnąć ustawę. Kaczyński był wściekły na Gowina.

Mimo że ustawy nie było, rząd rozpoczął przygotowania do głosowania. Morawiecki zlecił Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych druk kart, instrukcji i oświadczeń. To spółka nadzorowana przez szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, który jednak unikał podpisywania umów. Poczcie Polskiej premier powierzył organizację głosowania kopertowego.

Jej prezes Przemysław Sypniewski odszedł ze stanowiska, bo miał wątpliwości, czy Poczta da radę. Na jego miejsce przy-

szedł Tomasz Zdzikot, dotychczasowy wiceminister obrony narodowej, który o działaniu tej firmy-instytucji nie miał pojęcia. Przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych Zdzikot kilka razy zapewniał, że Poczta dałaby radę przeprowadzić głosowanie. Ale nie sama. Oczekiwała wsparcia innych służb, m.in. ochrony urn wystawionych w miejscach publicznych. – Ale potem okazało się, że służby niekoniecznie są tym zainteresowane. Było za to oczekiwanie, by ochroną zajęła się także Poczta – mówił Zdzikot. A to, jak dodał, oznaczałoby wynajęcie firm z rynku. Przedstawiciele Poczty prowadzili rozmowy z MSWiA, ale bez konkretnych efektów. Tak więc Zdzikot potwierdził, że w obozie PiS panowała organizacyjna degrengolada.

Główny orędownik tej operacji, Jacek Sasin, w praktyce nie miał zielonego pojęcia, jak przeprowadzić plan. Starał się przerzucić odpowiedzialność na Poczcie Polską. Robił wszystko, aby nie podpisywać żadnego dokumentu, obawiając się odpowiedzialności karnej za decyzje pozbawione podstawy prawnej. Tego wątku dotyczyła wymiana zdań na posiedzeniu komisji między Sasinem a posłem Konfederacji Witoldem Tumanowiczem.

– Czy to prawda, że śmiał się pan z premiera wśród swoich współpracowników, że to on będzie za wszystko odpowiadał, bo pan niczego nie podpisywał? – pytał poseł Tumanowicz.

– Myślałem, że przyszedłem przed poważną komisję – uciął Sasin.

– A czy pan coś podpisywał w związku z wyborami korespondencyjnymi, jakieś dokumenty? – nie odpuszczał poseł.

– Ale jakie, konkretnie?

– Jakiegokolwiek.

– Jakież pewnie podpisywałem.

Morawiecki, mimo sceptycyzmu, realizował żądanie Kaczyńskiego. – Chciał, aby Kaczyński dostrzegł, jak premier jest lojalny i wykonuje nawet takie rozkazy, co do których nie ma przekonania. Gdy ostatecznie koncepcja wyborów kopertowych upadła, Morawiecki zapunktował podwójnie.

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

Po pierwsze miał rację: organizacja była niemożliwa, a po drugie: był posłuszny woli prezesa do końca, choć też miał odwagę mówić jak się sprawy mają naprawdę – tłumaczy mi mój rozmówca z PiS.

W książce Kamila Dziubki „Kulisy PiS” można znaleźć sporo ciekawych relacji. Polityk Porozumienia Jarosława Gowina: – Pamiętam spotkanie w Sejmie z udziałem Morawieckiego i Kaczyńskiego. Odbывало się w gabinecie marszałek Sejmu. Drzwi pilnował od zewnątrz Marek Suski. Spytałem go, jak sobie wyobraża przeprowadzenie wyborów kopertowych. A Suski powiedział z całkowitą pewnością w głosie: Jak to? Wojsko z pocztą wszystko ogarnie. Spokojnie. A ja mu na to: Marek, ale chcesz, żeby świat zobaczył, jak wojsko z długą bronią pilnuje urn wyborczych? Odpowiedział: „Konstytucji pilnujemy. Wybory muszą być”.

Urzędnik: – Rozmawiałem wtedy z jednym z zastępców Sasina. Powiedział mi: „To jest wszystko złęczone na sznurek i gumę do żucia. Jak w tych warunkach nie wygramy w pierwszej turze, to leżymy”.

Cała Polska czekała na 7 maja, kiedy w Sejmie miałyby nastąpić starcie między PiS a opozycją i ludźmi Gowina w sprawie wyborów, czyli głosowane byłoby stanowisko Senatu odrzucające ustawę. Obie strony sporu miały się, szukając jakiegoś rozwiązania.

Z powodu uporu Kaczyńskiego zapanał niewiarygodny chaos. Nie wiadomo, na jakiej podstawie, w jaki sposób i którego dnia te wybory mają się odbyć. Koncepcje mnożyły się jak króliki. Pojawił się termin 23 maja, by Poczta zdążyła wszystko przygotować. Ale opozycja zawarła sojusz z Porozumieniem, by nie dopuścić do jakiegokolwiek głosowania. A bez Gowina nie dało się nic uchwalić. On z kolei forsował zmianę konstytucji, by wybory prezydenckie odby-

ły się za dwa lata i Duda nie mógł już startować. Ale taka opcja nie podobala się ani Duzdie, ani opozycji.

W pewnym momencie Gowin poinformował liderów opozycji, że PiS pracuje nad planem alternatywnym: nie chce w ogóle dopuścić do głosowania stanowiska Senatu, aby nie ryzykować przegranej. I chce przeprowadzić wybory 23 maja w lokalach wyborczych na podstawie obowiązującego kodeksu wyborczego.

Jednak ustawa „tarcza 2.0” pozbawiła PKW możliwości przeprowadzenia wyborów tradycyjnych w czasie epidemii. Aby można je urządzić, trzeba uchylić art. 102 „tarczy”. Bez opozycji nie da się tego szybko zrobić. Wobec tego PiS wymyślił, że załatwi to za pomocą atrapy Trybunału Konstytucyjnego. Posłowie zaskarżą art. 102, a Julia Przyłębska z kolegami z PiS uchyliła ten przepis jako niekonstytucyjny.

W końcu i ten plan upadł. Wszyscy zorientowali się, że zbliża się 10 maja, a arma-

gedonu pandemicznego nie ma. Nadszedł, ale dopiero kilka miesięcy później, jesienią.

Ostatecznie 6 maja Kaczyński i Gowin wydali wspólne oświadczenie, że wybory zostaną przesunięte. Głosowanie 10 maja ma zostać unieważnione.

3 czerwca marszałek Sejmu ogłosiła, że wybory odbędą się 28 czerwca i 12 lipca (II tura). Miały odbyć się lokalach wyborczych, bo pandemia nie okazała się jeszcze tak dotkliwa. PKW znów przejęła kontrolę nad wyborami, zinterpretowała wybory, które nie odbyły się 10 maja tak, że możliwe było wyznaczenie nowego terminu. I wokół tego rozwiązania panował polityczny konsensus.

Ale dwa dni po porozumieniu dwóch Jarosławów nastąpił gwałtowny zwrot akcji. W piątek późnym wieczorem Gowin dostał informację, że na Nowogrodzkiej trwa narada, podczas której ma zapadnąć decyzja, żeby jednak wybory kopertowe przeprowadzić 23 maja. Autorem tej wolty był Jacek Kurski, ówczesny prezes TVP, który histerycznie przekonywał Kaczyńskiego, że przesunięcie wyborów jest dla PiS bardzo groźne.

Gowin zbulwersowany pojechał na Nowogrodzką. Oświadczył, że w takim razie Porozumienie zrywa koalicję z PiS. W efekcie prezydent Duda opowiedział się przeciwko koncepcji Kurskiego. I Kaczyński w końcu ją porzucił.

Osoba z kręgu Morawieckiego w rozmowie z Wyborczą”: – Gowin uratował Zjednoczoną Prawicę przed kompromitacją i chaosem. Bo taki efekt miałyby wybory kopertowe. A tak doszło do porozumienia z opozycją, wybory się odbyły trochę później, wygraliśmy je i nikt wyniku tych wyborów nie podważa”.

Konsensus zakładał, że w nowej odsłonie partie mogą wymienić swojego kandydata na nowego. I tak też się stało w przypadku Koalicji Obywatelskiej, która zgłosiła Rafała Trzaskowskiego, a Małgorzata Kidawa-Błońska wycofała się. Jej notowania były słabe, ponieważ wcześniej ogłosiła bojkot wyborów kopertowych.

Obecny przekaz PiS głosi, że KO wywróciła wybory kopertowe, bo wiedziała, że jej kandydatka nie wejdzie do drugiej tury. Prawda jest inna. PiS sam zgodził się, by KO wymienić kandydata, bo nie chciał, aby do drugiej tury z Dudą wszedł Szymon Hołownia. Z badań mu wychodziło, że Hołownię trudniej pokonać niż Trzaskowskiego. Mówił o tym komisji śledczej Gowin.

I faktycznie wyniki wyborów wskazywały, że Hołownia miałby większe szanse pokonać Dudę. Część jego wyborców nie zagłosowała na Trzaskowskiego w drugiej turze i to zdecydowało o zwycięstwie urzędującego prezydenta. Natomiast gdyby Hołow-



88 min

• kosztowały budżet państwa wybory kopertowe, których nie było

• Ponad

4 mln

• rodzin, czyli niemal co trzecie gospodarstwo domowe nie ma skrzynki pocztowej – ostrzegali przed głosowaniem kopertowym minister w tzw. Mailach Dworczyka

nia znalazł się w drugiej turze, to – przy realnym założeniu, że cały elektorat KO by go wsparł, bo chciał, by PiS te wybory przegrał – Duda musiałby się pożegnać z Pałacem Prezydenckim. Innymi słowy, Nowogrodzkiej było na rękę to, że Koalicja Obywatelska zamieniła Kidawę na Trzaskowskiego.

Dziś przekaz PiS brzmi: wybory by się odbyły, gdyby nie obstrukcja opozycji w Se-nacie i brak współpracy samorządowców, którzy nie chcieli udostępnić spisów wyborców. Politycy byłego obozu rządzącego przed komisją śledczą zasłaniali się wznio-słymi sloganami, że oni chcieli tylko wybo-rów w konstytucyjnym terminie.

Pytani o brak stanu nadzwyczajnego, odpowiadali, że nie chcieli tak drastycznie ograniczać praw obywatelskich, co brzmi groteskowo w kontekście potężnych re-strykcji, które zostały wprowadzone przez PiS w pandemii.

Ta wymyślona przez spin doktorów narra-cja jest nieprawdziwa. Pechowo dla PiS wy-ciekły maile byłego szefa kancelarii pre-miera Michała Dworczyka.

Mail wysłany przez ówczesnego wicemi-nistra aktywów państwowych Artura Sobonia wskazuje, że Morawiecki i jego ludzie mieli pełną świadomość, iż zorganizowanie wyborów kopertowych jest niemożliwe, je-śli chce się utrzymać konstytucyjne standar-dy procesu wyborczego. Słynny mail nosi tytuł „To był maj” i został napisany 30 kwiet-nia 2020 r. Zastępca Sasina przewidywał, że operacja się nie uda i zacznie się poszukiwa-nie ewentualnego „kozła ofiarnego”.

Soboń pisze: „Z powodu zapisów w ustawie (czas potrzebny w dużych mia-stach na liczenie głosów dla gminnej ko-misji) i techniczną możliwość druku oraz przygotowania 30 mln pakietów wybor-czych, druga tura nie może się odbyć w konstytucyjnym terminie 14 dni.

Przygotowanie wyborów w tych warun-kach to partyzantka, której pierwsze efek-ty już widać (ktoś wyniósł od jednego z pod-wykonawców PP [Pocztę Polskiej] pakiet wy-borczy!). Szczególnie wrażliwe są spisy wy-borców, które PP ma przetwarzać na potrze-by swojego IT, zakładając, że otrzyma je od 100 proc. gmin (nierealne, a nie zrobimy wy-borów bez wyborców jednak...) to musi je wstawić na tablety listonoszy w kilka dni, dla-tego zakładam, że dostaniemy od gmin spisy nie do wykorzystania w tak krótkim czasie.

Bez infrastruktury samorządowej i współpracy organizacyjnej z gminami, czyli urn i znanych obywatelom dotychcza-sowych lokalizacji głosowania, gwarantu-jemy bałagan i brak powagi wyborów. Brak policji zabezpieczającej każdą z urn/skrzy-nek to natomiast gwarancja ich fałszowa-nia/wandalizmu.

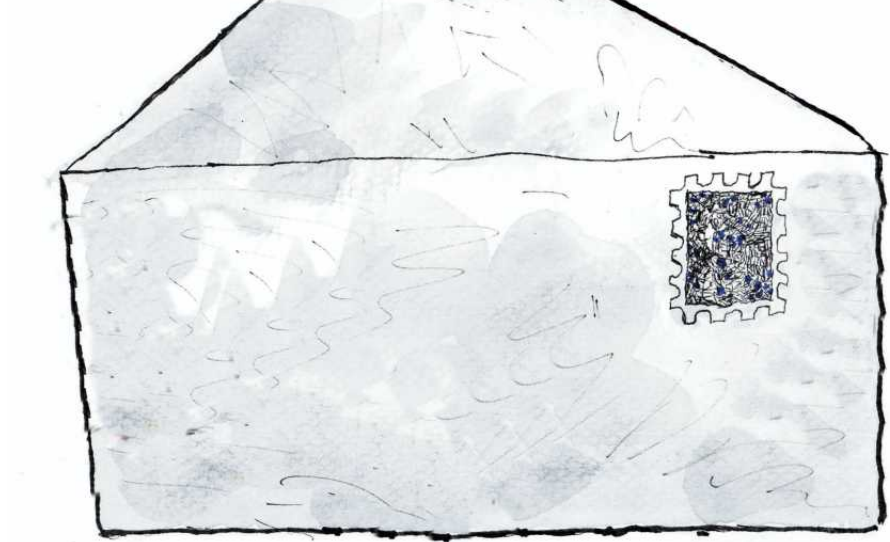
Niemal co trzecie gospodarstwo do-mowe nie ma skrzynki pocztowej, ponad 4 mln rodzin, głównie zresztą w „Polsce powiatowej”. Będziemy mieli w przestrze-ni publicznej obrazki pakietów na płocie, w błocie, na śmietniku itd.

Wewnętrzny system potwierdzenia do-ręczenia przez Poczta będzie opierał się wy-lącznie na profesjonalizmie listonoszy i pra-cowników PP. Nie jest możliwe uniknięcie pomyłek i dostarczenie we właściwe miejsce 100 procent pakietów. Pomijam tutaj wątek zagranicy, nakładek dla niepełnosprawnych, konieczności dotarcia do osób w kwarantan-nie, przestrzegania przez wszystkich uczest-ników procesu reżimu higienicznego itd.

Każda prowokacja ośmieszająca te wy-bory będzie wykorzystana. Także wielo-krotne oddanie głosu z wykorzystaniem PESEL. Co więcej, jeden z tych głosów na bazie naszej ustawy będzie ważny, a samo przestępstwo nie do wykrycia.

Koszty są wysokie. Sama PP to blisko 700 mln zł za pierwszą turę. Na koniec od-powiedzialność. Twoje decyzje administra-cyjne zostały wydane, ale jak się pewnie do-myślasz, MAP z umową poczeka do ustawy”.

Mail Sobonia pokazuje podobnie, że na-wet gdyby Senat szybciej procedował, a sa-morządowcy – dodajmy, wbrew prawu



– udostępnił spisy wyborców, to i tak gło-sowanie kopertowe zakończyłoby się kata-strofą. Innymi słowy, forsowanie wyborów było oczywistym narażeniem państwa na wyrzucenie w błoto pieniędzy tylko dlatego, że Kaczyński uwierzył w mrzonki Sasina.

Dlatego głównym zadaniem zarówno Dworczyka, jak i Sobonia, było wmawia-nie komisji śledczej, że oni nie mogą so-bie przypomnieć, czy taka korespondencja miała miejsce.

– Oczywiście słyszałem o tym mailu, bo został jakiś czas temu opublikowany przez ten rosyjski portal. Ale odpowiadając, czy jest prawdziwy – odpowiadam: nie wiem. Czy został wysłany do mnie: nie przy-pominam sobie – oświadczył Dworczyk przed komisją.

A Soboń w czasie pierwszego przesłucha-nia wygłosił wstępne oświadczenie: „W ża-dnym momencie wykonywania swoich obo-wiązków w Ministerstwie Aktywów Pań-stwowych nie nadzorowałem Poczty Pol-skiej. Na żadnym etapie przygotowań nie uczestniczyłem w formalnych obowiązkach związanych z przygotowaniem do wybo-rów korespondencyjnych. Nie brałem udziału w przygotowaniu aktów prawnych, umów, decyzji administracyjnych, wzorów doku-mentów czy decyzji o wyborze ofert przez Poczta Polską. Nie mam tutaj żadnej wiedzy”.

Na kolejne pytania odpowiadał tą samą formułką: „Wszystko, co miałem do powie-dzenia, zawarłem w swobodnej wypowiedzi”. Komisja wysłała do sądu wniosek, by go ukarać.

Soboń został wezwany ponownie i wte-dy już zmienił taktykę o tyle, że odpowia-dał na pytania, ale sens jego przesłania był wciąż taki sam: to nie ja odpowiadam za wybory kopertowe.

Szef komisji, poseł KO Dariusz Joński przytoczył zeznania Sasina, który przed ko-misją powiedział, że Soboń był odpowie-dzialny za operacyjny kontakt z Poczta Pol-ską. Tu były wiceminister trochę się wykrę-cał, ale nie mógł tego zanegować, bo inni świadkowie też tak zeznawali.

A co Soboń mówił o słynnym mailu? „Został pozyskany przez państwa w sposób nielegalny. Nie jestem w stanie potwierdzić autentyczności tego maila”. Ale w zasadzie przyznał, że wszystko, co się w nim znala-zło, jest prawdą. Stwierdził bowiem, że pro-wadził rozmowy z „kolegami”. „I tego ty-pu rozmowa mogła mieć miejsce, bo jest to stan świadomości, który 30 kwietnia oddaje to, co ja wówczas myślałem o sytuacji zwią-zanej z wyborami korespondencyjnymi”.

Z kolei Dworczyk starał się chronić Mo-rawieckiego, przesuwając odpowiedzial-ność na Sasina. A Sasin w zeznaniach przed komisją utrzymywał, że to premier podejmował decyzje i nie konsultował z nim zlecenia przeprowadzenia wyborów. On, Sasin, był tylko odpowiedzialny za pod-pisanie umowy z Poczta Polską dotyczącej zwrotu kosztów, a jak Poczta sobie z tym poradzi, to już nie był jego problem. Ale tej umowy też w końcu nie podpisał.

Dzięki sejmowej komisji sporo dowiedzie-liśmy się też o metodach Nowogrodzkiej. Centrala PiS starała się prośbą i groźbą

**Politycy PiS
przed komisją śledczą
zasłaniają się
wzniosłymi sloganami,
że oni chcieli tylko wyborów
w konstytucyjnym terminie.
Pytani o brak stanu
nadzwyczajnego w pandemii
odpowiadają,
że nie chcieli tak drastycznie
ograniczać
praw obywatelskich**

zmusić posłów Porozumienia, którzy pozo-stali wierni Gowinowi.

– Było wiele rozmów politycznych z udziałem Kaczyńskiego i Morawiekie-go, podczas których przekonywali mnie do zmiany stanowiska. Oprócz tego byłem in-formowany, że trwają działania zmierzają-ce do skompromitowania mnie lub znale-zienia argumentów, „haków”, które skłoni-łyby mnie do zmiany stanowiska. Miałem informację, że sprawdzane są interesy mo-jego syna, w mojej sprawie sprawdzano ak-ta prokuratorskie w całym kraju.

Po kilku miesiącach, kiedy już wróci-łem do rządu, minister Ziobro w rozmowie w cztery oczy powiedział mi, że naciskano na niego, by wykorzystać przeciwko mnie prokuraturę, ale odmówił – mówił w czasie posiedzenia komisji śledczej Jarosław Go-win, który w trakcie awantury o kopertowe głosowanie podał się do dymisji. A był wte-dy nie byle kim, bo nie tylko koalicjantem Zjednoczonej Prawicy, ale też wicepremie-rem i ministrem nauki.

Michał Wypij, były poseł Porozumienia, opowiadał komisji o spotkaniu w willi pre-miera przy ulicy Parkowej. W jego trakcie szef MSWiA Mariusz Kamiński groził kil-ku posłom Gowina. – W pewnym momen-cie wpadł w furję. Tak lekko wstając, aż wy-skoczył. Zaczął faktycznie mówić, że na-sze zachowanie, czy nasze działania, na-dają się do więzienia, powinniśmy zostać zniszczeni, że nasza działalność jest dzia-łalnością antypaństwową i że za nią odpo-wiemy. Oczywiście parafrazowałem te sło-wa. Trudno jest dzisiaj je cytować dokład-nie z pamięci – opowiadał Wypij.

Dariusz Joński pytał o to później Kamiń-skiego, gdy ten stawiał się na przesłuchanie. Kamiński zaprzeczył. Gdy Joński zapytał, czy eks-minister był wówczas trzeźwy, Ka-miński się wściekł, rzucił „Jest pan świnią” i wyszedł z sali.

Nie tylko Wypij i Gowin mówią o groź-bach. W książce „Kulisy PiS” znalazły się takie relacje. Bywalec Nowogrodzkiej: – Pa-miętam rozmowę, w której uczestniczy-ło kilka osób. Padło: „Gowin kopie sobie grób”. Wściekłość na niego była wyjątkowa.

Współpracownik Gowina: – Nowo-grodzka wydzwaniała do naszych posłów

i zapraszała na bezpośrednie rozmowy z Kaczyńskim. Jeden z kolegów po takiej rozmowie po prostu zwymiotował ze stre-su. Oferta była prosta: zostajesz z PiS, to bę-dziesz żył, a jak będziesz przeciwko wybo-rom kopertowym, nie żyjesz.

Polityk Porozumienia: – Wiedzieliśmy już wtedy, że Nowogrodzka pracuje nad niektó-rymi z naszych kolegów. Nie trzeba było pro-wadzić szeroko zakrojonego śledztwa, żeby się zorientować, o kogo chodzi. Na przykład Kamil Bortniczuk jednego dnia powiedział w radiu, że nie poprze wyborów koperto-wych, a nazajutrz w telewizji zmienił zdanie. Wtedy Gowin zwołał naradę wszystkich po-słów i powiedział, że wyborów kopertowych poprzeć nie można. Bielan i Bortniczuk po-wiedzieli, że się nie zgadzają.

Ostatecznie mniej niż połowa ludzi Go-wina nie dała się zastraszyć i zablokowała wybory kopertowe.

Nawet już po zawarciu porozumienia, na mocy którego wybory odbyły się w czerw-cu, Kaczyński nie zamierzał darować Porozumieniu nieposłuszeństwa. Politycy PiS zarzucali Gowinowi, że spiskował z opo-zycją, że chciał obalić rząd Morawieckiego i ma chrapkę na stanowisko marszałka Sej-mu. Przed komisją śledczą Gowin temu ka-tegorycznie zaprzeczył.

– Jeździł spiskować do Miśka Kamiń-skiego do domu, chcieli obalić rząd – mó-wił mi jeden z posłów PiS. Kaczyński o tym szybko się dowiedział, bo Bielan, usłyszaw-szy o tym od właścicieli znanej firmy lob-bystycznej, natychmiast powiadomił No-wogrodzką. Politycy PiS byli przekonani, że Gowinem nie kierują szlachetne przeslan-ki, a jedynie założenie, iż w wyniku pande-mii rząd się przewróci i warto zawczasu przejść na drugą stronę barykady.

Mimo chwilowego zawieszenia broni między Gowinem a Kaczyńskim po wygra-nej Dudy, zemsta Nowogrodzkiej była nie-unikniona. Bielan dostał od prezesa PiS za-danie rozbicia Porozumienia i przeciągnię-cie większości posłów tej malej partii na stronę PiS. Akcja, która miała pozbyć się Gowina, zabezpieczając jednocześnie PiS większość w Sejmie, przyniosła efekt.

Z kontroli NIK wynika, że wybory, któ-rych nie było, kosztowały budżet państwa ponad 76 mln zł, ale ostatnio Joński ujawni-l, że liczba ta wzrosła do 88 mln zł. Tym-czasem wewnątrz PiS są i takie głosy: Poc-zta Polska wydała o wiele za dużo na przy-gotowania, wszystko mogło kosztować maksymalnie 20 mln zł, trzeba przyjrzeć się, dlatego oni wydali aż tyle.

– Sasin mówi, że to nie on, a Morawiecki podpisywał umowy. No właśnie. Odpowie-dzialnością politycy prawicy przerzucają się jak gorącym kartoflem. Ale ktoś te umo-wy musiał podpisać. I ktoś wydał te pienią-dze – mówił Joński.

Jesienią 2020 r. – po skardze ówczesne-go Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara – sąd administracyjny uznał, że or-ganizacja wyborów była bezprawiem. Pre-mier wyszedł poza swoją urzędniczą rolę, zlecając przeprowadzenie głosowania Po-czcie Polskiej. Sąd uznał decyzję za nieważ-ną, wydaną z rażącym naruszeniem prawa. Morawiecki nie miał kompetencji do prze-prowadzenia jakichkolwiek wyborów po-wszecznych. Sąd podkreślił, że to wyłącznie prawo Państwowej Komisji Wyborczej.

Jednak w 2023 r. Sąd Rejonowy w War-szawie utrzymał w mocy postanowie-nie warszawskiej prokuratury okręgowej o odmowie wszczęcia śledztwa w sprawie wyborów kopertowych, nie uwzględnia-jąc jednocześnie zażalenia Najwyższej Iz-by Kontroli. I na ten wyrok często powolu-ją się politycy PiS – tym chętniej, że decyzję podjął nie neo-sędzia, lecz sędzia legalny.

Komisja śledcza ma jeszcze przesłuchać Morawieckiego i Kaczyńskiego. Potem po-wstanie sprawozdanie i prawdopodobnie skierowane będą wnioski do prokuratury przeciwko konkretnym politykom, którzy – wedle komisji – łamali prawo. ●

CO JEST POTRZEBNE DO TRIUMFU ZŁA

**Historia Rosji zwróci się
w stronę Nawalnego
i weźmie go w ramiona.
Wszystko będzie dobrze.**

Wiktor Jerofiejew*

Najważniejszą rosyjską nagrodą jest dzisiaj tytuł Bohatera Federacji Rosyjskiej. Jednak Aleksiejowi Nawalnemu przyznałbym gwiazdę Bohatera Pięknej Rosji Przyszłości. Dlaczego?

Śmierć Nawalnego natychmiast przemieniła go w potężną postać historyczną, na której cześć zostaną kiedyś nazwane ulice, aleje, uniwersytety, a może i miasto. Tak żywiołowego, aktywnego człowieka, stawiającego czoła całemu systemowi władzy państwowej niemal w pojedynkę, bo jego współpracownicy zawsze byli raczej jego asystentami niż towarzyszami broni, trudno znaleźć na rozległych przestrzeniach Rosji.

Istnieją oczywiście niedawne analogie: Andriej Sacharow czy Borys Niemcow, postacie podobne do Nawalnego. Jednak Nawalny jest niesamowicie „filmowy” dzięki swoim nieoczekiwanym, efektownym działaniom.

Oto przystojny młody mężczyzna, mąż pięknej kobiety oddanej mężowi i sprawie męża, ojciec pięknych dzieci, przyciąga swoimi wątpliwościami i oryginalnymi wnioskami, surowością i poczuciem humoru, rozlewającym się w postaci zaraźliwego śmiechu. Nie boi się skandali i wymierzonych w niego prowokacji – nie boi się niczego, bo wie, że rosyjska władza to fałsz i korupcja, nie boi się tego, czego nie szanuje.

Jednocześnie liczy się z ludzkimi gustami, upodobaniami, kompleksami. Zanurzał palce w różnych politycznych wodach – był młodym członkiem Jabłoka, liberalnej partii Grigorija Jawlinskiego, próbował swoich sił w retoryce nacjonalistycznych „rosyjskich marszów”, potem od nacjonalizmu się oddegnywał, ale dość dyplomatycznie wypowiadał się o zwrocie Krymu Ukrainie po jego aneksji (żeby nie stracić poparcia tłumów współobywateli, którzy kibicowali aneksji półwyspu). Jakoś niezgrabnie powiedział, że Krym to nie kanapka z kielbasą, którą można sobie nawzajem wyrwać.

Ta wypowiedź, a także jego propozycja, by przeprowadzić niezależne referendum na Krymie (który w świetle prawa międzynarodowego jest częścią Ukrainy), wywołały oburzenie w Europie. I skończyło się na tym, że Nawalnemu przeszła koło nosa pokojowa Nagroda Nobla, której był blisko.

Za te (i kilka innych) polityczne niezręczności do końca życia był nie lubiany przez Jawlinskiego, a moja koleżanka pisarka Ludmiła Ulicka wołałaby od niego, według jej słów, Wáclava Havla (ale takiej osoby w Rosji nie ma).

Niemniej wobec władz Nawalny był zadziwiająco odważny. Jego wymierzone w korupcyjne praktyki demaskatorskie filmy o bajkowym, pozbawionym smaku pałacu Putina w Gelendżyku nad Morzem Czarnym (zaprojektowanym przez włoskiego ar-



FOI SHUTTERSTOCK

**Status emigrantów
politycznych podcina
im skrzydła: nie mają
bezpośredniego kontaktu
z ludźmi, z krajem,
z towarzyszami broni**

chitekta) lub o niewyobrażalnym bogactwie Dmitrija Miedwiediewa obejrzały miliony Rosjan. Było jasne, że nie ujdzie mu to na sucho.

Jednak przez długi czas pozostawał prominentnym i odnoszącym sukcesy politykiem. Współwystępował w nim pragmatyk i marzyciel. Rozumiał, że pokrzywdzeni Rosjanie żyją nadzieją na lepszą przyszłość. Nawalny porzucił swój utopijny slogan o pięknej Rosji przyszłości. Jednocześnie stworzył ogólnokrajową Fundację Walki z Korupcją (FBK). W wyborach mera Moskwy w 2013 r. uzyskał ponad 27 proc. głosów. To niespotykany sukces jak na radykalnego opozycjonistę.

Miedzy Nawalnym i Putinem wytworzyła się relacja wzajemnej nienawiści. Z tym że Putin nienawidził Nawalnego za to, że ten publicznie go zawstydział, ujawniając jego zamordyzm. A Nawalny nienawidził Putina za konkretne grzechy: oszustwa, puste obietnice, żądze władzy.

Znałem Aleksieja osobiście z liberalnego radia Echo Moskwy, gdzie miał swój własny program, a ja byłem częstym gościem tej stacji. Powiedziałem mu, że jego programowi politycznemu brakuje podbudowy filozoficznej. W końcu sama iluzja pięknej Rosji przyszłości jest zbudowana na założeniu, że kraj jest okupowany przez reżim Putina, a większość marzy tylko o jego obaleniu.

Jako rewolucjonista Nawalny miał w swoim dyskursie rację: aby uratować ludzi, należy ich obmyć z wad i wywyższyć. Miał wielu wielbicieli, ale najwyraźniej było ich zbyt mało, by przeprowadzić rewolucję. Uważał cierpliwość, konformizm, defetyzm i powszechną dezintegrację osobowości w środowisku przestępczym, wśród alkoholików, bezdomnych i milionów prosiwieckich pracowników sfery budżetowej

i emerytów za zło, które można przezwyciężyć. To właśnie dzięki postawie takich ludzi Putin stał się prezydentem na skalę całego narodu.

Jednak Nawalny nie bał się Putina nawet wtedy, gdy władze zaczęły sugerować, że go pošlą więzienia, wiążąc to najpierw z jego rzekomymi oszustwami (w młodości był przedsiębiorcą, który raczej nie odnosił sukcesów), ale zarzuty przeciwko niemu były sfingowane.

W 2014 r. rozpoczęła się jego droga sądowa – ale sądy nie przstraszyły Nawalnego. W końcu został otruty nowiczekiem – to kolejne rosyjskie słowo, które weszło do międzynarodowego obiegu jako określenie trucizny.

Nawalnego uratowali rosyjscy lekarze na Syberii, a postawili go na nogi lekarze niemieccy w Berlinie. Władze oczywiście zaprzeczyły otruciu, ale Nawalnemu udało się wcielić w rolę pomocnika najbliższego współpracownika Putina – podając się za niego, zadzwonił do jednej z osób zaangażowanych w otrucie. Nieszczęsny kiler sam się zdemaskował.

Dalsze postępowanie Nawalnego wywołuje wiele kontrowersji. Mowa o jego powrocie do Moskwy po leczeniu. 17 stycznia 2021 r. został natychmiast aresztowany, zanim jeszcze przeszedł kontrolę paszportową na lotnisku. I potem, aż do śmierci, nie spędził już ani jednego dnia na wolności.

Warunki jego więziennej egzystencji stale się pogarszały, jego wyroki za przestępstwa antypaństwowe (sprawa organizowania społeczności „ekstremistycznej”) rosły i sięgnęły 19 lat. W końcu został wysłany do osławionej kolonii karnej „Wilk polarny”, gdzie był wysyłany do zimnej, karnej celi SZIZO za najdrobniejsze wykroczenia. Przeżycie w takich warunkach było nie do pomyślenia.

Można się tylko domyślać, kto czerpał przyjemność z dręczenia Aleksieja. Opozycjoniści i światowi przywódcy za śmierć Nawalnego jednoznacznie obwiniają Putina.

Czy Nawalny przewidział, że wracając z Berlina do ojczyzny, zmierza w objęcia śmierci? Oczywiście nie bał się śmierci; zdawał sobie sprawę, że tylko wtedy, gdy będzie wolny od strachu przed nią, będzie mógł walczyć z Putinem nawet w więzieniu, zakładając jego kampanię wyborczą i demaskując jego agresję na Ukrainę.

Jednak zgodnie z prawami rządów Putina ci jego bystrzy przeciwnicy, którzy pozostają za granicą, w większości otrzymują od władz rosyjskich prawo do życia. Dlaczego? Dlatego, że status emigrantów politycznych podcina im skrzydła: nie mają bezpośredniego kontaktu z ludźmi, z Rosją, z towarzyszami broni. Jako polityk Nawalny nie mógł nie wrócić.

Jednak nie docenił Putina. Nawet po nowiczoku wciąż żywił złudzenia, że władza nie odważy się uderzyć po raz drugi; że powstając z martwych, zyskał sobie pewien margines bezpieczeństwa. W tym czasie jednak nie rozpoczęła się jeszcze wojna na pełną skalę z Ukrainą, która pokazała, do jakich militarnych wyczynów zdolny jest rosyjski car.

Putin jednak też nie docenił Nawalnego. Ten nie poddał się nawet w więzieniu. Kontynuował walkę, znajdując tajne sposoby przekazywania swoich pomysłów z arktycznego miejsca tortur.

Ale był całkowicie w rękach Kremla.

W marcu 2023 r. film dokumentalny kanadyjskiego reżysera Daniela Rohera „Nawalny” zdobył Oscara. W jego finale odnosi się wrażenie, jakbyśmy obcowali z testamentem sporządzonym na wypadek jego śmierci: „Przesłanie jest bardzo proste: nie poddawajcie się. Jeśli tak się stało, oznacza to, że jesteśmy niezwykle silni w tym momencie, skoro postanowili mnie zabić. I konieczne jest wykorzystanie tej siły... Wszystko, co jest potrzebne do triumfu zła, to bezczynność dobrych ludzi. Dlatego nie można być bezczynnym”.

Oczywiście sam Nawalny nazwałby obecny system rosyjskiej władzy „wypadkiem”. A później – tylko kiedy będzie to „później”? – historia Rosji zwróci się w stronę Nawalnego i weźmie go w ramiona. Wszystko będzie dobrze.

Nawalny był jeszcze stosunkowo młodym politykiem; zmarł w wieku 47 lat. Na wygnaniu przeżyłby Putina (71 lat) i z pewnością odegrałby ważną rolę w postputińskim okresie historii. Przyszła Rosja będzie za nim bardzo tęsknić. ● **przeł. arp**



*Wiktor Jerofiejew

• ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl). Tekst napisany zaraz po śmierci Aleksieja Nawalnego 16 lutego. Tytuł – „Wyborcza”.



Adam Michnik poleca Suwerenność według PiS-u

POLACY, IROKEZI EUROPEY

Siły państwu nie przysparza pretensjonalna krzykliwość

Jarosław Bratkiewicz*

arracja pisowska od dawna rozsmakowuje się w pojęciu suwerenności Polski. Tyle że je uprymitywnia bez miary. Uwidacznia się to w suwerenistycznych breweriach PiS-u – szczególnie gdy Bruksela wysunęła plan zmiany głosowania w Radzie Unii Europejskiej, optujący za metodą wspólnotową przy podejmowaniu decyzji również w takich sferach jak sprawy zagraniczne, obronność, sprawy wewnętrzne i wymiar sprawiedliwości.

Czymże jest ta suwerenność polska, przez pisowców traktowana niczym cnota niepokalana? Nasuwają się tutaj przygody dobrego wojaka Szwejka. Kiedy to dziewczynka z dobrej rodziny, na balu odtąńczywszy walca z porucznikiem huzarów, który na koniec szarmancko uszczyptał ją w przedramię, rozsłochała się i na całą salę balową zawyla: „Panie oficerze, pan starł puszek mojej niewinności!”. Pod homeryczny śmiech zgromadzonych speszona matka dziewczynki obila ją parasolem.

Suwerenistyczny puszek niewinności Polski, o który tak kłopotczy się PiS, nie przychodzi na myśl cnotliwości narodowej, którą ostrzec trzeba przed zakusami obcych potęg. Wszak w wachlarzu cnót polsko-pisowskich wyjątkowość się „patriotyczny” – buńczuczny zatem – autorytaryzm, do tego etatyzm obrośnięty liszajem koleśnictwa, z którym spręża się socjalpopulizm rozdawniczy, wreszcie pałka dająca w łeb bezpieczniacki sznyt w odniesieniu do opozycji demokratycznej (podśluchy Pegasusem, publiczne zniesławienia itp.).

Mentalnie pisowcy żyją w epoce II RP, czyli w czasach o sto lat wcześniejszych. Z tamtej epoki czerpią uludy o wpisaniu Polski, na prawach mocarstwa z urojenia, do europejskiej gry sił. Nęcą ich mamiłła o dziejowym odegraniu się przez Polskę tradycyjną, ułańsko-kosynierską, osiadłą na kopie ziemniaków ze skwarkami, na historycznych pogromcach i krzywdzicielach. Atoli ci z Zachodu reprezentują potęgę postindustrialną, niebywale zasoby i adekwatną do tego moc rażenia. A ciemniemcza ze Wschodu, mimo degrengolady gospodarczej, nadal może pęknąć uprzykrzyć życie.

Zadziorną retoryką wobec Niemiec oraz Rosji pisowcy zwyczajnie chojrakują; w swym mniemaniu wygrywają domorosłą rekonstrukcję wojny 1939 r. z Niemcami i odwijają się też Sowietom. W rytuałach rekonstrukcyjnych rzucają nawalnicę teutońską na kolana, rozpędzają na cztery wiatry ich brukselskich pacholców, za brody włoką swolocz rosyjską do zhołdowania na Nowogrodzką. Mrzonki owe zaciemniają pisowcom zdolność rozeznania się, co jest realnością, a co zwodzi jako symulakrum.

PiS grzechocze z lubością pojęciem suwerenności podczas obrzędów „patriotyczno-niepodległościowych”. Z płytkich zaś



• Październik 2017, Rzeszów, marsz „W obronie chrześcijaństwa i suwerenności Polski” FOT. GRZEGORZ BUKAŁA / AGENCJA WYBORCZA.PL

i trywialnych wywodów przywódczej części pisowców wynurza się obraz suwerenności przypisywanej władzy patriotycznej i mocnej, nieobawiającej się sięgnięcia po przemoc w obronie „godności” Rzeczypospolitej.

Doląca się do tego poczucie wyłącznego władztwa na terytorium państwa polskiego, które nie dopuszcza najmniejszego wtargnięcia z zewnątrz. Tak pojmowano suwerenność w XIX wieku i w pierwszej połowie następnego stulecia, co nie uchroniło wielu suwerennych de iure państw od ingerencji z zewnątrz, najbardziej brutalnej, w postaci najazdów.

II RP nadymała się swą suwerennością: „wara od polskich granic”, „nie oddamy ani guzika” etc., a przy tym pałała gotowością, by urwać cudzy kęs – jak w przypadku Zaolzia w 1938 r. Wszystko to źle wyrokowało o dalszym suwerennym bycie Rzeczypospolitej – i sprawdziło się we wrześniu 1939 r.

Ten ostrzegawczy omen nie turbuje jednak pisowców, rozkochanych w II RP. Stąd Polska pisowska jawi się na arenie międzynarodowej jako twór buńczuczny, który neglżuje otoczenie, zwłaszcza „karoliński” rdzeń Unii, i w Brukseli nierzadko rwie się do zwady.

A zarazem Polskę pisowską onieśmielała europejskie, ugruntowane na dwóchstuletniej kulturze obywatelskiej i zrationalizowane prawnie procedury i mores unijny. Politycy PiS-u dorównują standardom działania w Unii z najwyższym trudem. A nawet jeśli coś zrobią udanie, to zaraz poślizgną się i wywala na równię i wyfrotrowanej podłodze w brukselskich centrach Unii, z powodu prowincjonalnej niezgrabności i parweniuszostwa.

Pierwsza RP kiepsko zdała historyczny egzamin. Wzrostu przemysłowego nie doświadczyła, środków na rozwój nowoczesny nie łożyła, innowacyjnością technologiczną się nie wykazała

Wynika to z ich bojaźni świata zewnętrznego i alergii na globalizację, z półinteligencji, z nieznajomości języków obcych. Toteż na spotkaniach międzynarodowych pisowcy dukają coś z kartki, a na rautach dyplomatycznych zamykają się we własnym gronie, brechają po naszymu, po chrześcijańsku, i zaśmiewają się do rozpuku ze swych karczemnych facecji.

Integracja europejska pozostaje dla PiS-u zjawiskiem niepojętym i podejrzanym. Niezdolni wysilić się na ogarnięcie myślowe ponowoczesnego typu relacji międzynarodowych, właściwych dla Unii (jak je definiował jeden z wybitniejszych funkcjonariuszy UE Robert Cooper), lokiem i kołanem próbują przypasować integrację w Europie do znanych i oswojonych klisz hegemonii i podporządkowania w nowożytnych dziejach europejskich.

Niepodobna ich odwieść od „życiowych mądrości”, nakazujących w Unii widzieć i „IV Rzeszę” i wybieg dla „lewako-pedałów”. Jeśli ktokolwiek będzie argumentował, że Unia powstała dla przezwyciężenia kilkusetletnich waśni i konfliktów zbrojnych, które – zwłaszcza dwie wojny światowe – topiły Europę we krwi, napotka nieufny respons pisowca, który dworować sobie będzie z naiwności proeuropejskiego „mądrali”, a może nawet posądzi go o zdradę. Tak jak prostak, który wyśmiej inteligenta za jego przekonanie, że to Ziemia krąży wokół Słońca – a przecież gołym okiem widać, że to Słońce wschodzi na wschodzie i zachodzi na zachodzie.

Tradycjonalizm PiS-u wyjawia się i w tym, że za arkana wiedzy o suwerenności poczytuje – w wersji odpowiednio zwulgaryzowanej – idee myślicieli z początków epoki nowożytnej, jak Jean Bodin czy Thomas Hobbes lub ich kontynuatorzy. Którzy upatrywali źródła suwerenności we władzy absolutnej, jaką lud dobrowolnie ponoć powierza monarsze (jednostce przywódczej).

Sprowadzali ją do nieograniczonego władztwa państwa personifikowanego przez autorytarnego przywódcę. Najdalej w takim rozumowaniu poszedł Carl Schmitt, „koronny jurysta III Rzeszy”, który uznawał stan wyjątkowy za najwyższy przejaw suwerenności.

Pojęcie suwerenności ewoluowało wraz z historią Europy, która – niczym „Szkielet obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje”, sporządzony przez oświeceniowe-

go myśliciela Nicolasa de Condorceta – odzwierciedlała postępującą demokratyzację państw europejskich. Z kolei francuska Deklaracja praw człowieka i obywatela przekierowywała źródło suwerenności na jednostkę ludzką, zespoloną jednością racjonalnych idei i interesów z innymi członkami społeczeństwa obywatelskiego.

Rozwój demokracji i praw człowieka utwierdził zasadę, że jednostkowy obywatel, w porozumieniu z innymi obywatelami, generuje prawa, które oszkieletowują kształt i mechanizmy funkcjonowania państwa.

Ten „postęp ducha ludzkiego poprzez dzieje” ominął Polskę. Model ustrojowy, który w XVII wieku na dobre w niej zagościł, wykazywał znamiona demokracji bardziej wiecowej niż parlamentarnej, co poświadczały takie atrybuty sejmokracji jak liberum veto czy rokosz lub konfederacja. Szlachecy władze Rzeczypospolitej suwerenność sprowadzali do wetowania, manifestacyjnej bigoterii, a przy tym picia aż do zapaści, żarcia aż do wymiotów, puszczania pasa i puszczania wiatrów.

Podobnymi prawami suwerennymi cieszyli się ludy niecywilizowane, np. Irokezi, do których szlachtę polską w Europie XVIII wieku chętnie porównywano. Mężni, ale uznawani za plemię nieokiełznane, anarchizujące, Irokezi ulegli przewadze europejskiej; podobny los spotkał Polskę szlachecką.

Polska pisowska już w latach 2006-07, ale zwłaszcza po 2015 r. zderzyła się z kolizyjnym dla jej wyobrażeń unijnym pojęciem suwerenności. To ostatnie zaś wyrasta z uzmysłowienia, jak dzisiaj suwerenność odbiega od archaicznego jej pojmowania. Ongiś urealniała się ona w odosobnieniu starożytnych i średniowiecznych państw, które stykały się i konfrontowały tylko przy wielkich najazdach i przemieszczeniach ludów barbarzyńskich. W epoce nowożytnej zamykała się w ufortyfikowanych granicach państwowych, które strzegły praw wyłącznych państwa i chroniły przed ingerencją z zewnątrz. Obecnie suwerenność państw wystawia się na przenikliwsze niż najazdy, wojny i dyktat zewnętrzne trendy globalizacyjne.

W wyniku tych trendów wyłoniły się ponadnarodowe korporacje, bogatsze niż jeden kraj, i w sporach z państwami pozostające do sądu. Pojawiły się globalna bankowość dyktująca politykę finansową poszczególnych krajów, oraz uzależnianie dłużnicze jednych państw od innych.

Utwierdziło się prawo międzynarodowe, z istoty nadrzędne nad prawem krajowym, w tym „zasada odpowiedzialności za ochronę”, która – w razie nadużywania przez suwerenne władze krajowe masowych represji względem ludności – stanowi podstawę do interwencji zewnętrznej, pod egidą ONZ, ażeby osłonić ową ludność.

Powstały światowe ruchy społeczne (np. alterglobaliści), a także wielonarodowe zsięciowania terrorystyczne i przestępcze. Mamy też do czynienia z masowymi migracjami ludności w skali transkontynentalnej. Wszystkie te tendencje podmywają suwerenistyczną nieprzemakalność państw.

Trzy ćwierci wieku temu promotorzy integracji w Europie, po doświadczeniach dwóch wojen światowych, uznali integracyjne konsolidowanie cywilizacji europejskiej za imperatyw polityczny.

Fundament suwerennej odrębności państwa uczestniczącego w integracji zo-

stał utrzymany, atoli jego autonomia jako wyłącznego dysponenta kompetencji składających się na pełnię władzy została skorygowana. Uczynił to węzłowy czynnik globalizacyjny, jakim jest oddziaływanie międzynarodowe.

I zwłaszcza nadrzędność regulacji prawnomiędzynarodowych nad suwereną pełnią kompetencji państwa. Albowiem wchodząc w związki traktatowe z innymi państwami lub organizacjami ponadnarodowymi, państwo podejmuje zobowiązania wobec tych podmiotów, czyli dokonuje „uszczerbku” na zasadzie wyłącznego decydowania o sobie.

Tradycyjny sąd o suwerenności państwowej utożsamiał ją z supremacją i prerogatywami władz. Dzisiaj suwerenność państwa nowoczesnego i demokratycznego układa się trójczłonowo. Jako suweren występuje naród – i nie jako „patriotyczna” w swej ksenofobii i agresji wspólnota integralna, lecz jako zrzeczenie, które zasadza się na umowie społecznej, kierując się roztropnym interesem i dochowując wierności ideałom demokracji.

Jako drugi komponent jawią się władze krajowe z demokratycznie potwierdzonym mandatem wyborców, ergo suwerena. Wreszcie uwidacznia się trzeci człon, rzutujący na egzekwowanie przez państwo i jego władze swej suwerenności za pośrednictwem prawa międzynarodowego i zewnętrznych zobowiązań traktatowych.

Mniemanie potoczne – egeria myśli pisowskiej – w zawieraniu traktatów wietrzy podstęp zagraniczny, niechybnie imperialny. To przejaw ahistorycznego przykładania szablonów w rodzaju aktów rozbiorowych czy układów między PRL-em a ZSRR, jako wzorca absolutnego dla wszelkiego wiązania się Polski z potęgami tego świata – wczoraj, dziś i jutro. A przecież sprawczość traktatowa państwa to koronny dowód na jego suwerenność – wszak jest ono traktowane przez inne państwa jako podmiot równorzędny, suwerenny tedy, skoro państwa owe gotowe są wiązać się z nim traktatami. Suwerenność przejawia się też w możliwości wyjścia z układów (z czego skorzystali np. Brytyjczycy, występując z Unii).

Owszem, w historii nie brakuje przykładów umów nierównorzędnych, jak układ o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy między Polską a ZSRR z kwietnia 1945 r., który zwasalizował Polskę. Odporność suwerennościową każdego państwa skalują jego walory potęgometryczne; kraj mały, słaby i ubogi startuje z gorszej pozycji do układania się z współzycia z innymi. Może się uprzedmiotowić jako obiekt gry geopolitycznej, zwłaszcza jeśli w jego regionie dominuje państwo o ambicjach imperialnych.

Sedno problemu sprowadza się do tego, z kim dane państwo wiąże się układami i jak się przedstawia międzynarodowa kondycja moralno-prawna w owym okresie, na ile istnieje przyzwolenie społeczności regionalnej i światowej na nierównoprawne traktaty. A przecież i tutaj niezgoda wspólnoty państw demokratycznych na gwałcenie zasady równorzędności państw może być poczytania za mieszanie się w „nie swoje sprawy”, eo ipso – za gwałt na suwerenności państwa „senioralnego” i państwa „wasalnego”, które wszak „dobrowolnie” chcą zawrzeć układ o „przyjaźni i współpracy”.

Tłumacząc pisowskim suwerenistom, czym jest suwerenność, należało by im uprzytomnić prawdę siemieżną, że państwa bywają duże i małe, mocniejsze i słabsze. Co prawda wszystkie one w obecnym porządku międzynarodowym formalnie są równe. Jednak niektóre, z uwagi na potencjał mocarstwowy, wyróżniają się jako równiejsze. I na wyróżnienie owo zasłużyły sobie, obok pierwiastkowych, przez zrządzenie losu przyznanych udogodnień geograficznych i demograficznych – dużego terytorium, pokażnej liczby ludności i bo-

gactw naturalnych – ambitną pracą i wysiłkiem państwowotwórczym.

Nie brakowało w tym zaborczości i ciemiężenia obcych ludów – cóż, w początkach nowożytności państwa europejskie tak demonstrowały próbę charakterów. Ale przekładały to na skokowy wzrost industrialny – również dzięki kreatywności i wynalazczości – oraz na akumulację kapitału. Czyli na większy potencjał.

I Rzeczpospolita kiepsko zdała historyczny egzamin. Wzrostu przemysłowego nie doświadczyła (jego pierwociny pojawiły się dopiero za Stanisława Augusta), środków na rozwój nowoczesny, zważywszy na antymieszczańskie ustawodawstwo i nastawienie antykapitalistyczne, nie łożyła, innowacyjnością technologiczną się nie wykazała – zgola na odwrót, odpelzała ku średniowiecznemu obskurantyzmowi.

Twierdzi się, że suwerenność jest przymiotem niepodzielnym, podobnie jak wolność. Tyle że w praktyce przymioty owe przekładają się na agregacje władczych kompetencji oraz praw obywatelskich, które można dzielić i uszczuplać. Deficyt swobód obywatelskich, zwiastujący autorytarny trend w systemie władzy, niewątpliwie niweczy suwerenność w rozumieniu nowoczesnym.

Zreasumujmy: suwerenność państwa przejawia się w jego równorzędnym statusie na arenie między państwowej, ale ujędnia ją materialny potencjał tego państwa. Jego moc bierze się z pracy i akumulacji płynących z niej zasobów, ze sprawczości administracji i gospodarki, z gry zespołowej w ramach integracji regionalnej. I z obywatelskiej mocy społeczeństwa. Siły zaś nie przysparza pretensjonalna krzykliwość, powagi nie dodaje strojenie groźnych min na forach międzynarodowych.

Aliści PiS syci się staroświecczyzną polityczną, dzięki której obleka się w skrzydła husarskie, co usposabia do zwady, niechby nawet pozorowanej. I takie usposobienie wyjaśnia, czym jest archetypowe pojmowanie suwerenności. Klekocze w nim maniakalna potrzeba „obrony interesu narodowego”, chociaż klarownej wykładni, czym ów interes by się oznaczał, nie ma. Ale domysleć się łatwo można, że chodzi o to, by PiS i Kaczyński rządzili w Polsce po wsze czasy.

PiS suwerenność przekłada na „hulał dusza bez kontusza”, pojmuje w terminach zbliżonych do Fredrowskiego „Pawła i Gawła”. Polska dopóty jest suwerenna, dopóki „patrioci” z PiS mogą najdiksze wymyślać swawole, odmalowawszy je na biało-czerwono i opatrzywszy Matką Boską Częstochowską; a w odwecie tym, którzy do przytomności i rozsądku apelują – własny dom władni są zatopić. Bo przecież „wolność Tomku w swoim domku”.

O zawodności tego rodzaju suwerenistycznego sobkostwa uczono mnie i moje pokolenie 60 lat temu, w pierwszej klasie szkoły podstawowej, na podstawie wierszyka Fredry. I podejrzewam, że większość pisowców przesłania „Pawła i Gawła” nie ogarnęła i do drugiej klasy nie przeszła. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działal w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny ministerstwa. Tytuł – „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Barańczak

Długowieczność oprawców

*Oprawcy – ale ci na monumentalną skalę,
nie od mokrej roboty, ale od suchych statystyk,
nie od kanciastych pięści, lecz od zaokrąglonych cyfr
w obstawie sześciu zer – słowem, oprawcy masowi,
gdy tylko wyjdą cało ze swych własnych czystek
i przejdą do historii, zaskakują stale
tym, że każdy dożywa w zdrowiu do późnego wieku.*

*Wszyscy niesłuszni świadkowie Jehowy, masoni,
artyści, chłopci, księża, posiadacze ziemscy,
mniejszości narodowe, opowiadacze anegdot,
przypadkowi pechowcy, na których ktoś doniósł z zemsty,
i ci, których nazwisko ktoś wypluł razem z zębami,
powtarzaliby pewnie (gdyby ich wskrzesić) wraz z nami
(i chyba głośniej) swoje zdziwione „dlaczego”,
widząc tych krzepkich staruszków na rencie,
jak grzeją kości na ławce w ogrodzie,
majstrują dla prawnuków latawce, z prostotą
siorbią barszcz, korzystają z dobrodziejstw
dzisiejszej medycyny, prócz starczych kłopotów z prostatą
nie doznając w zasadzie żadnych piekielnych udręczeń.*

*Domyslam się, że w ten sposób nadajesz nam jakiś szyfr,
że kryje się w tym, jak zawsze, Twój zamysł,
który wymierzasz Tobie tylko wiadomą miarą.*

*A jednak, o co chodzi? O trzymanie ich między nami,
by dać nam szansę – na co? na proces, spóźniony
o parę epok, o miliony
zlikwidowanych lat życia? na wyduszenie z nich
zeznań czy pamiętników? na zrozumienie natury
ludzkiej na tym rażąco żywym przykładzie? Czy mamy
stawać z nimi przed lustrem, pozować do zdjęć, na których
będzie widać, że niczym się tak naprawdę nie różnią
kaci od tych, co zwykle padają ofiarą?
A może chcesz nam pokazać, że gdybyś do końca znikł,
świadczyłoby wciąż o Tobie przynajmniej to, że na próżno
usiłujemy zrozumieć, co jest nagrodą, co karą?*

Wiersz z tomu Stanisława Barańczaka „**Widokówka z tego świata i inne rymy z lat 1986-1988**” (Zeszyty Literackie, Paryż 1988), tutaj za: Barańczak, „Wiersze zebrane”, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 55, Kraków 2007.



The New York Times:

WIELKI SKOK SAUDÓW

Arabia Saudyjska już wie, że popyt na ropę może się skończyć szybciej niż same jej złoża. Ale ma plan, jak prosperować w erze pośnieftowej.

Adam Satariano i Paul Mozur

Naftowe królestwo przeznacza miliardy na budowę mocy obliczeniowych i badania nad sztuczną inteligencją, wkraczając w sam środek rywalizacji USA i Chiny o supremację technologiczną. W marcowy poniedziałek dyrektorzy techniczni, kluczowi inżynierowie i sprzedawcy firm Amazon, Google, TikTok i wielu innych dzielnie znosili trzygodzinny korek, gdy ich samochody wlokły się w kierunku gigantycznej przestrzeni eventowej wzniesionej na środku pustyni, 80 km od Rijadu.

Przynęta była dobra: miliardy petrodolarów, które królestwo Saudów chce wydać w ramach budowy własnego przemysłu technologicznego, mającego stanowić drugi obok ropy filar zarówno przyszłości tego pustynnego kraju, jak i bieżącego rozwoju.

Aby ominąć korki, niektórzy sfrustrowani uczestnicy wydarzenia wjeżdżali na poboczne autostrady, mijając kolumny przestrzegających przepisów ruchu drogowego i wzbijając tumany drobnego piasku. Nieliczni szczęśliwcy skorzystali ze specjalnego pasa i zjazdu z autostrady przeznaczonego dla „V.V.I.P.” – bardzo, bardzo ważnych osób. „Ku przyszłości” – głosił baner nad drogą dojazdu do wydarzenia o nazwie Leap, czyli Skok.

Konferencja zgromadziła w sumie – fizycznie i online – 200 tys. osób. Był wśród nich Adam Selipsky, dyrektor generalny działu przetwarzania danych w chmurze Amazona, który ogłosił, że jego firma zainwestuje w Arabii Saudyjskiej 5,3 mld dol. w centra danych i technologię AI. Był Arvind Krishna, dyrektor generalny IBM, który wyjaśniał, co minister saudyjskiego rządu miał na myśli, mówiąc o „dozgonną przyjaźnią” IBM z królestwem. Dyrektorzy Huawei i dziesiątek innych firm wygłosili sążniste przemówienia. Według państwowej agencji prasowej zawarto tam transakcje o wartości ponad 10 mld dol.

„To wspaniały kraj” – zachwalał Shou Chew, dyrektor generalny TikTok, zapowiadając rozwój tej aplikacji w Arabii. „Planujemy jeszcze większe inwestycje”.

Zainwestujemy, jeśli zaponujemy nas korzenie

Wydaje się, że wszyscy w branży technologicznej chcą teraz przyjaźnić się z Saudami, ponieważ władze tego kraju wykuły plan, jak stać się dominującym graczem w dziedzinie sztucznej inteligencji – i pompują w osiągnięcie tego celu oszalamiające sumy.

Arabia Saudyjska utworzyła w tym roku fundusz o wartości 100 mld dol., którego wyłącznym celem jest rozwój sztucznej inteligencji i innych zaawansowanych technologii. Wiadomo, że Rijad prowadzi rozmowy z Andreessen Horowitz, firmą venture capital z Doliny Krzemowej, a przy okazji wieloma innymi inwestorami, aby przyciągnąć dodatkowe 40 mld dol. W marcu rząd zapowiedział, że zainwestuje miliard dolarów w akcelerator start-upów inspirowany Doliną Krzemową – ma to stanowić magnes dla innowacyjnych przedsiębiorców. Przy inicjatywach o takiej skali błędna wszelkie państwowe projekty na Zachodzie, takie jak choćby zobowiązanie rządu w Londynie do zasilenia Instytutu Alana Turinga sumą 100 mln dol.

Skala wydatków Rijadu wynika z planu nakreślonego już w 2016 r. przez księcia Muhammada bin Salmana i znanego jako „Wizja 2030”. To rozpisany na długie pokolenie wysiłek, w ramach którego Arabia Saudyjska dąży do dywersyfikacji swojej opartej na wydobywaniu ropy gospodarki. Poza technologią chodzi o także o turystykę, kulturę i sport – saudyjskie fundusze m.in. już inwestują setki milionów rocznie w lokalną ligę futbolową, kusząc bajorńskimi kontraktami nie tylko zbliżające się do emerytury gwiazdy w rodzaju Cristiano Ronaldo. A w planach jest budowa od podstaw 100-kilometrowego, futurystycznego miasta na pustyni.

Dla globalnej branży technologicznej Arabia Saudyjska jest źródłem finansowania od dawna. Teraz jednak przekierowuje ona swoje naftowe bogactwo bezpośrednio na kreowanie krajowego przemysłu technologicznego, wymagając od międzynarodowych firm zapuszczenia korzeni na miejscu, jeśli chcą otrzymać pieniądze od Rijadu.

Jeśli plan księcia Muhammada się powiedzie, Arabia znajdzie się w samym środku zaostrzającej się globalnej konkurencji między Chinami, Stanami Zjednoczonymi i innymi krajami, takimi jak Francja, które dokonały już przełomu w generatywnej AI. W połączeniu z wysiłkami w tym zakresie podejmowanymi przez sąsiada, Zjednoczone Emiraty Arabskie, może to stworzyć nowe centrum władzy w globalnym przemyśle high-tech.

„Niniejszym zapraszam wszystkich marzycieli, innowatorów, inwestorów i myślicieli do przyłączenia się do nas, tutaj, aby wspólnie osiągnąć nasze ambicje” – ogłosił książę Muhammad już cztery lata temu. Jego ambicje dotyczą obszaru delikatnego geopolitycznie, ponieważ Chiny i USA robią wszystko, by podzielić wyłącznie między siebie strefy wpływów nad rozwojem sztucznej inteligencji i samodzielnie kształtować przyszłość krytycznych technologii.

Wielu w Waszyngtonie obawia się, że zapędy autorytarnej monarchii mogą działać na szkodę interesów USA – np. poprzez udostępnienie mocy obliczeniowych chińskim badaczom i firmom. W kwietniu Biały Dom pośredniczył w zawarciu umowy, na mocy której Microsoft zainwestował w G42, firmę zajmującą się sztuczną inteligencją w Emiratach Arabskich – to ruch uprzedzający wejście na ten rynek graczom z Chin.

Dla Chin region Zatoki Perskiej oferuje duży rynek, dostęp do inwestorów z dużymi portfelami – i wielką szansę na wywieranie wpływu na kraje tradycyjnie sprzy-

mierzone z USA. Chińska forma nadzoru opartego na AI została już włączona do wielu działań policyjnych w regionie.

Niektórzy liderzy branży również zaczęli tam szerzej działać. Jürgen Schmidhuber, pionierski badacz, dyrektor naukowy w szwajcarskim Dalle Molle Institute for Artificial Intelligence Research, który obecnie kieruje także programem AI w najważniejszym ośrodku badawczym w Arabii, Uniwersytecie Nauki i Technologii Króla Abdullaha, mówił o dawnych arabskich tradycjach naukowych i matematycznych. „Byłoby wspaniale przyczynić się do wskrzeszenia tamtego złotego wieku. Tak, to będzie sporo kosztować, ale w tym kraju jest dużo pieniędzy”.

Gotowość do wydawania pieniędzy była w zeszłym miesiącu widoczna na zorganizowanej przez rząd gali w Rijadzie, która zbiegła się w czasie z konferencją Leap.

Wydaje się, że wszyscy w branży technologicznej chcą teraz przyjaźnić się z Saudami, ponieważ władze tego kraju naprawdę chcą stać się dominującym graczem w dziedzinie sztucznej inteligencji – i pompują w osiągnięcie tego celu oszalamiające sumy

Oświeceni w hollywoodzkim stylu goście setkami przybywali w maserati i maybachach z szoferami na parking o powierzchni 300 tys. stóp kwadratowych, który dwa lata temu został przekształcony w jedną z największych na świecie przestrzeni dla start-upów. Uczestnicy wymieniali się wizytówkami i debatowali nad otwarciem biur w Rijadzie, popijając sok z granatów i kawę doprawioną kardamonem.

„Tu kroi się coś dużego”, mówi Hilmar Veigar Petursson, dyrektor generalny CCP Games, islandzkiej firmy stojącej za popularną grą Eve Online, który był obecny na gali. „Miałem bardzo podobne odczucia, kiedy wróciłem z Chin w 2005 r.”.

Science fiction po arabsku

Projekt „Wizja 2030” księcia Muhammada, zaprezentowany po raz pierwszy osiem lat temu, wydaje się być zaczerpnięty z literatury science-fiction.

Zgodnie z planem, na pustyni wzdłuż Morza Czerwonego powstaną nowe futurystyczne megamiasta, oparte na zrównoważonych źródłach energii i zorientowane na technologię i usługi cyfrowe. A królestwo, które zainwestowało już miliardy w start-upy technologiczne, takie jak Uber, i pro-

gramy inwestycyjne, takie jak SoftBank’s Vision Fund, wyda znacznie więcej.

To przyciągnęło uwagę Doliny Krzemowej. Kiedy saudyjski książę, faktyczny władca Arabii, odwiedził Kalifornię w 2018 r., Sergey Brin, współzałożyciel Google’a, osobiście oprowadzał go wysadzonymi drzewami ścieżkami po kampusie swojej firmy. Tim Cook, dyrektor generalny Apple’a, pokazał mu najcenniejsze prototypy firmy. Książę udał się potem do Seattle, gdzie spotkał się z Billem Gatesem i Satyą Nadellą, dyrektorem generalnym Microsoftu, oraz z Jeffem Bezosem, właścicielem Amazona.

Książę zaprezentował się jako młody, zaawansowany cyfrowo reformator. Entuzjazm przygasił jednak kilka miesięcy później, gdy Jamal Khashoggi, felietonista „Washington Post” i krytyk polityki wewnętrznej księcia, został zamordowany w saudyjskim konsulacie w Stambule. Książę Muhammad do dziś zaprzecza, że miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem dysydenta, ale CIA nie ma wątpliwości, że je zlecił.

Przez pewien czas kontakty zachodnich liderów biznesu z Arabią Saudyjską były postrzegane jako niestosowne. Jednak to już przeszłość – pokusa olbrzymich pieniędzy okazuje się zbyt silna.

Rozwój sztucznej inteligencji zależy od dwóch kluczowych rzeczy, których Arabia ma pod dostatkiem: pieniędzy i energii. Królestwo przeznacza obecnie zyski z ropy na masowe zakupy półprzewodników, budowę superkomputerów, przyciąganie talentów i budowę centrów danych zasilanych obficie dostępną energią. Arabia Saudyjska chce ostatecznie być liderem w eksporcie mocy obliczeniowych dla AI.

Majid Ali Al-Shehry, dyrektor generalny ds. badań w Saudi Data and A.I. Authority, rządowej agencji nadzorującej inicjatywy związane ze sztuczną inteligencją, twierdzi, że ok. 70 proc. z 96 celów strategicznych nakreślonych w Wizji 2030 obejmuje wykorzystanie baz danych i AI. „Postrzegamy sztuczną inteligencję jako jeden z głównych czynników umożliwiających rozwój wszystkich sektorów naszej gospodarki” – mówi nam w biurze agencji w Rijadzie, gdzie opracowywany jest m.in. arabski chatbot o nazwie Allam.

Cele Wizji 2030 są intensywnie propagowane. Plakaty dotyczące różnych aspektów planu są widoczne w całym Rijadzie. Młodzi Saudyjczycy już powszechnie postrzegają księcia jako kierującego królestwem tak, jakby był to olbrzymi start-up. Wielu liderów branży także przyjmuje tę narrację. „Arabia ma swojego założyciela” – powiedział w zeszłym roku na konferencji w Miami Ben Horowitz, założyciel Andreessen Horowitz. „Nazywa się go tam jednak inaczej: jego królewską wysokością”.

Niektórzy wątpią, czy Arabia Saudyjska może stać się globalnym centrum technologicznym. Jest to kraj, w którym przestrzeganie praw człowieka pozostawia wiele do życzenia, życie kobiet podlega licznym ograniczeniom, homoseksualizm jest przestępstwem, a upały odstraszały przybyszów. Ale dla tych przedsiębiorców, którzy zjechali do Rijadu w zeszłym miesiącu, związane z tym obawy wydawały się drugorzędne wobec zawrotnej ilości zawieranych od ręki transakcji.



• **Konferencja Leap, czyli Skok, odbyła się pod Rijadem, na początku marca. Saudyjskie władze chwalały się, że w sumie wzięło w niej udział 200 tys. ludzi związanych z branżą high-tech, bezpośrednio lub online**

FOT. IMAN AL-DABBAGH/THE NEW YORK TIMES

„Oni po prostu wlewają rzekę pieniędzy w sztuczną inteligencję” – mówi Peter Lilian, inżynier w Groq, amerykańskim producencie półprzewodników, które zasilają systemy AI. Groq współpracuje przy budowie Neom, futurystycznego miasta, które Saudowie budują już na pustyni, oraz z Aramco, państwowym gigantem naftowym.

Atrakcje jak z baśni

Położony nad turkusowymi wodami Morza Czerwonego kampus Uniwersytetu Nauki i Technologii Króla Abdullaha stał się miejscem technologicznej rozgrywki między USA a Chinami.

Placówka ta, znana jako KAUST, ma kluczowe znaczenie w planach Rijadu. Wzorując się na uczelniach takich jak Caltech, KAUST sprowadza zagranicznych liderów branży AI i zapewnia im środki do pracy. Głównym terenem łowieckim dla KAUST są Chiny: to tam odbywa się najintensywniejsza rekrutacja zdolnych studentów i wykładowców oraz nawiązuje się partnerstwa badawcze. To oczywiście niepokoi amerykańskich urzędników, według których personel chińskich uniwersytetów wojskowych wykorzystuje KAUST do omińnięcia amerykańskich sankcji nakładanych na Chiny w sektorze high-tech w ramach wysiłku o dominację w dziedzinie AI.

Szczególnie niepokojąca jest budowa przez uniwersytet jednego z najszybszych superkomputerów w regionie, który potrzebuje wielu tysięcy mikroprocesorów wyprodukowanych przez Nvidię, największego producenta cennych chipów. Zamówienie na te chipy, o szacunkowej wartości ponad 100 mln dol., jest wstrzymywane przez rząd USA, który musi wydać Nvidii licencję eksportową, zanim sprzedaż będzie mogła dojść do skutku.

Zarówno Chiny, jak i USA chcą trzymać księcia Muhammada blisko siebie. Ten z kolei swoimi ambicjami technologicznymi dokłada geopolitycznego znaczenia królestwu, które już jest kluczowe dla jakiegokolwiek skutecznej polityki wobec Bliskiego Wschodu, nie mówiąc o globalnym bezpieczeństwie energetycznym. Wie o tym Xi Jinping, który pofatygował się do Arabii Saudyjskiej osobiście już w 2016 r., torując drogę do współpracy technologicznej.

Przyzwyczajone do ustalanej centralnie odgórnej polityki przemysłowej, chińskie

firmy szybko dobrze poczuły się w saudyjskiej rzeczywistości, tworząc partnerstwa z głównymi spółkami państwowymi. Amerykanie stale naciskają na Arabię Saudyjską, by wybrała jedną ze stron, ale książę Muhammad wydaje się zadowolony z korzyści płynących z utrzymywania relacji z oboma mocarstwami.

Jürgen Schmidhuber, badacz kierujący wysiłkami KAUST w zakresie sztucznej inteligencji, obserwował te przepychanki z bliska. Uważany za pioniera generatywnej sztucznej inteligencji – wśród studentów w laboratorium, którym kierował, był m.in. założyciel DeepMind, innowacyjnej firmy należącej obecnie do Google’a – został „zwabiony” do Arabii w 2021 r. Mówi, że początkowo miał zastrzeżenia do pomysłu przeprowadzki, ale władze KAUST „zrobiły wszystko, by uczynić ten krok bardziej atrakcyjnym konkretnie dla mnie”.

Teraz Schmidhuber czeka na ukończenie budowy superkomputera Shaheen 3, który jest szansą na przyciągnięcie jeszcze większej ilości najlepszych talentów do Zatok Perskiej i zapewnienie naukowcom dostępu do mocy obliczeniowej obecnie zarezerwowanej głównie dla inżynierów największych firm. „Żaden inny uniwersytet na świecie nie będzie dysponował czymś podobnym” – zapewnia.

Oczywiście w Waszyngtonie obawiają się, że ten superkomputer zapewni naukowcom z chińskich uniwersytetów dostęp do najnowocześniejszych zasobów obliczeniowych, których nie mają w Chinach. Według danych zgromadzonych przez „The New York Times”, co najmniej kilkunastu pracowników KAUST pochodzi z powiązanych z wojskiem chińskich uniwersytetów znanych w Chinach pod nazwą „Siedmiu Synów Obrony Narodowej”. Za administracji Donalda Trumpa USA zablokowały pobyty naukowe w Ameryce studentom z tych uniwersytetów właśnie z obawy, że przekażą wrażliwe technologie chińskiej armii.

„Stany Zjednoczone powinny odmówić licencji eksportowych każdemu podmiotowi, jeśli użytkownik docelowo może być podmiotem chińskim powiązany z Armią Ludowo-Wyzwoleńczą” – oznajmił Mike Gallagher, republikański kongresmen z Wisconsin.

Wysoki rangą urzędnik Białego Domu, wypowiadający się pod warunkiem zachowania

anonimowości, powiedział, że domyslną polityką USA było dzielenie się technologią z Arabią Saudyjską, kluczowym sojusznikiem w regionie, ale od razy pojawiły się obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego i ryzyko związane ze sztuczną inteligencją.

Departament Handlu odmówił nam komentarza. Chiński MSZ także nie odpowiedział na przesłane faksem pytania o komentarz. Rzeczniczka KAUST powiedziała za to: „Będziemy ściśle przestrzegać wszystkich warunków licencji eksportowej USA przez cały okres funkcjonowania Shaheen 3”.

Schmidhuber uważa, że rząd saudyjski ostatecznie zawsze wybierze sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. I że podobnie jak amerykańska technologia pomogła stworzyć przemysł naftowy Arabii Saudyjskiej, odegra ona kluczową rolę także w rozwoju jej AI. „Nikt nie chce narażać na szwank tego planu” – mówi badacz.

Nowa gorączka złota

Aladin Ben, niemiecki przedsiębiorca o tunezyjskich korzeniach zajmujący się sztuczną inteligencją, przebywał w zeszłym roku na Bali, kiedy otrzymał e-maila od pewnej saudyjskiej agencji. Dotyczyła jego start-upu Memorality, który projektuje narzędzia ułatwiające firmom wdrażanie sztucznej inteligencji w regularnej pracy. Saudowie chcieli nawiązać współpracę.

Od tego czasu 31-letni Ben był już w Arabii Saudyjskiej pięciokrotnie. Obecnie prowadzi negocjacje w sprawie inwestycji w jego pomysły i innych partnerstw. Jego firma będzie jednak potrzebować rejestracji w Arabii Saudyjskiej, aby w pełni skorzystać z oferty rządowej, która obejmuje zakup setek rocznych subskrypcji jego oprogramowania w ramach kontraktu o wartości ok. 800 tys. dol. miesięcznie.

„Jeśli chcesz zawrzeć poważną umowę, musisz być obecny stale na miejscu” – uważa Ben, z którym rozmawiamy w Rijadzie.

To jest zasadnicza zmiana: obecnie Arabia Saudyjska dodala warunki do swoich transakcji i inwestycji, wymagając od wielu firm otworzenia placówek, a nawet przeniesienia zasadniczej części działalności do królestwa.

Przykładem GAIA, akcelerator start-upów AI, dla którego saudyjscy urzędnicy ogłosili w zeszłym miesiącu finansowanie w wysoko-

ści miliarda dolarów. Każdy start-up biorący udział w programie otrzymuje dotację w wysokości 40 tys. dol. w zamian za spędzenie co najmniej trzech miesięcy w Rijadzie, po których potencjalna inwestycja może wynieść dalsze 100 tys. dol. Przedsiębiorcy muszą zarejestrować swoją firmę w królestwie i wydać 50 proc. otrzymanych środków na miejscu. Przy okazji otrzymują również bezpłatny dostęp do mocy obliczeniowej zakupionej przez Rijad od Amazona i Google’a. Od czasu jego uruchomienia w zeszłym roku przez program GAIA przewinęło się ok. 50 start-upów – w tym z Tajwanu, Korei Południowej, Szwecji, Polski i USA.

„Chcemy przyciągnąć talenty i chcemy, aby ci ludzie u nas zostali” – powiedział Muhammad Almazyad, kierownik programu GAIA. „Kiedyś w dużej mierze polegałimy na ropie naftowej, teraz musimy się zdywersyfikować”.

Jedną z największych zachęt dla start-upów jest szansa na pozyskanie klientów rządu Arabii Saudyjskiej. Ostatnio Abdullah Alswaha, minister ds. komunikacji i technologii informacyjnych, poprosił start-upy z GAIA o zasugerowanie, co mogłyby dostarczyć saudyjskiemu rządowi, w tym dla realizacji projektów megamiast, takich jak Neom.

„Powiedziałbym, że ten proces na pierwszych etapach nie jest, nazwijmy to, organiczny” – przyznaje Almazyad. „Nie znajdziesz tego typu działań w Dolinie Krzemowej. Ale docelowo taka współpraca ma się odbywać naturalnie i płynnie”.

Decyzja o założeniu firmy w Rijadzie wiąże się z wyzwaniami. Upał latem osiąga nawet 45 stopni, a dostosowanie się do życia codziennego w ultrakonserwatywnym muzułmańskim społeczeństwie także nie należy do łatwych dla ludzi z Zachodu. Chociaż w ostatnich latach Arabia Saudyjska złagodziła niektóre ograniczenia, wolność słowa pozostaje mocno ograniczona, a osoby L.G.B.T.Q. mogą podlegać sankcjom karnym.

Almazyad, który sam ma nadzieję studiować jeszcze w USA, przyznaje, że różnice kulturowe mogą utrudnić ambitny plan rekrutacji talentów. Przestrzegł jednak przed niedocenianiem determinacji Arabii Saudyjskiej. „To dopiero początek” – zapowiada. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski

© 2024 The New York Times Company

30

lat temu w RPA skończył się apartheid. Nelson Mandela mówił o gojeniu ran i zasypanywaniu przepaści. Zaszczepił nadzieję, że nowo narodzona wolność przyniesie wszystkim „pracę, chleb, wodę i sól”.

Tę nadzieję systematycznie dusiły łajdactwa, nepotyzm i nieudolność jego następców i partyjnych towarzyszy.

Gdy Mandela mówił o świetlanej przyszłości, stopa bezrobocia w RPA wynosiła 13 procent – dziś przekracza 32 procent, a wśród młodych sięga 60 procent. Za dolara dawano 3,5 randa, dziś kosztuje 19 randów.

Według Banku Światowego nierówności dochodowe w RPA są najwyższe na świecie. Równie głęboka jest przepaść między potencjałem kraju a jego dzisiejszą kondycją.

Bo gdy spojrzeć na listę atutów Republiki Południowej Afryki, to marzenia o potędze i dostatku nie wyglądają na wyssane z palca.

Największy na świecie producent platyny i chromu, piąty w świecie producent diamentów, siódmy producent węgla.

Trzecie co do wielkości po Australii i Rosji pokłady złota. Najbardziej uprzemysłowiony kraj Afryki.

Blisko 100 lotnisk.

Giełda w Johannesburgu pod względem kapitalizacji większa niż giełdy we Frankfurcie, Tokio czy Paryżu.

Pierwszego na świecie przeszczepu serca dokonano w szpitalu w Kapsztadzie, 57 lat temu.

Są w Johannesburgu czy Kapsztadzie rezydencje, które przyćmiewają Bel Air, Dolinę Krzemową czy Lazurowe Wybrzeże.

Do tego miliony zgłodniałych sukcesu, pracowitych ludzi.

Tyle że zawsze można zaprzepaścić szansę. To, że zaprzepaściła je partia Nelsona Mandeli, jest szczególnie ponurą historią.

Z lotniska w Johannesburgu do centrum miasta w kwadrans dojeżdża czysta, punktualna i bezpieczna kolej naziemno-podziemna. W restauracjach Kapsztadu nożna zjeść nie gorzej i znacznie taniej niż w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie. W nadmorskich kurortach ciepłego Oceanu Indyjskiego i zimnego Atlantyku roi się od barów, w których serwują dowolny trunek świat, w tym kilka odmian naszego Belwederu. W Stellenbosch, stolicy tutejszej doliny win, równie elegancko, jak w kalifornijskiej Napię, włoskiej Toskanii czy francuskiej Burgundii, a wina nie gorsze.

Lecz wystarczy niespełna godzina autem z centrum metropolii, aby trafić na przyklejone do autostrad siedliska czarnej biedoty, które niewiele się zmieniły od czasów apartheidu. To tzw. townships, gdzie slumsy sklecone z blachy i tektury przepłatają się z tanimi betonowymi domkami, pali się, czym się da, gdzie bosonogie czarnoskóre dzieci biegają po pełnych rozbitych butelek uliczek, gdzie bezrobocie przekracza 50 procent, a ludzie błagają się bez celu.

W podmiejskich pociągach, którymi jeździ większość czarnych, grasują uzbrojone bandy rzezimieszków, wymuszając pieniądze, telefony komórkowe i co tylko da się sprzedać.

Soweto, największy z townships, zamieszkuje ponad 2 miliony ludzi. Przy jednej z tutejszych ulic, Vilakazi, żyło dwóch laureatów Nagrody Nobla: Nelson Mandela i arcybiskup Desmond Tutu, druga po Mandeli ikona RPA, człowiek, który przedstawił skrótowo historię całej Afryki: „Kiedy biali misjonarze zjawili się w Afryce, oni mieli Biblię, a my mieliśmy ziemię. Powieździeli: módlmy się. Zamknęliśmy oczy. Kie-



Refren, który powtarzają i czarni, i biali w RPA, brzmi znajomo dla przybysza znad Wisły

Andrzej Lubowski

dy je otworzyliśmy, my mieliśmy Biblię, a oni ziemię”.

To w Soweto w 1976 roku zaczęło się powstanie studentów przeciwko reżimowi apartheidu. Dziś adrenaliny w tym mieście dostarczają skoki na bungee w Soweto Towers, przy Chris Hani Road. Hani, lider Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej i Umkhonto we Sizwe, zbrojnego skrzydła walczącego z apartheidem ANC, Afrykańskiego Kongresu Narodowego, został zamordowany 10 kwietnia 1973 r. strzałem w głowę przez Janusza Walusia, polskiego imigranta.

Był ponoć jedynym, który swą charyzmą mógł się równać z Mandelą. Po zamachu doszło do poważnych napięć i w obawie, że w kraju wybuchnie przemoc, Mandela zaapelował o spokój, w przemówieniu uznanym za „prezydenckie”, mimo że nie był jeszcze prezydentem kraju, tylko więźniem politycznym:

„Biały człowiek, pełen uprzedzeń i nienawiści, przybył do naszego kraju i dopuścił się czynu tak okropnego, że cały nasz naród balansuje obecnie na krawędzi katastrofy. Biała kobieta pochodzenia afrykańskiego ryzykowała życiem, abyśmy mogli poznać tego zabójcę i postawić go przed sądem. Nadszedł czas, aby wszyscy mieszkańcy Republiki Południowej Afryki zjednoczyli się przeciwko tym, którzy z dowolnej strony chcą zniszczyć to, za co Chris Hani oddał życie – wolność nas wszystkich”.

Mало naukowy sondaż przeprowadzony w połowie kwietnia 2024 wśród sześciu czarnych kierowców Ubera w Johannesburgu, dał mi wynik podobny, co rozmowy z białymi mieszkańcami Kapsztadu, Pretorii i buszu w prowincji Limpopo: „jest źle, będzie gorzej”. Ci u władzy zrobią wszystko, co się da, aby nie stracić władzy, bo jeśli ją stracą, to wielu pójdzie siedzieć – to refren, który powtarzają i czarni, i biali – brzmi znajomo dla przybysza znad Wisły. A jeśli nie da rady odsunąć od żłobu obecnej partyjnej arystokracji – mówią – to tylko czekać, aż wejdziemy na ścieżkę podobną do sąsiada, niegdyś mlekiem i miodem płynącego, a dziś zdewastowanego bankruta, Zimbabwe.

Sifiso (w języku Zulu znaczy „pragnienie”) – ćwierć wieku przepracował jako szofer w British Airways – dwóch synów dobrze po trzydziestce, których utrzymuje, bo nie mają pracy – przedstawia krótką diagnozę: „ci, na których głosowałem od młodego, kradną tak bezwstydnie, jak złodzieje z Mozambiku, którzy przystawiają nóż do gardła i zabierają kluczyki od auta”.

42-letni Bantiki ima się różnych zajęć, aby wychować dwie córki i pomóc starym rodzicom. Z trzech siostr jedna wyjechała do Chin i pracuje z głuchoniemymi, druga daje sobie radę w Południowej Korei, bo nauczyła się koreańskiego, a trzecia sprząta w Londynie. Bantiki o rządzących: „Napchałi kieszenie, pociotków poustawiali, a nasze szkoły, szpitale i drogi są coraz gorsze”.

A wszyscy, z którymi rozmawiam – biali, czarni, hindusi i kolorowi, czyli miesza- ni – zaczynają od tego, że brakuje prądu. Bo niemal codzienne w stolicy i codzienne od kilku lat na prowincji zmorą są przerwy w dostawach elektryczności. Bogatsi instalują baterie stołeczne i własne generatory.

Errol Back-Cunningham, biały, wysokiej klasy informatyk, z bogatym doświadczeniem na Wall Street, podziela opinie czarnych kierowców Ubera i dodaje: Zachód wciąż o zielonej energii, chce, abyśmy szybciej odchodzili od węgla, a jednocześnie kupuje od nas miliony ton węgla. Nie widzisz w tym hipokryzji?

I przechodzi do metali rzadkich. Opowiada, że odwiedził przyjaciela, właściciela kopalni złota na południu kraju, który mu pokazał, że do wydobycia niektórych minerałów, potrzebnych zwłaszcza sektorowi militarnemu, nie potrzeba wielkich technologicznych inwestycji, wystarczą potężne koparki i dziesiątki ogromnych ciężarówów.

Ale przecież nie ma nic szokującego w tym, że kopalnia odkrywkowa to biznes imponujący skalą, lecz nie high tech?

– Tak, tylko sprawdź, jak skalkulowana jest cena tych surowców. Kupcy, odbierający transporty w portach, są zadowoleni. Ale drogi, po których jeżdżą te koparki i ciężarówki, na wiele się już nie zdadzą. Czy ktoś to policzył i wkalkulował w cenę? A kręcą się wokół tego biznesu wszyscy ważni ludzie.



500 kilometrów na północny wschód od stolicy, w miasteczku Phalaborwa, na granicy Parku Krugera, trwa od lat na gigantyczną skalę zbliżony rabunkowy proceder, choć idzie o mniej strategiczny i znacznie tańszy surowiec.

Kiedyś Rio Tinto do spółki z Chińczykami wykopali jedną z największych dziur na świecie, wydobywając głównie miedź. Od kilku lat miedzi już nie ma i rządzi niepodzielnie Chińczycy. Kilka razy dziennie z kopalni odkrywkowej w Palaborwa odchodzą składy 90 wagonów wypełnionych tysiącami ton magnetytu – minerału potrzebnego dla produkcji wysokojakościowej stali. Pociąg kończy swój bieg w Maputo, w Mozambiku, skąd statkami magnetyt wędruje do Chin.

W drodze do Maputo przecina kilka rezerwatów przyrody, zabijając po drodze słonie, nosorożce i hipopotamy, oszołomione hukiem konwoju. Strażnicy parku powiadają mi o tym z przerażeniem, ostrożnie i bez szczegółów.

W raporcie „Bezpieczeństwo przede wszystkim: Ekonomiczne koszty przestępczości w Republice Południowej Afryki” z listopada 2023 r. Bank Światowy szacuje się, że przestępczość kosztuje gospodarkę co najmniej 10 procent PKB rocznie: to skradzione mienie, koszty ochrony (bezpieczeństwo i ubezpieczenie) i utracone możliwości gospodarcze. Organy ścigania nie dają sobie z tym rady. Wedle prasy po-

łudniowoafrykańskiej powód to „toksyczny koktajl przeciętności, korupcji i upolitycznienia”.

RPA uparcie plasuje się w pierwszej piątce na świecie pod względem wskaźników zabójstw. Rośnie przestępczość zorganizowana, w tym kradzieże kluczowych elementów sieci infrastruktury. Hans Merensky Hotel & Golf Resort w Phalaborwa, kiedyś z pięcioma gwiazdkami, od kilku lat nie może przyjąć gości, bo złodzieje regularnie wyciągają z ziemi kable elektryczne i sprzedają je na złom.

Patologia w budownictwie, gdzie mafie napadają na place budowy i żądają okupu lub udziału w projektach deweloperkich, przybrała takie rozmiary, że w ocenie niektórych firm zagranicznych prowadzenie interesów w RPA to większe wyzwanie niż działalność w Iraku czy Afganistanie.

Swoją cegielkę dołożył Covid. PKB skurczył się w 2020 r. o 6,3 procent i wciąż nie wrócił do poziomu sprzed pandemii. Zachwał mocno turystyką. Pięciogwiazdkowy Hyatt Regency w Johannesburgu do dziś jest zamknięty. Kupa ludzi straciła pracę. Ze stron Airbnb zniknęły ogłoszenia wielu właścicieli małych kwater w okolicach Parku Krugera, jednego z najbardziej imponujących parków narodowych świata, bo jak je wynajmować, kiedy wody na herbatę nie zago-tujesz, nie działa ani lodówka, ani wenty-lator.



• **Poniedziałek 22 kwietnia, Kapsztad, bezrobotni czekają na oferty dorywczego zatrudnienia pod plakatami wyborczymi. Rozkręca się kampania przed zaplanowanymi na koniec maja wyborami parlamentarnymi**

FOT. REUTERS/NIC BOTHMA

• **Wiosna 2024, pożary łąk pod Johannesburgiem**

FOT. REUTERS/SIPHIWE SIBEKO

32 proc.

• **wynosi bezrobocie w RPA, wśród młodych 60 procent**

2 mln

• **ludzi zamieszkuje Soweto, największą z czarnych dzielnic nędzy. Stąd pochodzili Nelson Mandela i arcybiskup Desmond Tutu**

• **Na ponad**

200 mln dol.

• **dziennie szacuje się straty z tytułu przerw w dostawach prądu w RPA**

5200 zł

• **dochód gospodarstwa domowego kwalifikujący do klasy średniej w RPA**

Na czele ważnych instytucji i państwowych przedsiębiorstw partia od lat stawia często ludzi wyjątkowo niekompetentnych. Złaknieni dóbr doczesnych niedawni rewolucjoniści przychylnie traktują umizgi białej elity i konfitury, jakie towarzyszą władzy. Wszystko to hamuje wzrost gospodarczy i apetyt zagranicy na inwestowanie.

Eskom, główny producent energii, to od dawna przykład niekompetencji i korupcji. Straty z tytułu przerw w dostawach prądu szacuje się na ponad 200 mln dol. dziennie. Banki i firmy telekomunikacyjne radzą sobie dzięki własnym generatorom. Gorzej w przypadku małych przedsiębiorstw.

South African Airlines, kiedyś jedna czołowych międzynarodowych linii lotniczych, zbankrutowała, ale ją reanimowano. Lecz i tak ledwie zipie, a jedyny lot poza kontynent, jakim się chwali, to Sao Paulo.

Masowe bezrobocie, monstualna niekompetencja i widoczna gołym okiem korupcja partii rządzącej, stworzyły idealną pożywkę dla populizmu. Utworzona w 2013 r. skrajnie lewicowa partia Economic Freedom Fighters, kierowana przez byłego szefa młodzieżówki ANC, Juliusa Malemę, odwołująca się do marksizmu-leninizmu, oskarżona o sianie nienawiści przeciwko białym i Hindusom, w ostatnich wyborach w 2019 r. zyskała niemal 11 proc. głosów i stanowi dziś trzecią siłę w parlamencie.

Demonstracje pod hasłem „cudzoziemcy kradną nam pracę” gromadziły niemal wyłącznie czarne tłumy, domagające się deportacji tysięcy biedaków z okolicznych krajów, głównie Zimbabwe, poszukujących w RPA lepszego losu. Dochodziło do przemocy wyłącznie z morderstwami.

EFC zawzięcie krytykuje i rządzącą ANC, i swego głównego rywala, Democratic Alliance, za rzekome sprzyjanie wielkiemu biznesowi. Szermując na lewo i prawo zarzutami o zdradę interesów czarnych mieszkańców, obiecuje walkę z korupcją, poprawę warunków mieszkaniowych, nieodpłatną służbę zdrowia i edukację. A jako podstawowe lekarstwo proponuje odebranie białym ziemi, nacjonalizację górnictwa i banków. Czym się skończyło odebranie ziemi białym, pokazała najnowsza historia Zimbabwe.

Mandela to znakomity dowód, jak ważne jest przywództwo na samej górze. Wskazany na następcę Thabo Mbeki był intelektualistą, zręcznie poruszał się po światowych salonach, ale ani dyplomy renomowanych uczelni angielskich, ani polityczne i militarne szkolenia w Moskwie nie zastąpiły zdolności Mandeli. Do końca drugiej kadencji nie dotrwał. Stolek odebrał mu był wiceprezydent, Jacob Zuma, wcześniej zdymisjonowany za „działania o znamionach korupcji”.

W czasach apartheidu Zuma, szef wywiadu ANC, opanował kunszt uciszania przeciwników i promował na wysokie szczeble aparatu bezpieczeństwa lojal-

ną mierność. Talent do gry hakami przydał mu się znakomicie w batalii o najwyższe stanowisko w niepodległej RPA. Jako prezydent silnych rywali kupował stanowiskami w rządzie lub nominacjami na ambasadorów, a słabszych wyrzucał z partii, skazując ich na polityczną banicję, odcinając od konfitur. O łapówki oskarżano go już przy okazji miliardowego kontraktu w 1999 r. na zakup sprzętu zbrojeniowego od francuskiego koncernu Thales.

Oskarżony o gwałt, którego ofiarą była kobieta zakażona HIV, w czasie procesu Zuma instruował sąd i naród, że prysnąć po stosunku z osobą cierpiącą na AIDS to lepsza ochrona niż kondom. Wydawał się autentycznym reprezentantem mas biednych, niewykształconych i przez całe pokolenia marginalizowanych. Lubi tańczyć w afrykańskich strojach, opowiada rubaszne dowcipy, miał kilka żon, a to zbliżało go do wielu wyborców i partyjnych bonzów o podobnych apetytach.

Światowe media rozpisywały się o pajęczynie korupcyjnych powiązań sięgających głowy państwa, jaką zbudowali w RPA bracia Gupta, geszefciarze z Indii. Kupując hurtowo wpływy niedawnych rewolucjonistów, bracia decydowali o ważnych inwestycjach i o obsadzie stanowisk ministerialnych.

Przy okazji procesu o gwałt Zuma pokazał, że w społeczeństwie RPA nie zamarły lojalności plemienne, oświadczając „Nie jestem Afrykaninem, jestem w 100 procentach Zulu”. Korzystał z przywilejów władzy i co z tego? Przecież to nasz. Niedawno stworzył własną partię i ubiega się o miejsce w parlamencie. W porównaniu z fortunami Mobutu czy cesarza Bokassy, zarzuty stawiane Zumie wyglądają na igraszkę, ale ani Kongo – Zair, ani Republika Środkowoafrykańska, którymi rządili, nie szczyciły się demokracją. I żaden nie aspirował do grona najsilniejszych gospodarek przyszłości.

Obecnego prezydenta, Cyrila Ramaphosę, Mandela cenił za rozumienie gospodarki. Gdy Cyril przegrał rozgrywkę o schedę po Nelsonie, dorobił się fortunny w sposób dla działaczy ANC nietypowy, bo legalny. Wydawał się i wyborcom, i zagranicy, znakomitą odtrutką na grube afery Zumy. Ale próby sanacji partii szły mu żłośnie kieszko. Brakuje wsparcia i odwagi.

Aby zrekomensować sobie porażki w kraju, postanowił zagrać rolę męża stanu na arenie międzynarodowej. Świat dostarczył mu kilku pretekstów. Pierwszy to szarada pod tytułem BRICS.

W 2001 r. ekonomiści Goldman Sachsa w roli ekonomicznych lokomotyw przyszłości obsadzili Brazylię, Rosję, Indie i Chiny (BRIC). Po kilku latach do tej czwórki doczepiono RPA i BRIC zamienił się w BRICS. Był to bardziej ukłon w stronę Mandeli i wyraz poprawności politycznej w mariażu z chciejstwem niż wynik solidnej analizy. Wedle Międzynarodowego Funduszu Walutowego, pod względem PKB Republika Południowej Afryki stoi na 40, a w przeliczeniu na głowę mieszkańca na 107 miejscu na świecie, ustępując w Afryce m.in. Gabonowi, Botswanie, Libii i Gwinei Zwrotnikowej.

Pokazuje się zatem Ramaphosa na szczytach BRICS w towarzystwie Xi, Luli i Modiego, a do czasu napaści Rosji na Ukrainę także Putina. Wojna dała mu kolejną szansę na światowej scenie.

W grudniu 2022 na rosyjski statek towarowy „Lady R”, objęty sankcjami USA, zacumowany w bazie marynarki wojennej RPA w pobliżu Kapsztadu, załadowano – zdaniem ambasadora USA – broń i amunicję. Władze RPA z oburzeniem zaprzeczyły. Przy okazji tego incydentu, nazywanego w RPA „LadyRussiagate”, opozycja oskarżyła ANC o dostarczanie broni Rosji w zamian za finansowanie kampanii w wyborach, które odbędą się za kilka tygodni. Ale jednocześnie dodała, że jeśli „broń została przekazana Rosji, to dobrze”.

Latem 2023 Ramaphosa obsadził się w roli lidera Afryki i wybrał się do Zelenckiego i Putina z „mission impossible” neutralnego mediatora. Fakty jednak kłocą się z deklarowaną neutralnością.

W pierwszą rocznicę rosyjskiej inwazji u wybrzeży RPA odbyły się wspólne manewry marynarek RPA, Rosji i Chin. Ich celem, zdaniem rządu w Pretorii, było „zacieśnienie już dziś kwitnących relacji między Południową Afryką, Rosją i Chinami”. Ambasador Ukrainy w RPA powiedziała, że nie rozumie, dlaczego władze kraju chcą wspólnych ćwiczeń swoich żołnierzy z „armią gwałcicieli i morderców”. Dla Rosji te manewry były demonstracją jej wpływów i potwierdzeniem, że nie dla wszystkich Kreml jest pariasem. Dla Chin były sposobem na zaznaczenie „partnerskiej” obecności, kojarzonej dotychczas raczej z rabunkiem afrykańskich surowców.

Dziś na pytanie, dlaczego to właśnie RPA wystąpiła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w oskarżeniu Izraela o ludobójstwo, Ramaphosa odpowiada: „Jako naród, który kiedyś zasmakował gorzkich owoców wywłaszczenia, dyskryminacji, rasizmu i przemocy sponsoro-

wanej przez państwo, mamy pewność, że staniemy po właściwej stronie historii”.

Część południowo-afrykańskich komentatorów widzi to inaczej. Zdaniem dr. Fran-
sa Cronje, byłego szefa South African Institute of Race Relations, Iran posłużył się RPA w wojnie ideologicznej przeciwko Izraelowi w podobny sposób, w jaki Hamas czy Hezbollah służą mu w działaniach militarnych. ANC pobierała, zdaniem dr. Cronje, nauki w zakresie wojny ideologicznej od takich mistrzów, jak Północny Wietnam, ZSRR i NRD, i oferuje je tym, których na to stać. Nieprzypadkowo – powiada-
dzien po ataku Hamasu na Izrael szef dyplomacji RPA poleciał do Teheranu.

Według Banku Światowego, PKB na mieszkańca RPA jest dziś o ponad 20 procent niższy niż 10 lat temu. „RPA zmierza szybko donikąd” – tak zatytułował BusinessTech marcowy raport o sytuacji gospodarczej kraju.

Jeszcze kilkanaście lat temu mówiono, że upadek apartheidu przyniesie rozkwit czarnej klasy średniej. Tak się nie stało. 55 proc. społeczeństwa cierpi chroniczną biedę – niezdolność do zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb, i są to niemal wyłącznie czarni – 4 proc. to tzw. „kolorowi”. Zaś co drugiemu z tych, którzy nie kwalifikują się dziś jako biedota, grozi, że do grupy biednych wróć.

Za klasę średnią uznaje się gospodarstwa domowe o dochodach przekraczających 25,000 randów miesięcznie (to 1300 dolarów, czyli z grubsza 5200 złotych). To nie więcej niż 20 proc. społeczeństwa RPA. Sytuacja tej grupy w ostatnich kilku latach znacznie się pogorszyła. Tak się zapożyczyła, że średnio 79 proc. jej dochodów idzie na obsługę długu.

Dele Olojede, laureat Pulitzera za prace dotyczące następstw ludobójstwa w Rwan-dzie, był afrykańskim korespondentem nowojorskiego Newsday z biurem w Johannesburgu po zwolnieniu Mandeli z więzienia. Od 2006 r. mieszka z rodziną w RPA. Jest szanowanym obserwatorem tego, co się tu dzieje.

I od lat przypomina mi o solidnym stanie instytucji demokratycznych w kraju: mediów, wymiaru sprawiedliwości, banku centralnego i krajowego biznesu. I jeszcze, że wszystkie bezkompromisowo bronią porządku konstytucyjnego. Media śledzą skandale i donoszą o nich. Sędziowie nie mają skrupułów przed wydawaniem wyroków na urzędników państwowych przylapanych na oszustwie. Bank central-

ny sprzeciwia się pomysłom partii rządzącej jego nacjonalizacji.

I wreszcie, próbom uzurpacji władzy przeciwstawia się krajowy biznes. A jest mocny. Trwające niemal 20 lat światowe embargo nałożone na afrykanerskie władze apartheidu wymusiło rozwój własnego przemysłu. Dziś biznes wykorzystuje swoje mięśnie w walce o porządek konstytucyjny.

Kiedy Zuma pod naciskiem braci Gupta niespodziewanie w pewien piątek odwołał ministra finansów i powołał na jego miejsce niekompetentnego lojalistę, Kościół wyraził dezaprobatę, a sfera gospodarcza zagroziła, że jeśli nominacja nie zostanie natychmiast odwołana, ucierpią na tym inwestycje krajowe i zagraniczne. W poniedziałek odwołany minister wrócił.

„Pamiętaj – mówi Olojede, wieczny optymistą – że w przeciwieństwie do innych krajów afrykańskich sektor prywatny jest prężny, 3 razy większy niż rządowy i sprawdził się w roli obrońcy zasad demokracji”. Ale i jego niepokoi przyszłość. Wdzi na horyzoncie polityczne zawirowania.

W 1995 r., otwierając posiedzenie Sądu Konstytucyjnego, Mandela powiedział: „Oczekujemy, że będziecie nas chronić nie tylko przeciwko bezpośrednim atakom na pryncypia konstytucji, ale także przeciwko podstępnej korozji tych pryncypiów”.

W 1999 roku, na kongresie federacji związków zawodowych powiedział: „Jeśli ANC zrobi wam to, co wam zrobił rząd apartheidu, powinniście zrobić ANC to samo, co zrobiliście rządowi apartheidu”.

Dla młodych zasługi bojowników walki z apartheidem znaczą coraz mniej. Liczą się realia dnia dzisiejszego. Każda złamana obietnica podcina resztki zaufania do starej gwardii. Co z tego, że dziś możemy mieszkać tam, gdzie chcemy, skoro mieszkamy tam, gdzie nasi rodzice, czyli w townships? Cóż z tego, że w teorii każda praca jest w naszym zasięgu, skoro nie mamy żadnej?

Realny jest scenariusz, w którym ANC po raz pierwszy nie zdobywa większości i dla utrzymania władzy potrzebuje koalicjanta. A większość potencjalnych koalicjantów to gracze o mocno wątpliwych programach. Na rychłą sanację w RPA się nie zanoszą.

OGŁOSZENIE

Kraj/34314768

Fascynująca historia kluczowej i często tragicznej roli Nepalczyków, Tybetańczyków i Pakistańczyków w wyprawach na najwyższe szczyty świata.

JON KRAKAUER

Szerpowie, Baltowie, Ladakhowie, Hunzowie czy Bothiowie od zawsze brali udział w górskich wyprawach. Stoją za światowymi sukcesami gwiazd wspinaczki, ale ich nazwiska rzadko są znane. Dziś coraz głośniej je słyszeć. Z wielogłosu niezwykłych historii Bernadette McDonald buduje poruszającą opowieść o prawdziwych ludziach gór.

Bernadette McDONALD

WYJŚCIE Z CIECIA

SZERPOWIE, BALTOWIE I TRIUMF LOKALNYCH WSPINACZY

WYJŚCIE Z CIECIA

TLUM. ANDRZEJ GÓRKA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

W JEDNYM GNIAZDKU Z WYBORCAMI PIS-U

W zdrowym społeczeństwie jest potrzebna prawica i lewica. Tylko wtedy jedni i drudzy mogą obrać dobry kurs

Agata Całkowska

Donguralesko, właśc. właściwie Piotr Górny, rocznik 1980 r., to jeden z prekursorów rapu w Polsce. Nagrywa płyty regularnie i nieprzerwanie od 1994 r. Ma na koncie 26 solowych albumów. Przed spotkaniem z artystą wybrałam się na jego koncert do jednego z klubów muzycznych w Warszawie. Wśród odbiorców były osoby w różnym wieku. Kilka dni później spotkaliśmy się w małej kawiarni w centrum Poznania.

Donguralesko zaczął od opowiedzenia, że przez wiele ostatnich miesięcy zmagał się po raz kolejny z poważnym urazem neurologicznym. Doznał

paraliżu twarzy w trakcie, którego nie zszedł ze sceny, podklejał twarz plastrami i grał koncerty. Jak ten, na którym byłam, bardzo energetyczny i pełen pozytywnego szaleństwa. Donguralesko od wielu lat jest marką samą w sobie. Zawsze w okularach słonecznych czyli dziamboksach, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. W jego rapie nigdy nie brakowało tematycznych tematów i problemów społecznych.

**Z DONGURALESKO, RAPEREM
ROZMAWIA AGATA CAŁKOWSKA**

AGATA CAŁKOWSKA: Kilka dni temu byłam na pana koncercie. Czy pan się zawsze tak dobrze czuł na scenie?

DONGURALESKO: Zagrałem dwa i pół tysiąca koncertów i to jest automat. Ale oczywiście nie zawsze tak było. Doszedłem jednak do momentu, kiedy nie zastanawiam się nad tym. Wychodzę, robię swoją pracę. Jak jest fajna publiczność, to jest tej energii więcej. Ale to nie jest bezkosztowe, zawsze jest coś za coś. To jest też trudna praca, ale taką mam. Mogę powiedzieć, że ją lubię czy nie lubię, ale jakie to ma znaczenie? Jestem fanem filmu „Prawo Bronxu”, w którym pada zajeby stwierdzenie i to też jest nawiązanie do tego pytania: kogo to kurwa obchodzi?

Co o Polsce powiedziało panu te ostatnie osiem lat?

– Jestem raperem i protestowałem tekstami. Widziałem, jak krok po kroku realizują się mechanizmy oportunisty, o których pisał Timothy Snyder. Dowiedziałem się, że historia, o której uczyłem się w podręcznikach, nie była czymś, co się działo skokowo, ale posuwa się małymi kroczkami. Dlatego na to nie zwracamy uwagi, bo jest nam wygodniej odwrócić głowę. Nie nauczyłem się niczego nowego, czego bym się nie nauczył na podwórku. Wchodzi głośny cham do pokoju i pytanie, co z tym zrobisz. No i tyle. Jeżeli nic nie zrobisz, to przejmie pokój. I tak właśnie było. Musiałem występować w niewygodnej dla mnie roli obrońcy różnych fragmentów systemu, kiedy zawsze czułem się antysystemowcem. To było dla mnie trochę paranoiczne doświadczenie, ale trzeba było to robić. Wielu ludzi się zachowało przyzwoicie. Nie będę nigdy się do nich porównywał i wypinał pierś do orderów tylko dlatego, że komentuję rzeczywistość.

Pana rapy towarzyszyły mi na manifestacjach. Ludzie często wychodzili na ulice.

– Tak, chwała Bogu, że nie byliśmy bierni. Za komuny Polska to był podobno najwelszyszy barak w całym obozie. I dobrze, że też ten nasz reżim przez osiem lat był taki trochę à rebours, w krzywym zwierciadle, przewracający się ciągle o własne sznurowadła. To całe nasze protestowanie mogłoby się nie udać, gdyby tylko PiS było skuteczniejsze i bardziej profesjonalne.

Młodzi mężczyźni głosują na Konfederację. Czy pan rozumie ich wybory?

– Jasne, że tak. Rozumiem, bo młodzi mężczyźni jak to młodzi mężczyźni są niedojrzali i poszukują wzorca. To są proste rzeczy, psychologiczne mechanizmy. Potrzebują kogoś, kto im uładzi rzeczywistość, narzuci jakieś proste reguły postępowania i opowie jakąś bajkę na dobranoc, w którą będzie można uwierzyć. O złym wilku i dobrym Czerwonym Kapturku.

Trudno mówić o Grzegorzu Braunie, że jest dobrym Czerwonym Kapturkiem, kiedy robi takie rzeczy w Sejmie jak chociażby odpalenie gaśnicy podczas święta Chanuki.

– No, bardzo kiepski performance, bardzo. To była próba, aby w ten sposób ukraść show. W każdym razie rozumiem tych młodych, że potrzebują prostej opowieści, bo sam byłem dużo gorszy od nich. Wydaje mi się, że gdy byłem w ich wieku, byłem ciężkim przypadkiem i warto jest do tych ludzi ciągle mówić. Burzenie podziałów jest chyba w tej chwili kluczowe, dlatego że technologia buduje mury i na tym zarabia, więc warto jest wyciągać dłoń do tych młodych ludzi. Niektórym przechodzi fascynacja prostymi sprawami, innym nie, bo może ktoś właśnie tej ręki do nich nie wyciągnął.

A pana publiczność?

– Mam to szczęście, że jestem raperem i przemawiam do szerokiego spektrum ludzi: starszych, młodszych, z prawa, z lewa. Zawsze znałem skinów i punków, a kiedyś podziały były bardzo drastyczne wśród młodzieży, i ten nasz rap był po to, żeby łączyć, a nie dzielić, i komentować wydarzenia społeczne w sposób inkluzywny.

Polonia reaguje na takie mocno zaangażowane politycznie teksty?

– Jeżdżę do Ameryki od 1998 roku regularnie i obserwuję, jak Ameryka się zmienia. Natomiast linie podziałów są troszeczkę inne w Ameryce i optyka też jest odmienna. Rozmawiam z bardzo różnymi ludźmi, twardogłowymi i zwolennikami republikanów również, ale podczas rozmów często okazuje się, że te różnice nie są takimi istotnymi różnicami. Ludzie mają swoje problemy, ciężko im się żyje z różnymi rzeczami, w głowie mają różne myśli. Dialoguję z nimi i staram się znaleźć wspólny język poprzez rap. Na koncerty ludzie przychodzą się bawić i jednoczyć.

Jednoczyć?

– Polonia za granicą bardzo potrzebuje czegoś w rodzaju świetlic czy procesów, wokół których mogliby się jednoczyć. Jako społeczeństwo czy naród mamy problem ze zjednoczeniem się w taki prosty sposób. Nie mamy w Anglii, w Niemczech, w Irlandii, w Ameryce miejsc, żeby kultywować nasz patriotyzm i wspólnotę narodową, więc ludzie bardzo ląkną na koncertach pobycia razem, wspólnotowości i posłuchania muzyki. Polityka nie wchodzi temu w drogę, chociaż oczywiście wszyscy wszędzie przez te lata śpiewali „Cała Polska jebie PiS”, bo widzieli, co się dzieje. Ale już nie będę grał tego utworu, bo nie ma chyba takiej potrzeby.

Wierzy Pan w deklarację o zmianie, o budowaniu społeczeństwa obywatelskiego, o powrocie do demokracji, które wygłosił Donald Tusk?

– Jego pierwsze przemówienie było bardzo zręcznie napisane. Po amerykańsku. Widać różnicę klasy politycznej. Przejście przez powstanie styczniowe, trudne losy Kaszubów podczas II wojny światowej, aż

po Wałęsę i dzień dzisiejszy – to było świetne. Wyborcy PiS-u, te siedem milionów ludzi. nadal tu jest i trzeba do nich będzie wyciągnąć rękę, trzeba będzie powściągnąć chęć dzielenia, chociaż tak byliby prościej i łatwiej się pewnie tak rządzi.

Co teraz?

– Wydaje mi się, że jest dużo pracy przed nami na polu zasypywania wielu podziałów, zupełnie bezsensownych. Internet rozdmuchuje wszystko, a przecież gdy się usiądzie z drugim człowiekiem przy stole, to te podziały okazują się niewielkie. Jeżdżąc po Polsce, uwielbiam rozmawiać z kimś, z kim się nie zgadzam. Możemy się zgodzić lub nie zgodzić, ale na tym to polega. Facebookowa zerojedynkowość, że coś lubię, a tego nie lubię, sprawia, że nie da się niczego zbudować. To jest błąd założycielski mediów nazywanych społecznościami. One nam przeorały berety i nastąpiło mocne pogłębienie podziałów – i przecież nie tylko u nas, widzimy, co się dzieje w Ameryce. Wzmocnienie polaryzujących procesów jest zupełnie bez sensu i kompletnie nam nie służy. Nowa władza powinna myśleć, co z tym zrobić. To z jednej strony. A z drugiej ja się na polityce nie znam i sam czasem czytam wywiady z muzykami czy aktorami i myślę: ja pierdołę, każdy ma receptę na wszystko i jakby oni rządzi-li światem, to w ogóle byłoby pięknie. Gdy czytam wywiady ze sobą, to myślę to samo.

Dobrze. To jedna rada.

– Wyborcy PiS to są często bardzo fajni ludzie. Sam mam mnóstwo znajomych na Podlasiu, w południowej Polsce, na Podkarpaciu i są świetni, chociaż mają troszkę inaczej poukładane w głowie. Musimy z nimi razem żyć w jednym gniazdku.

Czy młodzi ludzie nie powinni stać się dla władzy priorytetem?

– Tak, ale ja jako ojciec trójki dzieci już mam problem, żeby zrozumieć to pokolenie, bo wydaje mi się, że porozumienie międzypokoleniowe jest w ogóle niemożliwe. Należy się starać, słuchać, uczyć też od nich. Te problemy, które mają teraz dzieciaki, wynikają z tego, że wrzuciliśmy je w nie-ludzkie osamotnione pole walki. Te wszystkie złe rzeczy, które obserwujemy, są mechanizmami obronnymi, które dzieci wytwarzają przeciwko temu osamotnieniu. Sieć jest czymś nowym. Ja nie wiem do czego to prowadzi, może do świetnych, wspaniałych, świetlanych warunków, nie wiem, ale w tej chwili jest im trudno. Dlatego edukacja, rozmowa i przeciwdziałanie samotności jest ważne. Nie mam niestety konkretnych recept, ale myślę, że powinniśmy zrobić absolutnie wszystko co możliwe.

Czy zgadza się pan, że młode pokolenie jest dużo wrażliwsze od nas?

– Pokolenie płatków śniegu? Wydaje mi się, że są tak samo wrażliwi jak my, tylko że bardziej o tym mówią. Mówią o rzeczach, o których my byśmy się wstydzi-li mówić. Nie wiem, czy to dobrze, czy to złe. Jestem tak nauczony, że uzewnętrznianie się jest niebezpieczne, bo nie wiadomo, kto słucha. Oni tych problemów nie mają. Natomiast problem, że nie wiadomo, kto słucha, pozostał. My jesteśmy bardziej nieufni, bardziej mamy sprawność harcerza-sobieradka, a oni mają emocje na wierzchu. I może to dobrze, są teraz różnego rodzaju nowe trendy w psychologii, w psychiatrii, są psychoterapie i może to się przydać, a może czasami jest tego za dużo. Chyba wrażliwość, dzięki Bogu, wciąż jest nie-stepiona w nas, tylko, że jedno pokolenie ją bardziej ukrywają, inne mniej.

Współpracuję z takim moim przyszywanym kuzynem, który pochodzi z Zimbabwe i wychowywał się w ciężkich warunkach. Ostatnio mieliśmy do czynienia z polskim raperem, który nie mógł przyjść do studia, bo ma jakieś kłopoty. Siedzimy i mój kuzyn mówi do niego: „Wejdz do studia, nagraj ten kawałek, a potem wróć do tych swoich kłopotów”. Twardsze warunki życia powodują

prostsze rozwiązania. To dotyczy zarówno pokolenia lat osiemdziesiątych, które musiało sobie radzić, jak i chłopaka z Afryki.

Być może wychowujemy w tej chwili ludzi bardziej bezradnych, ale czy jesteście w stanie ich nauczyć radzenia sobie z tym?

– Muszą się wszystkiego nauczyć sami. Jako ojciec mogę dziecko do paru rzeczy zmusić tylko do któregoś roku życia. Później mogę perswadować, stosować szantaż albo groźby, potem już bardziej proszę, a od pewnego momentu nic już nie mogę zrobić. I ten człowiek będzie, kim będzie. Nie wiadomo, czy to jest zapisane w gwiazdach, czy to jest los, jak duży wpływ będzie miało to czy tamto. Ja już niewielki. Mogę dać, ile mogę dać, a potem niestety będzie trzeba to przerobić na własnych błędach. Tak samo było ze mną. Nikogo nie słuchałem, nikt mi nie mógł nic powiedzieć. Musiałem popełnić błędy. I wie pani, geśi potrafią na przykład nauczyć swoje młode, że mają polecieć piętnaście tysięcy kilometrów stąd, załatwić parę spraw i wrócić samodzielnie. Wystarczy im to raz pokazać. My jeszcze tego nie opanowaliśmy, powinniśmy się uczyć od ptaków wędrownych.

Do ptaków jeszcze wrócimy. Chciałam zapytać o utwór „Książki ważkie”, który zadedykował pan mamie. Skąd ta miłość do literatury?

– Miałem to szczęście, że w mieszkaniu M3 czy M4 jeszcze za komuny spałem pod półką z książkami. Uczylem się czytać z grzbietów tych książek. Pamiętam, jak nagle te litery, te graficzne znaki zaczęły się układać w jakiś sens. Nauczyłem się czytać bardzo wcześnie i dużo czytałem już w wieku przedszkolnym. Uczylem się na pamięć różnego rodzaju wierszy, no i zostałem raperem. Wykorzystałem miłość do brzmienia słów w życiu. Tak to się czasem losy dziwnie splatają. I do dziś książka jest dla mnie przedmiotem magicznym i chyba najlepszym sposobem przekazywania głębokich treści międzyludzkich. Szczególnie ważnym w dzisiejszych czasach, kiedy wszystko jest krotochwilne, powierzchowne i ten nasz mindset jest przeskakujący po pierdołach, jak to mówi Józef Czapski: „cią-gła myśli bieranina”.

Gdyby został pan doradcę Barbary Nowackiej, to jaką książkę by pan dodał do szkolnych lektur?



– Jeżeli tylko jedną, to dodałbym coś mojego ukochanego Józefa Czapskiego. Mam absolutnie wszystko, co on wydał i co o nim napisano – albumy malarskie i literaturę. Myślę, że „Na nieludzkiej ziemi” byłoby dobrą lekturą, chociaż jest to pewnie najoczywistsza książka, bo dotycząca trudnej historii, w której brał udział. Osobiście bardziej mnie fascynują jego książki związane z malarstwem. To ciekawa filozofia życia i bliska mi postać.

Pana rodzice byli związani z teatrem. Czy miał pan moment złapania bakcyła?

– Bardzo lubię teatr. Chodzę z żoną i z dziećmi. Mój ojciec pisał dużo o teatrze w Poznaniu i tam chodził do roboty. To było czuć, że on tam idzie do roboty. Był dyrektorem artystycznym Teatru Marcinek, ale to za kadencji moich starszych braci. Ja chodziłem z nim na niezrozumiałe dla mnie rzeczy. Podkradałem wino podczas premier, ale mogłem też chłonać całą atmosferę. Mój ojciec mówił, że teatr to jest jedyny niezagrożony obszar, bo nie da się go scyfryzować. A poza tym teatr to jest życie w miniaturze. Kiepsko reżyserujemy, a czasem lepiej, czasem gorzej gramy swoje role w życiu.

Ale nie chciał być pan aktorem w dzieciństwie?

– W dzieciństwie, proszę pani, to ja chciałem być śmieciarzem. Imponowali mi ci facci, gdy wjeżdżała dymiąca śmieciarka, a oni wylaniali się z mgły. Do dzisiaj patrzę z pewną nostalgią, obserwując pracę śmieciarzy, chociaż teraz mówi się „pracownicy porządkowi”. No a potem chciałem być kierowcą TIR-a.

Czyli chłopackie zawody.

– Chłopackie bardzo. Tym bardziej, że pani może to zrozumie, ale w czasach mojego dzieciństwa na hasło „Konwój” w telewizji nie było absolutnie nikogo nigdzie w całym Poznaniu na ulicach. Bo w latach osiemdziesiątych leciał w telewizji film pod takim tytułem i to było święto. Z chłopakami jeździliśmy w tym konwoju chyba przez kolejny miesiąc. W sierpniowej, szarej rzeczywistości lądowanie UFO w telewizji amerykańskiej z tymi ciężarówkami było doświadczeniem zmieniającym życie. I to wciąż ma na mnie wpływ. Niedawno oglądałem „Konwój” z moim synem i teraz może nie robi takiego wrażenia, ale to było coś wspaniałego. Potem chciałem być astronautą, bo dużo czytałem Stanisława Lema i chciałem być

pilotem Pirksem albo Ijonem Tichym. A potem już nie chciałem nikim być, tylko chciałem bąki zbijać i zostałem raperem.

Zdążył pan z dziadkiem porozmawiać o historii?
– Niewiele. Miałem 12 lat, gdy umarł mój dziadek. Uciekł z domu, by walczyć w powstaniu wielkopolskim. Był jeszcze nieletni. Uciekł, bo uczestnictwu w powstaniu sprzeciwił się jego ojciec, czyli mój pradziadek Stanisław, który wiedział, co się z czym je i na czym polega wojowanie. Dlatego, że został odznaczony Żelaznym Krzyżem na froncie zachodnim podczas I wojny światowej. Walczył jak wszyscy z tych ziem w szeregach armii niemieckiej. I nie chciał chyba, żeby jego syn brał udział w wojowaniu. Dlatego tak ważne jest, żebyśmy w tych czasach, kiedy wojna zagląda tu i tam, próbowali ją wszelkimi możliwymi siłami powstrzymać. A powstrzymywanie jej polega właśnie na łagodzeniu wszelkiego rodzaju sporów, uczeniu się rozwiązywania ich w sposób cywilizowany i z poszanowaniem wzajemnym. Bo te spory zaognione prowadziły właśnie do rozlewu krwi. To, że możemy wyjść i kupić sobie mleko w sklepie, nie będąc przy tym narażonym na grad rakiet z nieba lub to, że ktoś nam wbije nóż w plecy i to mleko zabierze, jest sytuacją dosyć nietypową dla gatunku homo sapiens. Warto troszczyć się o to.

Pana tata brał udział w strajkach czerwcowych w 1956 roku w Poznaniu
– Został ranny jak miał 23 lata. Stracił wtedy oko. To rzutowało na całe jego życie.

W pana rodzinie mężczyźni zdobyli się na mocne gesty wobec tego, w co wierzyli.
– Jasne, że tak. Patriotyzm w czasach pokoju znaczy jednak coś innego. Nie wiem, czy sam bym się zdecydował na takie gesty, szczerze powiedziawszy, jak oni. Tego się staram uczyć, bazując na historii tych mężczyzn. Moi bracia też walczyli z komuną. Mój średni brat działał w Szkolnym Kole Oporu Społecznego, a drugi był w NZS-ie. Szargana była cała ich młodość. I skoro już wywalczyliśmy sobie taki kawałek ziemi, no to warto o niego dbać.

A pan się czuje patriotą?
– Tak, niestety tak.

Dlaczego „niestety”?
– Bo niestety nic na to nie poradzę, bo może chciałbym się odwrócić na pięcie i być bardziej Francuzem na przykład, ale to jest niemożliwe. Jak się zadaje z Cyganami, to się czuję Cyganem. Jak jestem w Ameryce, to się czuję jankesem z krwi i kości, chociaż bardziej Afroamerykaninem, co jest dziwne. Natomiast gdzieś bije we mnie polskie serce. Mamy piękne kobiety, piękną przyrodę i piękną kulturę. Wszystkie te trzy rzeczy to jest rodzaj żeński i to kocham w tym kraju. I tyle. Nie potrafię zrezygnować z kontaktu z polską kulturą, z literaturą polską. Nic na to nie poradzę, że jest mi bliska. I ten nasz rap też jest specyficzny. Też jest taki jakiś inny, porąbany.

A skąd to zainteresowanie przyrodą i jej ochroną? Bo pan też o tym od lat rapuje. Ostatnia płyta nosi tytuł „Miejskie ptaki”.
– Kurczę, nie wiem jak odpowiedzieć na to pytanie, dlatego że stamtąd pochodzimy, prawda? Pozamykaliśmy się w jakichś geometrycznych kształtach, ale rozmawiam z panią i patrzę na roślinę za oknem i mnie to uspokaja. Kluczowe jest, żebyśmy pokornieli i zrozumieli, że mamy jakąś rolę do zagrania w tym spektaklu i chyba nie jest nią zniszczenie planety, tylko być może uratowanie jej lub przynajmniej nieprzeszkadzanie w jej dalszej egzystencji. W dzisiejszych czasach jest to bardzo ważne. A ja, gdy tylko mogę, spędzam czas w lesie, w plenerze, wśród nieużytków i ugorów. Jest to takie dziaderskie gadanie, ale chociaż wychowywałem się w mieście, to było mnóstwo dzikiej przyrody w moim dzieciństwie, bo było pełno działek, pustostanów, jakichś porzuconych placów budowy i ta przyroda była wszędzie wokół mnie. Wtedy tak nie koszone pod linijkę, nie robiono tych wszystkich rzeczy mających wytworzyć iluzję, że mamy kontrolę nad czymkolwiek, bo to była komuna i ten system też miał swoje plusy. Na przykład mleczarze byli, nie? To było bardzo ekologiczne rozwiązanie te szklane butelki. W każdym razie czuję się dobrze w lesie i wśród przyrody, bo tam nie muszę tyle mówić co teraz na przykład,

bo całe życie gadam do mikrofonu i może na drugą nóżkę potrzebuję takiego prawdziwego świata przyrody. I ciszy przy okazji.

A skąd wzięło się to zainteresowanie ptactwem?
– Mieszkam pod Poznaniem, mam lornetkę i możliwość ciekawych obserwacji, dużo się od ptaków uczę. Od lat maleje liczba wróbli. Z wielu powodów. Maleje przede wszystkim liczba owadów i to drastycznie. Od lat osiemdziesiątych już chyba o połowę spadła biomasa owadów w Europie. To powoduje, że wszystkich ptaków jest mniej. Najliczniejsza w Polsce jest wciąż zięba, a w ogóle jej nie widzimy, prawda? Jest drastycznie mniej nie tylko ptaków, ale wszystkiego. Obserwuję jak w mojej okolicy spadła populacja dzików. Jeszcze parę lat temu było ich dużo. Do tego dochodzi wystrzelowanie. Pamiętam, jak w 1997 roku była powódź w Polsce, wyszedł jakiś polityk i powiedział, że to wina bobrów. I wtedy lupano do bobrów. Teraz chorują świny, to łapiemy do dzików. Wiadomo jak zwykle ktoś ma w tym interes.

Wszędzie wkraczamy coraz bardziej, budujemy, deweloperka, osiedla, bogate wille. Rok po roku jest coraz mniej drzew i zwierząt. Coraz większy smog. Dwanaście lat temu wyprowadziłem się na obrzeża Poznania i przez ten czas to miejsce stało się zupełnie inne. Samochodów jest coraz więcej. Wszędzie stawiamy ploty i szlaki migracyjne zwierząt są likwidowane. To powoduje, że jest coraz więcej nas. W tak ogromnym stopniu przebudowaliśmy planetę. Czytałem kiedyś taką fajną książkę „Świat bez nas” Alana Weismana. Autor opisywał ciekawy eksperyment myślowy, co by się stało, gdybyśmy teraz zniknęli z powierzchni Ziemi. Dosyć szybko nie zostałoby po nas absolutnie nic. Archeologom za 100 tysięcy lat trudno byłoby się czegoś dogrzebać o nas. Siedzimy tu przy tym stoliku i podczas jednego mrugnienia okiem właśnie w tej chwili umiera 15 tysięcy gwiazd. Być może właśnie zagłada ekologiczna podczas tego mrugnienia okiem odbywa się na tysiącach innych planet. Nie wiadomo. I chyba powinniśmy się bardziej postarać.

Temat używek był przez lata również obecny w Pana twórczości. Jak jest dzisiaj?
– Mam szeroki wachlarz doświadczeń związanych z różnego rodzaju używkami i nie będę adwokatem diabła i mówię od razu, że używki są szkodliwe. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Z moim bagażem doświadczeń to, że żyję, siedzę tutaj, rozmawiam z panią, to bardzo mnie cieszy, bo wiem, że mogłoby mnie tu nie być. Mnie akurat się udało, mam 43 lata. Nie uprawiam już rock’n’rolla, a uprawiałem takiego solidnego i wydaje mi się, że wielu ludzi mogłoby tego zwyczajnie nie przeżyć, no narkotyki i alkohol strasznie ryją beret. Wioskowy głupek przeżył, ale jestem tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę. Nie będę gloryfikował używek, chociaż trudno mi się od nich tak zupełnie odciąć, bo były częścią mojego życiorysu i mojej twórczości. Nagrywam utwory na raz, na setkę, nie wracam do nich, nie poprawiam ich, dlatego że uważam, że to jest zapis mojej rzeczywistości. Takie jest życie, taki jest rap. Jest brudną muzyką, zapisem czasów i emocji. Nie zmienię tego.

A gdyby miał pan złożyć życzenia politykom PIS-u?
– Zawsze tego życzyłem ludziom, żeby się wyluzowali. Jak mnie pytali, dlaczego tak rapuję, to odpowiadałem, że mimo wszystko staram się wyluzować. To jest bardzo ważne. Gdyby politycy PiS się wyluzowali, na pewno mieliby mniej problemów związanych z całą motoryką ciała. Co widać bardzo, bo są okropnie zesztyniali. Fizjoterapeuci i osteopaci mają gruby zarobek na tych wszystkich panach. Gdyby się wyluzowali, może zrozumieliby, że to fajnie, że żyją, że to jest fajna planeta. Że dobrze jest się obudzić. Trzeba ćwiczyć od samego

rana. I życzyłbym, żeby wstawali prawą nogą i doceniali to, że w ogóle żyją. Może wtedy łatwiej by było nam też ich znieść.

A pan jak się określa politycznie?
– Mnie nazywają lewakiem. W internecie to się stało taką obelgą. Ludzie niespecjalnie się chyba orientują, co to w ogóle może oznaczać. To przeniknęło do terminologii codziennej. Dla mnie „lewak” to wciąż jest jakaś Frakcja Czerwonej Armii. Dlaczego to jest tak dzisiaj powszechnie używane? Wydaje mi się, że mam centroprawicowe poglądy. I prawica w Polsce jako hamulcowy zmian jest bardzo potrzebna. W zdrowym społeczeństwie jest potrzebna prawica i lewica. I życzyłbym, żeby jednak ta prawica wreszcie powstała: normalna, zdrowa, oparta na tradycjach, konserwatywna, która będzie się siłować z tą postępową lewicą. Tylko wtedy jedni i drudzy, korygując się, mogą obrać dobry kurs.

A ta prawica wykorzystująca takie postacie jak Pilecki?
– Populiści mają skłonność do takiego instrumentalnego traktowania historii. Błędem jest, że się tej historii porządnie nie uczymy. Negatywnie oceniam zastąpienie kultu Armii Krajowej, niesamowitej struktury, o której powinniśmy się uczyć, „żołnierzami wyklętymi”. Pod względem skali to jest w ogóle przeciwieństwo inna planeta. Bo mówimy tutaj o największej armii podziemnej w historii. Nie chcę tutaj też w jakikolwiek sposób oceniać „żołnierzy wyklętych”. Bo do tego worka wrzucono postaci świetlane z różnymi ludźmi, którzy niekoniecznie powinni się tam znaleźć. Chodzi mi tylko o kwestię skali i roli historycznej. Przy całej tragedii tych zdradzonych ludzi po II wojnie światowej w latach 40., to jednak powinniśmy kłaść chyba nacisk na Armię Krajową. Ale czy pomoże w tym jakaś narzucana znowu polityka historyczna i edukacyjna, tego nie wiem.

A religia w szkołach pana wkurza?
– Nie mam zdania. Przestałem chodzić na religię do sali katechetycznej w 1990 roku. Potem był konkordat i zaczęła być w szkołach. Z punktu widzenia wiary religia w szkole ma bardzo negatywny wpływ. Do czego ma nas zachęcić kolorowanie Jezusa? Czego ma nas to nauczyć? Także dla samego Kościoła to chyba nie jest dobry pomysł. Jeżeli ktoś ma ochotę, niech chodzi na lekcje religii, natomiast myślę, że to do niczego nie prowadzi. Bo to jest tylko pusta obrzędowość. Jestem człowiekiem poszukującym. Interesuję się różnymi religiami. PiS sprawił, że religia w Polsce przybrała schyłkową formę jak wiara w bóstwa w starożytnym Rzymie. Już nikt w nie nie wierzył, ale wszyscy jeszcze je czcili. Taka niedźwiedzia przysługa dla Kościoła. A może na gruzach tego narodzi się coś ciekawego? Znam bardzo wielu fajnych wierzących ludzi. Miałem szczęście poznać bardzo wartościowych księży: zaangażowanych i społeczników. Mam nadzieję, że wydepczą sobie kiedyś należne im miejsce w Kościele.

Czy czterdziestka była dla pana rodzajem podsumowania?
– Bardziej, gdy zostałem tatą. Gdy myślę o sobie do dwudziestego tam któregoś roku życia, to w ogóle nie chcę znać tego typu. Co się tam działo! Potem, dzięki Bogu, wyszedłem na w miarę oświetloną drogę. Nie skończyło się to nieprzyjemnie i tak się gramolę. Jest nieźle. Jakbyśmy to porównali z tym, kim byłem, to jest nieźle. Udało mi się zrobić postęp.

Za sukcesem mężczyzny podobno zawsze stoi mądra kobieta. Czy to też może zasługa pana żony?
– Absolutnie. Ta kobieta mnie wyciągnęła za duszę na prostą. I nauczyłem się bardzo wiele od niej i od moich dzieci też się nauczyłem bardzo wiele. I to jaki jestem, kim jestem, jak mam w głowie poukładane zawdzięczam w tej chwili mojej rodzinie. ●



**Mamy rolę
do zagrania
w tym spektaklu
i nie jest nią
zniszczenie planety**

FOT. LUKASZ OWALLEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

LASKA

NA CZERWONYM DYWANIE

Księżna Walii została zmuszona do ujawnienia, że choruje na raka. Znani nie mają dziś za bardzo wyjścia – publiczność chce wiedzieć wszystko

Maja Staniszevska

22 marca księżna Walii Catherine ogłosiła w nagraniu wyemitowanym przez brytyjskie telewizje, że zdiagnozowano u niej raka, że przechodzi chemioterapię i że potrzebuje prywatności. I stał się cud: minął ponad miesiąc, a nigdzie nie pojawiło się jej zrobione z zaskoczenia czy w tajemnicy zdjęcie.

Uspokoił się nawet serwis X, na którym przez całą zimę toczyła się coraz gorętsza i coraz bardziej absurda dyskusja „gdzie zniknęła księżna Kate?”. To właśnie pojawiające się na nim piętrzone teorie spiskowe, w których księżnę nawet uśmiercano, a także nieudolna próba ich wyciszenia m.in. za pomocą zmanipulowanego zdjęcia księżnej z dziećmi, sprawiły, że Pałac Kensington w końcu postanowił powiedzieć prawdę. Okazało się, że to najlepsze rozwiązanie. Księżna dostała to, o co poprosiła: spokój.

Choć nie brakuje takich, którzy uważają, że skoro już chorobę ujawniła, powinna od razu zacząć działać na rzecz świadomości, profilaktyki, zbierać fundusze, wspierać chorych i ich rodziny.

Gdy królowie i prezydenci chorowali w tajemnicy

Wielu znanych chorych na coś takiego się decyduje. Niektórzy ze swoich chorób żartują, jak ostatnio Arnold Schwarzenegger, który po wszczęciu rozrusznika serca stwierdził, że teraz „trochę bardziej jest maszyną”.

Ale czy każdy musi?

Zresztą brytyjska rodzina królewska publicznie do tej pory o raku nie mówiła. Dziadkowi Karola III, królowi Jerzemu VI, usunięto lewe płuco, ale opinii publicznej nie poinformowano, że zrobiono to z powodu nowotworu. Król zmarł kilka miesięcy po operacji, w lutym 1952 roku, w nietypowo młodym dla Windsorów wieku 58 lat.

W tamtych czasach stan zdrowia osób tak prominentnych po prostu ukrywano. To, że prezydent Franklin Delano Roosevelt chorował na polio, nie było tajemnicą. Ale już to, w jakim stanie choroba pozostawiła jego ciało – mimo in-

tensywnej rehabilitacji pozostał do końca życia sparaliżowany od pasa w dół – jak najbardziej.

Roosevelt niepełnosprawność skrzętnie ukrywał. Gdy pojawiał się publicznie, nosił metalowe szyny na nogi pozwalające utrzymać się w pionie, a nawet „chodząc” z laską i dzięki wsparciu syna lub asystenta. Fotografów proszono o nierobienie zdjęć prezydenta na wózku albo wysiadającego z samochodu. Jeśli któryś wylał się z umowy, interweniowała Secret Service.

W tajemnicy utrzymywano fatalny stan zdrowia Johna F. Kennedy’ego, który cierpiał na chroniczne bóle pleców, miał też alergie, problemy z układem pokarmowym, chorobę Addisona. Zapewne to ta choroba i sterydy, które na nią przyjmował, powodowały opaloną karnację młodzieńczego prezydenta.

Nie poinformowano o udarze Winstona Churchilla, który w 1953 wyłączył premiera z pracy na dwa miesiące.

O zdrowiu przywódców ZSRR oficjalnie się nie mówiło, ale za to plotkowano i dowcipkowano. Sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew miał przejść udaru, zawały, być uzależnionym od alkoholu i leków. Żartowano: „Od czego zaczynają dzień na Kremlu? Od reanimacji Breżniewa”.

Dziś można uznać, że wyborcy mają prawo do informacji o zdrowiu rządzących. Stan zdrowia polityków może mieć wpływ na decyzje dotyczące milionów. Dlatego amerykańscy prezydenci przechodzą regularne badania lekarskie, których wyniki podawane są do publicznej wiadomości. Choć komunikaty dotyczące Donalda Trumpa były niewiarygodnie, nawet jeśli chodziło o wzrost (zawężony) czy wagę (zaniżoną) prezydenta.

Również udziałowcy wielkich firm uważają, że mają prawo znać stan zdrowia menedżerów. Dlatego tak źle przyjęli ukrywanie przez Steve’a Jobsa, współzałożyciela i CEO Apple’a, informacji o raku trzustki i postępach choroby. Okazało się, że Jobs był daleki od wzorowego pacjenta: na prawie rok odrzucił medycynę na rzecz alternatywnych terapii, co prawdopodobnie skróciło mu życie.

Gdy gwiazdy chorują po cichu

Ale publiczność przede wszystkim chce wiedzieć wszystko o artystach i celebrytach.



Angelina Jolie
FOT. SHUTTERSTOCK

Freddiemu Mercury’emu chorobę udało się ukryć do końca. O AIDS poinformował dzień przed śmiercią w 1991 roku.

O swoim raku piersi autorka roman-sów Jackie Collins, młodsza siostra aktorki Joanne, powiedziała w wywiadzie sześć dni przed śmiercią w 2015 roku: – Nie chciałam tego upubliczniać i nie chciałam współczucia ludzi. Lubię mieć kontrolę, więc przejęłam kontrolę nad sytuacją.

W 2020 roku szokiem dla wielu kinomanów, zwłaszcza fanów filmów Marvela, była śmierć 43-letniego aktora Chadwicka Bosemana najlepiej znanego z roli superbohatera Czarnej Pantery. Boseman chorował na raka jelita grubego, ale nie mówił o tym publicznie. Nawet jego współpracownicy nie mieli pojęcia, że między filmami przechodzi chemioterapię.

Boseman nie chciał współczucia, chciał skupić się na pracy i nakręcić kolejną część Czarnej Pantery. Być może nie chciał też, by jego sukces jako czarnego aktora w Hollywood, przyćmiła choroba.

Ale chorowanie w spokoju jest coraz trudniejsze – fani śledzą gwiazdy i gdy te znikają, zaczynają zadawać pytania, analizują i komentują zmiany wyglądu, domagają się odpowiedzi. W mediach społecznościowych pojawiają się absurdalne plotki. Boleśnie odczuła to 31-letnia dziś piosenkarka i aktorka Selena Gomez. Kobieta, która ma najwięcej – 429 mln – obserwujących na Instagramie.

W 2015 roku ogłosiła, że dwa lata wcześniej zdiagnozowano u niej toczeń, chorobę autoimmunologiczną, w której organizm atakuje własne zdrowe tkanki. To ta choroba, którą u każdego prawie pacjenta podejrzewał serialowy doktor House, tak wiele różnych objawów daje i tak trudna jest do zdiagnozowania.

Gdy Gomez zniknęła, by zacząć leczenie, w tym chemioterapię, zaczęto pisać, że trafiła na odwyk. Speculacje odcisnęły się na zdrowiu psychicznym artystki. I nawet dziś, choć od prawie dekady wiadomo, że jest chora i przeszła m.in. transplantację nerki, jej wygląd wciąż jest komentowany, szczególnie gdy spuchnie po sterydach.

Gdy laureat Oscara Jamie Fox w kwietniu 2023 roku trafił do szpitala prosto z planu filmu z Glennem Close i Cameronem Diaz, publiczność od razu chciała wiedzieć, na co choruje, pojawiły się plotki, że to powikłania po szczepieniu na Covid-19. Fox jest twardy – zapowiedział, że opowie, co go spotkało, ale w swoim czasie i na swoich warunkach.

Na pytania o zdrowie nie chce też odpowiadać Anna Paquin, która w tym roku pojawiła się o lasce na premierze swojego filmu. Aktorka przyznała tylko, że ma problemy z chodzeniem i mówieniem.

Z laskami na czerwonym dywanie od lat pojawiają się chorujące na stwardnienie rozsiane Selma Blair i Christina Applegate. Ta pierwsza pojawiła się z laską na okładce „Vogue’a”, ta druga sprzedaje sygnowane przez siebie laski z napisem „FU MS” [pieprzę cię, stwardnienie rozsiane – red.], a część dochodu przekazuje amerykańskim i brytyjskim stowarzyszeniom chorych.

Gdy trzeba postawić się szantażystom

Czasem do ujawnienia stanu zdrowia zmuszają szczególne okoliczności. Aktor Charlie Sheen był znany z uzależnienia od alkoholu i narkotyków, burd, przemocy wobec kobiet, agresji i poniżania współpracowników.

Był też nosicielem wirusa HIV, co trzymał w tajemnicy. Zapłacił nawet 10 mln dolarów szantażystom grożącym, że jego diagnozę ujawnią. W 2015 r. uznał, że dłużej szantażować się nie da. W programie śniadaniowym telewizji NBC pojawił się ze swoim lekarzem i razem, jasno i konkretnie, opowiadali o zakażeniu i jego skutkach, o lekach, rokowaniach, potencjalnych konsekwencjach dla współpracowników czy partnerek seksualnych Sheena.

Amerykańskie media podsumowały, że była to najbardziej odpowiedzialna rzecz, jaką Sheen zrobił w życiu.

Pięć miesięcy później w „Journal of the American Medical Association” pojawiło się badanie pokazujące „efekt Charliego Sheena”. W ciągu trzech tygodni od wywiadu zanotowaną największą w historii pomiarów liczbę zapytań w Google’u o HIV i powiązane z nim kwestie, w tym profilaktykę czy testy. W amerykańskich aptekach sprzedano zaś rekordową liczbę domowych testów wykrywających wirusa. Autorzy badania stwierdzili, że nikt nie powinien być zmuszany do ujawnienia nosicielstwa HIV, ale decyzja Sheena może przynieść korzyści dla zdrowia publicznego.

Ale nie przeceniajmy pozytywnego wpływu Sheena. Ten 58-letni aktor jest przeciwnikiem szczepionek. Mówi, że to trucizna, co brzmi absurdalnie w ustach człowieka, który wprowadzał do organizmu alkohol i chyba wszystkie znane narkotyki.

A odium HIV jako pierwszy zdjął kochanek Magic Johnson. O tym, że jest nosicielem, powiedział w 1991 roku, gdy było to naprawdę trudne i mogło oznaczać koniec kariery i śmierć cywilną.

Efekt Sheena, efekt Angeliny

Jest „efekt Sheena”, może być też efekt Angeliny.

W 2013 roku „New York Times” opublikował tekst „Mój medyczny wybór”. Aktorka pisała w nim, że jest nosicielką mutacji w genie BRCA1, a lekarze ocenili, że ma 87 procent szans na zachorowanie na raka piersi i 50 procent na zachorowanie na raka jajników.

Matka aktorki zmarła na raka jajnika mając zaledwie 56 lat, choroba zabrała też jej matkę i siostrę. Jolie zdecydowała się na rewolucyjną mastektomię. Postanowiła ją nagłośnić, by podzielić się z innymi kobietami wiedzą i o badaniach genetycznych, i o możliwościach leczenia. O swojej mastektomii i operacji rekonstrukcji piersi pisała: „Nie czuję się mniej kobietą. Czuję się wzmocnioną moim wyborem, który w żaden sposób nie umniejsza mojej kobiecości”.

Świat medyczny chwalił Jolie za odwagę i podnoszenie świadomości ryzyka z jednej a istnienia badań genetycznych z drugiej strony. Internet zaś toczył gorące dyskusje. Nie brakowało głosów, że aktorka histeryzuje, że się pośpieszyła i niepotrzebnie się oszpeciła, bo przecież jeszcze nie choruje.

Ale w USA i innych krajach anglojęzycznych, ale też m.in. w Polsce wzrosła liczba kobiet zgłaszających się na ba-

dania genetyczne w kierunku raka i decydujących na profilaktyczne operacje. „Efekt Angeliny”, o którym na okładce pisał tygodnik „Time”, zadziałał. Szeroko poniosła się też informacja, że mastektomia nie musi oznaczać braku piersi – że możliwe są po niej operacje rekonstrukcyjne.

Dwa lata później Jolie poinformowała, że po niepokojących wynikach badań zdecydowała się na usunięcie jajników i jajowodów. Później w tygodniku „Time” pisała: „Często jestem pytana o to, jak na mnie wpłynęły moje medyczne decyzje i ich upublicznienie. A ja czuję po prostu, że dokonałam ich, by zwiększyć swoje szanse na zobaczenie, jak moje dzieci dorastają i na spotkanie z moimi wnukami”.

Gdy aktor traci mowę i pamięć

Na początku tego dziesięciolecia Bruce Willis, od lat 80. jeden z największych gwiazdorów kina nie tylko akcji, zaczął seryjnie występować w małych rolach w koszmarnych gniotach. Jego wielbi-ciele byli rozczarowani, że ktoś, kto grał w „Szklanej pułapce” daje nazwisko na plakaty kilku, a nawet kilkunastu filmów akcji klasy C rocznie. Na Złotych Malinach nagradzających najgorsze filmy roku powstała nawet kategoria „Najgorszy występ Bruce’a Willisa”.

Aktor miał kłopoty z zapamiętaniem tekstu, a nawet z wypowiedzeniem swoich kwestii na planie. Czy to możliwe, że producenci filmów nie wiedzieli, w jakim jest stanie? A może zatrudniali go, by przyciągnął widownię, mimo że nie był już w stanie ocenić, w czym występuje? W 2022 r. występy się skończyły, rodzina Bruce’a Willisa poinformowała w końcu, że aktor cierpi na afazję.

Półtora roku później okazało się, że choroba ewoluowała w demencję. Obecna żona Willisa Emma Heming-Willis, była żona Demi Moore i starsze córki od czasu do czasu informują o samopoczuciu 69-letniego aktora. On sam nie komunikuje się ze światem. Jak mówi Heming-Willis, nie ma nawet pewności, czy zdaje sobie sprawę ze swojej choroby.

Michael J. Fox zbiera miliard na badania

Upublicznienie choroby może też nadać życiu chorego nowy sens.

Michael J. Fox, jeden z najpopularniejszych i najbardziej lubianych aktorów lat 80. już od ponad ćwierć wieku publicznie choruje na Parkinsona. Na początku jednak chorobę ukrywał.

Miał 29 lat, gdy dowiedział się, że choć na razie drży mu mały palec, za kilka lat nie będzie już mógł pracować. Przeszedł etap ciężkiego picia i depresję.

O diagnozie poinformował po siedmiu latach, w 1998 r. I zaczął działać na rzecz badań nad Parkinsonem.

Kiedy miał wystąpić przed amerykańskim Kongresem, nie wziął leków, by pokazać politykom, jak wygląda choroba i jak bardzo utrudnia funkcjonowanie. Towarzyszył mu wtedy zdiagnozowany w 1984 roku legendarny bokser Muhammad Ali.

Nie zważając na to, czy widzowie poczują się niekomfortowo, ze swoimi objawami, w tym charakterystycznie bujającą się głową, Fox występuje w telewizji. Założył fundację, która do dziś zebrała na badania ponad miliard dolarów. Został m.in. doktorem honoris causa kilku uczelni, w tym szwedzkiego Instytutu Karolinska, a także laureatem honorowego Oscara. Gdy pojawia się publicznie, jak ostatnio na rozdaniu nagród BAFTA, witają go owacje na stojąco.

Ale gdy w filmie dokumentalnym „Nieustannie: Historia Michaela J. Foksa” przewraca się na ulicy, trudno się na to patrzy. Nawet jeśli natychmiast pociesza mijającą go kobietę, że to ona „zwalila go z nóg”. ●

Najgorsze zachodnie obyczaje

Czy najwybitniejszy Polak w dziejach miał rację w swoich ocenach zjednoczonej Europy

Magdalena Czyż

Czy jest pan wolny jutro wieczorem? Może pan przyjść na kolację z Ojcem Świętym?” – takie pytanie zadał Jasiowi Gawrońskiemu sekretarz Jana Pawła II, ks. Stanisław Dziwisz, używając przy tym zupełnie niezobowiązującego tonu, jakby nie wykluczał odpowiedzi odmownej: „Niestety nie bardzo mi pasuje, może przełożymy to na inny dzień”.

Gawroński, wybitny dziennikarz i dyplomata o polsko-włoskich korzeniach wielokrotnie był zapraszany na kolację przez Jana Pawła II, miał okazję z nim nie raz rozmawiać, a rozmowy dotyczyły głównie polityki europejskiej i światowej. Kilka lat temu wydał po polsku książkę „Kolacja z papieżem i inne historie”.

Wywiad, który zrobił z papieżem Janem Pawłem II w 1993 r. odbił się w świecie szerokim echem, przedrukowała go ponad setka prestiżowych dzienników. A Gawroński od jednego z watykańskich notabli usłyszał, że jego wywiad jest więcej wart niż trzy papieskie encykliki.

Warto wrócić do tego tekstu po trzydziestu latach, bo to jedno z najlepszych źródeł wiedzy na temat ówczesnej politycznej świadomości człowieka, którego uważa się za jednego z największych Polaków w dziejach kraju.

Dodatkowo dwadzieścia lat po naszej akcesji do Unii Europejskiej można dzięki wywiadowi Gawrońskiego czarno na białym zobaczyć, czy najwybitniejszy Polak w dziejach miał rację w swoich ocenach zjednoczonej Europy i miejsca Polski w tejże.

„Naturalnie nie jestem przeciwny tzw. wejściu Polski do Europy, ale nie zgadzam się, by z tego dążenia czynić coś w rodzaju fetysza, złotego cielca. W rzeczywistości Polska nie potrzebuje >>>wchodzić do Europy<<, stanowi bowiem jej część, znajduje się w samym jej centrum. Istotne jest, aby mogła do niej wnieść swe własne wartości, a nie bezkrytycznie i ślepo przystosowywać się do zachodnich obyczajów, przejmując to, co jest w nich najgorsze”.

Zastanawiam się jakie są te najgorsze wartości i obyczaje, które przejęliśmy od zachodniej Europy? Sprzątanie po swoim psie? Segregację śmieci? Wymieniać można jeszcze długo te zgnile zachodnie obyczaje, które od dwudziestu lat wlewają się do naszych polskich nieskażonych serc. Choćby jeszcze brak akceptacji przemocy wobec kobiet i dzieci.

Gawroński pyta: „Z jednej strony tak, jak Ojciec Święty mówił, jest Zachód – rozwinięty, ale za bardzo myślący tylko o sprawach ekonomicznych. A z drugiej strony jest pozostała część Europy, która w rezultacie trudności jakie przeżywała, dostrzega głębsze warstwy rzeczywistości. Kto więcej na tym zyska?”.

I Jan Paweł II odpowiada: „Można by się przy tym zastanawiać, kto więcej traci. Nie byłbym daleki od hipotezy, że więcej traci Wschód. Bo jednak ten Wschód przez wszystkie doświadczenia cierpienia, wywołane systemami, komunizmem przede wszystkim, przedtem oczywiście narodowym socjalizmem – ten Wschód jakoś dojrzał”.

Zapytałam Jasia Gawrońskiego, czy Jan Paweł II w ocenach wartości Zachodu nie był czasem nieświadomą ofiarą komunistycznej propagandy z lat swojej młodości, bo niektóre jego sformułowania te propagandowe klisze do złudzenia przypominają. Odpowiedział mi przecząco i jednocześnie przyznał, że nawet jego samego zaskoczyła łagodna ocena komunizmu w porównaniu do oceny zachodniego kapitalizmu, dokonana przez papieża.

Warto przypomnieć sobie wielki wywiad Jasia Gawrońskiego, choćby tak, dla uczczenia dwudziestu lat w Unii Europejskiej. Najlepszych dwudziestu lat w ostatnich pięciuset naszej historii. ●



● Pierwsze strony brytyjskich gazet o zasięgu ogólnokrajowym, zdominowane przez artykuły o brytyjskiej Katarzynie, księżnej Walii, która ogłosiła diagnozę raka w Amersham 23 marca 2024 r.



4 maja 1994 roku wielu użytkowników internetu znalazło w swoich skrzynkach mejlowych wiadomość o jakże miłym i intrygującym temacie „ILOVEYOU”. Do mejla dodany był załącznik LOVE-LETTER-FOR-YOU.TXT.vbs, ale sprytnie ukryty pod hasłami reklamującymi choćby możliwość wysokiej wygranej pieniężnej.

Otwarty załącznik powodował wysłanie kolejnych mejli do wszystkich z listy kontaktów adresowych ofiary, przy tym podszywając się pod nią właśnie. Wirus rozprzestrzenił się błyskawicznie, bowiem wyglądało na to, że wiadomość przesyłana na kolejne skrzynki mejlowe, faktycznie pochodzi od znanej, zaufanej osoby.

W ciągu dziesięciu dni wirusem zakażonych zostało 50 mln komputerów na całym świecie. Szacuje się, że „ILOVEYOU” zainfekował 10 proc. wszystkich podłączonych do internetu urządzeń.

Straty poniesione z tego powodu – głównie wynikające z konieczności wyłączenia komputerów w celu usunięcia wirusa – oblicza się nawet na niemal 9 mld dol.

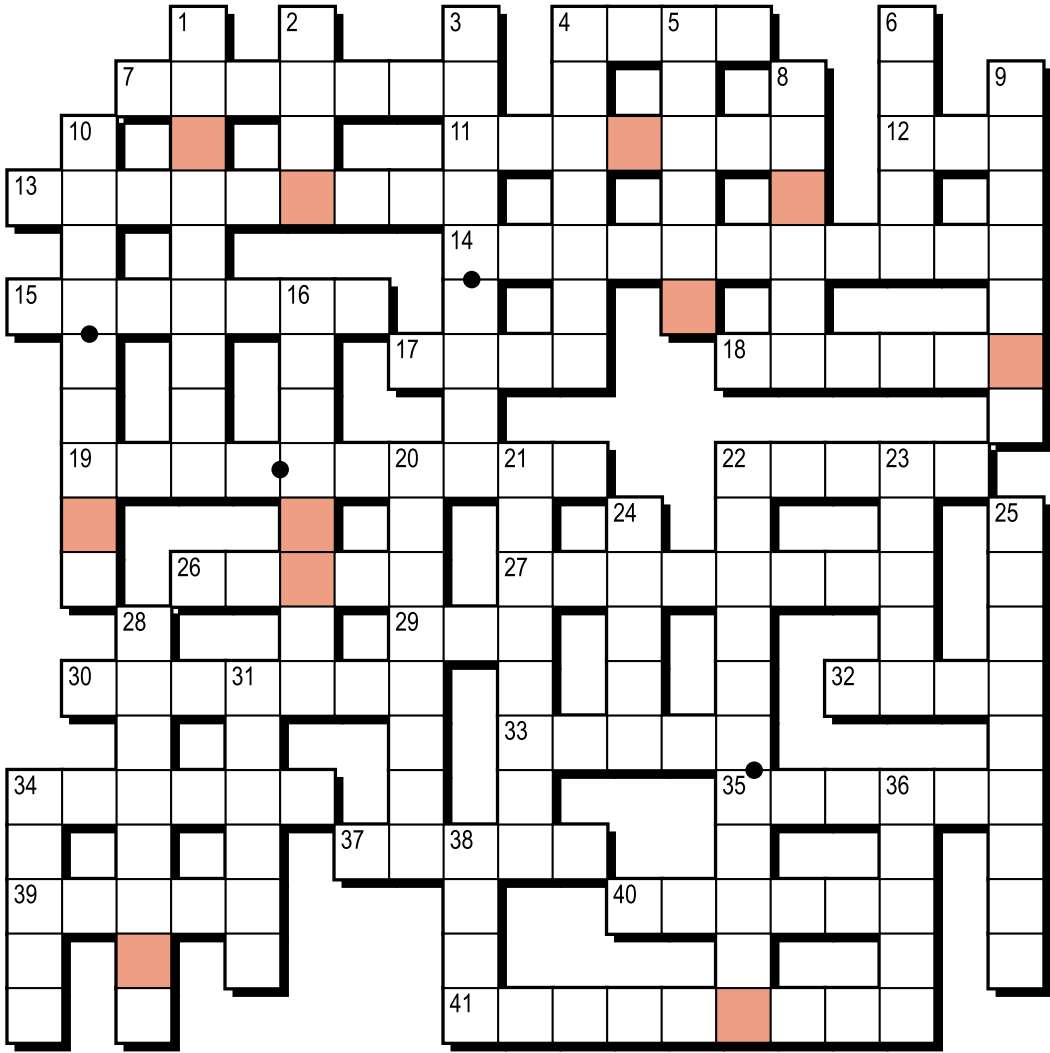
Wirus został wysłany z okolic Manili na Filipinach. Okazało się, że napisał go 24-letni wówczas Onel de Guzman. Dlaczego? Otóż był biedny i nie stać go było na opłacanie dostępu do internetu. Dlatego stworzył oprogramowanie, które miało wykradać hasła do sieci innych użytkowników.

Prawo na Filipinach nie przewidywało wówczas kar za tworzenie i wprowadzanie do internetu wirusów. Dopiero po przypadku de Guzmána stworzono odpowiednią uchwałę (Republic Act No. 8792), która zakładała postępowanie karne wobec hakerów. Ale że filipińskie prawo nie działa wstecz, przeto de Guzman nie poniósł odpowiedzialności za swój czyn.

Po aferze z „ILOVEYOU” zniknął z życia publicznego. Odnalazł go przed kilkoma laty dziennikarz śledczy, w... punkcie napraw telefonów w stolicy Filipin. Potwierdził, że to on napisał wirusa, a także utrzymywał, że zrobił to sam (początkowo podejrzewano, że dwaj inni hakerzy mu w tym pomogli).

Dzisiejszą krzyżówkę poświęcamy zatem wszelakim wirusom. Będzie zatem dużo o komputerach, ale i o popkulturze, bowiem kino i literatura wirusowy wątek podejmowały całkiem często. Dobrej zabawy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 100 z 27.04:

Poziomo:
6) Do Ani, 8) suplikacja, 10) Anne, 11) Słowacki, 12) Masina, 13) Eva, 14) Euterpe, 15) Olga, 16) Helikon, 17) Gala, 21) poeta, 22) Monica Vitti, 25) Saskia, 26) Grace Kelly, 28) utwór, 3) Apollo, 32) artysta, 35) Manet, 36) Delfina Potocka

Pionowo:
1) Melpomena, 2) Wojciech, 3) kotysanka, 4) Minna, 5) Malczewski, 7) Egeria, 9) Urszula, 10) Antonioni, 12) Mahler, 17) George Sand, 18) Luiza, 19) Małgorzata, 20) Jane, 23) Talia, 24) Maryla, 27) Keaton, 29) wojna, 31) polot, 33) Tola, 34) Uma

HASŁO:
MARTA KALERGIS

ZAWIRUSOWANA KRZYŻÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) ... Pitt, zagrał w filmie „12 małp” (w którym występuje także pewien wirus)
7) otworzyła puszkę z nieszczęściami, które zaczęły prześladować ludzkość
11) w informatyce: oprogramowanie niebezpieczne dla systemu operacyjnego
12) w chromosomie; niejeden decyduje o odporności organizmu na daną chorobę
13) programy chroniące sieci komputerowe przez zagrożeniami; zapory

14) powielenie pliku
15) ... milenijna, czyli problem Y2K
17) Robin, amerykański pisarz, autor thrillerów medycznych („Wirus”)
18) typ wirusa komputerowego (skojarz z grodem Priama)
19) zespół Bruce’a Dickinsona, nagrał piosenkę „Virus”
22) koń, który dał nazwę zaawansowanemu oprogramowaniu szpiegowskiemu
26) bankowe – zabezpieczone loginem i hasłem
27) niezbędna, gdy załapało się zakażne urządzenie
29) wieczny ...; są obawy, że gdy stopnieje, uwolni nieznane nauce wirusy sprzed tysięcy lat

30) nazwa wirusa z filmu „Mission: Impossible 2” (jak mityczne stworzenie)
32) choroba wywołana przez wirus HIV
33) ... społecznościowe, dobre miejsce dla wirusów
34) ... VHS, sieje śmierć w powieści „Ring” (i jej ekranizacjach)
35) imię Mastertona, autora powieści „Wirus”
37) ... wstępu do lasów, obowiązywał na początku pandemii
39) w katalogach na dysku
40) ogólnościowy, wywołany pandemią
41) Dawid śpiewający: „Jestem wirus, więc wiruj ze mną”

Pionowo:
1) nielegalna działalność komputerowa

2) wirusowa choroba zakaźna wieku dziecięcego
3) bohater filmu „Nie czas umierać”, którego światowa premiera przegrała z koronawirusem
4) Sandra, aktorka (film „System”)
5) ... sieci komputerowej (nie działa)
6) nazwa użytkownika poczty elektronicznej, e-konta
8) komputer udostępniający zasoby użytkownikom sieci
9) powieść Dana Browna, w której ludzkości zagraża wirus
10) w filmie „Jestem legendą” zagrał lekarza szukającego lekarstwa na wirusa, który zdziesiątkował ludzkość
16) cyberatak

20) odosobnienie nosiciela zarasków choroby zakaźnej
21) zaraza, mór
22) zwierzęca choroba wirusowa (szczep H5N1)
23) przypuszczane przez cyberprzestępców
24) choroba wywołana koronawirusem SARS-CoV-2
25) może być skradziona w social mediach
28) oszustwo, w którym przestępca podszywa się pod inną osobę lub instytucję, by wyłudzić informacje (z angielskiego)
31) film o hakerze Neo
34) litera alfabetu greckiego, którą oznaczono jedną z odmian koronawirusa
36) w duecie z loginem
38) pecet

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY
wysokieobcasy
extra



TEMAT NUMERU:
Sekrety rodzinne, czyli o czym nie rozmawia się w domu

CO ONA ROBI Z PIENIĘDZMI:
Czy inwestycje są dla kobiet?